

Arkadij i Borys Strugaccy

O Przyjaźni prawdziwej. Próba ucieczki

O Przyjaźni prawdziwej

Dokładnie o 19.00 trzydziestego pierwszego grudnia ubiegłego roku Andrzej T. leżał w łóżku i z melancholijną rezygnacją rozmyślał o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Jak łatwo obliczyć, do nadejścia Nowego Roku pozostało jedynie pięć godzin, ale Andrzejowi T. owa okoliczność żadnych radości nie zapowiadała, albowiem nie leżał tak sobie (śmiejch pomyśleć, że nagle mógłby zapragnąć spędzić ostatnie godziny roku pod kołdrą), ale został zapędzony do łóżka na polecenie lekarza: gardło miał obolałe, a szyję opatuloną szalikiem.

Andrzej T. leżał więc w łóżku, utwierdzając się po raz kolejny w przekonaniu, iż musiał się urodzić pod wyjątkowo pechową gwiazdą. Ogrom doświadczeń nabytych przez czternaście lat życia świadczył o tym z bolesną (dosłownie) niewzruszonością.

Wystarczyło na przykład, żeby człowiek z jakiegoś (choćby i nieważnego, nie w tym rzecz) powodu nie nauczył się geografii, a od razu wzywano go do odpowiedzi - ze wszelkimi możliwymi konsekwencjami. Wystarczyło, żeby człowiek zajrzał do biurka brata-studenta (zupełnie przypadkowo, niczego złego nie mając na myśli), a znajdował budzący zachwyt japoński kalkulator, który z miejsca wyslizgiwał się z rąk i z trzaskiem spadał na podłogę. Znowu ze wszelkimi możliwymi konsekwencjami. Wystarczyło, żeby człowiek wydał zdobyty z trudem rubel na porcję lodów (kulki: śmietankowa, czekoladowa i owocowa, w odpowiednim syropie), a dosłownie dwa kroki od kawiarni napotykał kolportera, rozprzedającego ostatnie egzemplarze „Zagranicznej Powieści Kryminalnej”.

Tak, szczęścia nie było! Szczęście skończyło się trzy lata temu, kiedy to na urodziny podarowano człowiekowi los na loterię i człowiek wygrał na ten los budzik. Ale przecież nawet pech powinien mieć jakieś granice! Zachorować na anginę na kilka godzin przed Nowym Rokiem to już nie jest zwykły pech. To ironia losu. Przeznaczenie.

Prawo butersznyta¹ - stwierdził tata. Pewnie miał rację. Tata nierzadko mówi całkiem sensowne rzeczy. O prawie butersznyta powiedział po raz pierwszy trzy lata temu. Andrzej T. pomyślał wtedy, że butersznyt musi być nazwiskiem wielkiego niemieckiego uczonego, wpisał nawet Butersznyta zamiast Heisenberga do krzyżówki, wywołując u brata atak nieopisaną i obelżywą wesołość. Wiele wody upłynęło od tego czasu i wiele butersznytów wypadło z rąk na podłogę, chodnik i, zwyczajnie, na czarną ziemię, zanim Wielkie Prawo utrwaliło się w świadomości Andrzeja w całej swej ostrości: butersznyt zawsze pada masłem (wędliną, serem, konfiturą) na dół i nie ma na to rady.

Nie ma na to rady!

Jeżeli człowiek pozwoli ściągnąć na klasówce Milce Ponomariowej, człowiekowi stawiają pałę za to, że ściągał od Milki.

¹ Butersznyt - kromka chleba z masłem, wędliną, serem itp. (przyp. tłum.).

Jeżeli człowiek spokojnie i nie wadząc nikomu, siada przed telewizorem, żeby rozkoszować się jednym z siedemnastu mgnień wiosny, to każą mu wstać, naciągają odświętne ubranie (wypisz-wymaluj kaftan bezpieczeństwa) i prowadzona imieniny do babci Warii, która oczywiście telewizora nie posiada.

A jeżeli człowiek, udręczony przez literaturę i geografę, wypieści w głębi duszy czystą i niewinną nadzieję na spędzenie Nowego Roku i zasłużonych ferii w Gribanowskiej Czatowni - wszystko przepada: człowieka poraża nagła angina mieszkowa, i niech jeszcze dziękuje, że to nie dżuma, nie trąd i nie liszaj strzygący...

O 19.05, w celu sprawdzenia, czy sytuacja nie uległa zmianie, Andrzej T. eksperymentalnie przełknął ślinę. Sytuacja zmianie nie uległa: gardło bolało. Na próżno, okazuje się, łykał wstrętne, gorzkie proszki, płukał umęczone struny głosowe odrażającymi roztworami, tolerował na szyi kłujący wełniany szalik. Być może mama powinna była posłuchać rad babci Warii i obłożyć szyję siekanym śledziem. Jednak w głębi duszy Andrzej zdawał sobie sprawę, że nawet i ten środek, barbarzyński i ostateczny, niczego by nie zmienił. Przepadła świąteczna noc, przepadły ferie, przepadło wszystko, z myślą o czym mógł żyć i pracować przez ostatni miesiąc drugiego kwartału. Trudno było wytrzymać ze świadomością tego faktu i Andrzej T. pozwolił sobie na wydanie niegłośnego jęku. Był to jęk męznego człowieka zamkniętego w pułapce bez wyjścia. Jęk astronauty spadającego w rozbitej rakiecie w czarną otchłań kosmosu, skąd nie ma powrotu. Słowem, był to jęk rozdzierający duszę.

A tata i mama byli już zapewne na miejscu, w okolicach Gribanowskiej Czatowni, gdzie tak dziwnie lśnią w poświęcie ogniska puchate zasy, gdzie uginające się pod śniegiem gałęzie sosen i świerków rzucają tajemnicze cienie. Gdzie można drążyć w śniegu tunele, wydając okrzyki wojenne uganiać się po lesie, a potem wdrapać się na piec i długo w noc słuchać śmiechu i przekomarzań dorosłych oraz pieśni starszego brata-studenta śpiewanych przy wtórze gitary...

Gwoli sprawiedliwości należy nadmienić, że nagła angina Andrzeja T. mało nie spowodowała odstępiania od zwyczaju corocznej rodzinnej wyprawy. Najpierw mama oznajmiła stanowczo, że skoro tak, to ona, mama, zostanie ze swoim Andriuszeńką i do żadnej Gribanowskiej Czatowni nie pojedzie. Zaraz też, nie chcąc jej ustępować w wielkoduszności, w podobnym sensie wypowiedział się i tata. Nawet brat-student całkowicie skądinąd pozbawiony uczuć rodzinnych, zwłaszcza jeśli rzecz dotyczyła małokalibrowego karabinka, dwunastokrotnej lupy czy wspomnianego uprzednio japońskiego kalkulatora - również podjął się spędzić świąteczną noc „przy łożu boleści”, mając zapewne na myśli łóżko Andrzeja T. Wyjście z kłopotliwej sytuacji znalazł dziadek. Dowiedziawszy się w ostatniej chwili, jak się rzeczy mają, przyszedł i wygonił wszystkich z domu, po czym puścił oko do Andrzeja i nucąc pod nosem: *Oj, tam na górze, tam żeńce zna*, oraz szeleszcząc gazetami, rozlokował się w sąsiednim pokoju. Dziadek to człowiek z autorytetem, pułkownik rezerwy i deputowany, ale wielu rzeczy niestety nie rozumie.

O 19.08 Andrzej T. ponowił eksperyment z łykaniem śliny. Sytuacja nie uległa zmianie. A więc Andrzej T. spuścił nogi z łóżka, namacał kaptcie i powłókł się do łazienki płukać zdradzieckie

gardło ciepłym naparem z nagietka. Zadarł głowę i patrząc w sufit, bulgocąc i chlupiąc, rozmyślał dalej. Właściwie co to takiego - męstwo?

Męstwo - to jeśli człowiek się nie poddaje. Walczyć, poszukiwać, znaleźć i nie ugiąć się. Kiedy człowiek ma anginę, nie może walczyć ani poszukiwać, pozostaje jedno: nie poddawać się. Można na przykład posłuchać radia. Można powoli i ze smakiem przeglądać klaser ze znaczkami. Jest nowa antologia fantastyki. Jest stary tomik Trzech muszkieterów. W ostateczności - jest kot Murziła, którego już dawno pora wytrenować na bramkarza. Nie, męzny człowiek, nawet chory do utraty samodzielności, zawsze się do czegoś przyda.

Nawiasem mówiąc, dziadek do tej pory nie został wprowadzony w arkana gry w „durnia”.

Świat nieco pojaśniał. Andrzej T. odstawił pustą szklankę na półkę i wyszedł do przedpokoju. A w przedpokoju zobaczył na stoliku pod lustrem telefon. A zobaczywszy telefon stanął jak rażony gromem. Wprost niemożliwe, żeby taka prosta rzecz nie przyszła mu do głowy wcześniej. Stary, wierny druh Gienka - oto kto jest mu potrzebny! Pomóc oczywiście też nie pomoże, ale z nim będzie można porozmawiać jak równy z równym, po męsku, powściągliwie poskarżyć się na los i usłyszeć w odpowiedzi męskie, powściągliwe słowa pociechy i współczucia. Andrzej T. podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

Telefon odebrał sam Gienka Arbuz, hałaśliwie wyraził swą radość i zapytał, co słyhać w Gribanowskiej Czatowni.

Andrzej T. odpowiedział, że jest nie w żadnej Gribanowskiej Czatowni, a w domu, i po męsku, powściągliwie poinformował przyjaciela o swojej anginie i swoim opuszczeniu. Po czym Gienka Arbuz pomilczał trzydzieści sekund, rozmyślając i nagle oznajmił:

- Nie trać odwagi, staruszk. Nie zginiemy. Równo o dziewiątej będę u ciebie. Pogramy w autodrom i w ogóle.

Andrzejowi aż dech zaparło.

- Co? - zapytał zmieszany.

- Czekaj na mnie równo o dziewiątej - po męsku, powściągliwie rzekł wierny druh Gienka, zwany Arbuzem. - Cześć.

I w słuchawce zapiszczał krótki sygnał.

Świat nie tylko pojaśniał. Świat rozbłysnął. Andrzej T. wyobraził sobie, jak Gienka - ogromny, pyzaty, z autodromem pod pachą, pachnący noworocznymi mandarynkami i mrozem - pakuje się w te oto drzwi i jak ściągając kurtkę, bębni: „Za nic mnie puścić nie chcieli, więc mówię, a niech was licho, mówię, porwie, tam Andriucha leży i ledwie dyszy, a wy mnie w domu trzymacie...” Tak. Gienka. Wierny przyjaciel. Arbuz. Andrzej T. ostrożnie odetchnął, położył słuchawkę i zamrugął, bo coś go podejrzanie zaszczypało w oczy. Przyjaciel. Tak.

Wrócił do łóżka i wlaź pod kołdrę. Właściwie to szczególnie dziwić się czy rozczułać nie ma powodu. Prawdziwa męska przyjaźń nie ma sobie równych. Sam Andrzej T. nie wahałby się ani minuty, a dla Gienki nawet minuta to za długo. Jest jednak Gienka Arbuz człowiekiem czynu, rusza przyjacielowi na pomoc bez oglądania się za siebie. Jakoś wiosną, pod wieczór, kompania

niedobitych basmaczy z sąsiedniej szkoły osaczyła Andrzeja na ciemnych peryferiach parku Zwycięstwa i po krótkich wyjaśnieniach kto jest kim, zaczęła niezbyt boleśnie, ale upokarzająco tłuc go torbami z tenisówkami i innym sportowym barachłem. Na to zjawił się Gienka Arbuz. Wtargnął w krąg napastników i waląc na prawo i lewo potężnymi łapskami, pomieszał szyki nieprzyjaciela. Co prawda sprano ich wtedy dotkliwie, ale choć ustąpili z pola walki w bezładzie, to jednak z honorem. Tego się nie zapomina.

I Andrzej T. zawołał radośnie:

- Dziadku! Chodź do mnie, nudno mi samemu!

Była 19.21.

O 20.47, kiedy Andrzej T., obracając w palcach wziętą do niewoli wieżę, rozmyślał nad kolejnym posunięciem, dziadek zmiękł w fotelu, pochylił siwą głowę i niegłośnie zachrapał. Andrzej T. spojrzawszy nań, opadł na poduszki i zaczął czekać. Gienka Arbuz powinien był zjawić się lada chwila.

O 21.34 Andrzej T. wstał i na palcach powędrował do łazienki.

Przyjaciela Gienki wciąż jeszcze nie było. Uporawszy się ponownie z nagietkowym naparem Andrzej T. w zadumie popatrzył na telefon, ale powstrzymał się i znowu wrócił do łóżka. Mało to rzeczy... przemknęła mu przez głowę niejasna myśl.

O 21.53 Andrzej T. cisnął antologię fantastyki i usiadł, obejmując rękoma kolana. Dziadek spał w fotelu naprzeciwko z odrzuconą do tyłu głową i całkiem otwarcie pochrapywał. Kot Murziła w pozie Bagheery - Czarnej Pantery - oddawał się drzemce na wyłączonym telewizorze. Na taborecie obok łóżka milczał ulubieniec i męczennik Andrzeja, radioodbiornik klasy drugiej „Spidola”, onże Spicha, onże Spirydion, onże szelma Spidlec, w zależności od poziomu zakłóceń i nastroju. Gienka zwany Arbuzem nie przyszedł.

Andrzej T. nachmurzył się. Było mu niewygodnie, nieprzyjemnie, strasznie. W gardle piekło. Światło w pokoju to przygasało, to rozbłyskiwało oślepiająco. Żeby oderwać się od złych myśli, Andrzej wziął Spichę i przekręcił gałkę. Zatrzeszczało, przebiła się jakaś niewyraźna muzyka i nagle rozległ się znajomy głos. Wyraźny, choć jakby lekko przyduszony głos Gienki Arbuza przemówił:

- Andriucha... Andriucha... Słyszysz mnie?... Andriucha... Stary, ginę... Ratuj...

Andrzej T. podskoczył w miejscu (wyprostowało go jak stalową sprężynę). Rozejrzał się spłoszony. Potrząsnął głową. Przełknął ślinę i nie poczuł bólu. W eterze szumiało i Spidlec głosem Gienki Arbuza monotonicznie raz po raz powtarzał:

- Słyszysz mnie?... Andriucha... Stary, ginę... Ratuj... Andriucha... Słyszysz mnie?...

Nie ma co ukrywać: Andrzej T. stracił głowę. Kto by zresztą na jego miejscu nie stracił? Jakim to sposobem Gienkę Arbuza zanosło w ziemski eter? Co się z nim stało? Gdzie jest? Nie odrywając wzroku od skali długości fal, Andrzej zapytał nieśmiało:

- Gdzie jesteś, Gienka?

Spirydion głosem Gienki dalej wzywał pomocy, ale w pewnej chwili coś stało się z jego skalą. Rozjarzyła się zielonkawym, migotliwym światłem i zamieniła w ekran, taki jak w japońskim kalkulatorze brata. Po ekranie od prawej strony do lewej przemknęły słowa.

Andrzej T., lodowacając, czytał:

JEŻELI CHCESZ URATOWAĆ MUSISZ ZDAŻYĆ PRZED PÓLNOCĄ WEJŚCIE W KUCHNI OBOK LODÓWKI JEŻELI CHCESZ URATOWAĆ MUSISZ ZDAŻYĆ PRZED PÓLNOCĄ WEJŚCIE W KUCHNI OBOK LODÓWKI JEŻELI CHCESZ URATOWAĆ...

Dryń! Wszystko znikło, skala znowu była tylko skalą, a monotony głos Gienki Arbuza zamilkł w pół słowa.

- Tak! - powiedział głośno Andrzej T. - Więc to tak!

Właściwie rozumiał, jak i przedtem, niewiele. Jasne było tylko, że druh Gienka znalazł się w jakichś straszliwych opałach, że pomoc musi nadejść przed północą!... Co to tam było o jakimś wejściu w kuchni obok lodówki? Andrzej T. wiedział doskonale, że żadnego wejścia obok lodówki nie ma, są za to dwie białe szafki kuchenne.

A jeśli nawet wejście jest, to w najlepszym wypadku prowadzić może prosto w mroźne wieczorne powietrze na wysokości czwartego piętra. Tak, było o czym pomyśleć i nad czym się zastanawiać, i Andrzej T. zaczął namyślać się i zastanawiać, aż nagle odezwał się Spicha: cichutko, ale nadzwyczaj wyraźnie zanucił początkowe takty dobrej, starej piosenki:

Druhowi na ratunek! Wyzwolić przyjaciela z więzienia i niewoli!...

I momentalnie w Andrzeju T. zawrzała krew, Gienka Arbuza nie namyślał się, nie zastanawiał wtedy wiosną, w ciemnych alejkach parku Zwycięstwa. Nie namyślał się i nie zastanawiał dwie godziny temu, kiedy usłyszał o anginie i samotności...

Andrzej T. spojrział na fosforyzującą tarczę zegara nad sobą.

Czarne wskazówki pokazywały 22.11. Andrzej T. rozejrzał się po pokoju. Dziadek spokojnie pochrapywał w swoim fotelu. Kot Murziła na telewizorze powoli, nie unosząc głowy, otworzył połyskujące zielenią oczy. Andrzej T. energicznie spuścił nogi z łóżka.

Starając się poruszać możliwie cicho, ubrał się w dres wiszący szczęśliwie w zasięgu ręki, na oparciu fotela, i przekradł się do przedpokoju. Bez wątpienia zapowiadała się poważna wyprawa i należało przygotować się do niej starannie. Andrzej T. założył wełniane skarpety i zimowe buty. Narzucił kurtkę narciarską, zaciągnął zamek błyskawiczny aż po wełniany szalik i złapał w charakterze broni składany, metalowy statyw aparatu fotograficznego, ciężki i układający się w dłoni jak maczuga legendarnego witezia. Przymierzając bojowy statyw do prawej ręki, nie bez zdumienia zauważył w lewej ukochaną „Spidolę”. Dziwne: skąd wzięło się radio w ręce, którą dopiero co zapinał kurtkę? A poza tym skąd wziął się statyw? To przecież nie nasz statyw, my nie mamy statywu i w ogóle nigdy żadnego statywu nie mieliśmy.

Ale nie było czasu na rozmyślanie i zastanawianie się, nadeszła godzina czynu. Godzina 22.21.

Wejście obok lodówki Andrzej T. zauważył od razu, z progu kuchni. Okazało się, że prawa szafka nie przylega ściśle do lodówki, a odstaje od niej na jakieś czterdzieści centymetrów i pomiędzy nimi zieje w ścianie ciemny prostokątny otwór, w sam raz dla niskiego człowieka.

Dziura miała wygląd tak odpychający, że Andrzej T. zawahał się. Oczami duszy ujrzał śliskie, nadkruszone stopnie schodzące do cuchnących podziemi, zardzewiałe haki w ścianach, szukające tylko okazji, żeby wybić oko, i jakieś jeszcze szare, kosmate, kłębiące się stworzenia z płonącymi czerwono ślepiami...

Andrzej T. nigdy nie był tchórzem. Po prostu czasami bywał zwolennikiem rozsądnej ostrożności. Tak też i teraz - zrozumiał wyraźnie, że godzina czynu chwilowo ustąpiła miejsca minucie zdrowego rozsądku. Przed nami jakieś podziemia? Pięknie. Czy w takim wypadku nie należy sporządzić najpierw smolnej pochodni? Czy nie należy zmienić zimowych butów na, powiedzmy, buty gumowe?

I czy w ogóle nie pora wprowadzić do akcji dziadka, frontowego oficera, mającego, nawiasem mówiąc, doświadczenie w ściganiu wroga w tunelach berlińskiego metra? Albo jeszcze lepiej - zatelefonować do wspaniałego człowieka, wychowawcy klasowego Konstantina Pawłowicza, byłego czołgisty i kawalera Orderu Sławy?

Wiadomo, że istnieje jedyna metoda, żeby coś zrobić - mianowicie, zrobić to, a wykręcać się można na tysiąc sposobów, trudno więc orzec, jak sprawy mogłyby się potoczyć dalej, lecz Spicha, szelma Spidlec znowu zanucił pierwsze takty słynnej muszkieterskiej piosenki i krew w Andrzeju T. znów zawrzała. Przyznał otwarcie sam przed sobą, że i buty gumowe, i smolne łuczywa, i wszelkie inne mogące mu przyjść do głowy rekwizyty - to nic innego jak niepoważne głupstwa i wykręty. Jak może zdrowy (a choćby nawet i trochę chory) chłopak kryć się za plecami weterana Wielkiej Wojny! A plątać się między lodówką a szafką kuchenną - podczas gdy Gienka ginie i czeka na pomoc - po prostu wstyd. Andrzej T. ruszył do przodu i zanurzył się w czeluść otworu.

Przyjemnie się rozczarował. Nie zobaczył ani oślizgłych stopni, ani przerdzewiałych haków, ani snujących się szczurów. Zobaczył długi, biurowy korytarz, skąpo oświetlony przez zakurzone żarówki w metalowych kloszach z poobijaną emalią. Pachniało kancelarią, na tynkowanych ścianach powiewały poruszane przeciągiem kartki z wyblakłymi, pisanymi na maszynie tekstami. Rzuciło się w oczy dziwaczne wezwanie: Tow. EMERYCI! UPRASZA SIĘ NIE PALIĆ, NIE ŚMIECIĆ i NIE HAŁASOWAĆ. Wzdłuż korytarza, po prawej i po lewej stronie ciągnęły się szeregi odrapanych drzwi z ciemnymi plamami wokół klamek i każde z drzwi ozdabiał napis, z reguły groźny i w trybie rozkazującym: NIE PUKAĆ!, NIE GAPIĆ SIĘ NA BOKI! a nawet MINAĆ SZYBKO i NIE OGLĄDAĆ SIĘ!

Andrzej T. szedł powoli, machinalnie odczytywał napisy, zastanawiając się, za którymi drzwiami ma szukać Gienki, i nagle uderzyła go myśl, że zupełnie nie wiadomo, dokąd korytarz prowadzi według pobieżnego rachunku powinien był początkowo przebić ścianę domu, przejść nad ulicą i zagłębić się w balkony kina Kosmos.

Zaskoczony stanął i wtedy odkrył, że korytarz się skończył. Przed nim była ślepa ściana, a po bokach dwoje ostatnich drzwi. Napis na lewych głosił wyzywająco: DLA ŚMIAŁYCH. Napis na prawych szczyrzył się protekcjonalnie: DLA NIEZBYT.

Andrzej T. ściągnął brwi i pogrążył się w autoanalizie.

Skromność wymagała przyznania, że z odwagą nie było za dobrze. Co prawda w pierwszym kwartale udało mu się wspiąć po schodach przeciwpożarowych na wysokość czwartego piętra, ale po powrocie na twardy grunt tak dygotały mu ręce i nogi, że zauważyli to wymagający sekundanci i przyszło się tłumaczyć nagłym atakiem zastarzałej choroby Parkinsona (z powodu nadmiaru zajęć nie zdołał sprawdzić, czy taka choroba w ogóle istnieje i, o ile istnieje, czy chorują na nią ludzie). Jednym słowem skromność radziła wybrać prawe drzwi i Andrzej T. usłuchał jej. Z determinacją otworzył drzwi z napisem „Dla niezbyt”.

Tak. Za drzwiami był znajomy pokój. W znajomym fotelu pochrapywał znajomy dziadek, na znajomym telewizorze mrużył oczy znajomy kot, ze znajomego łóżka zwisała znajoma kołdra.

Andrzej T. stanowczo zamknął drzwi. Skromność skromnością, ale nie za taką cenę! Nawiasem mówiąc, żadnego nieszczęścia nie ma. Wybierając prawe drzwi przynajmniej postąpił uczciwie, a jak wiadomo - „uczciwość to coś więcej niż śmiałość - to męstwo!” (ze spóźnionej przemowy babci Warii spowodowanej zatajeniem dwójki ze sprawowania za pewien śmiały wyczyn na lekcji rysunków).

Cóż, wypadnie być nie tylko uczciwym, ale i śmiałym, to wszystko.

Andrzej T. mocniej zacisnął zęby, podszedł do lewych drzwi i otworzył je jednym szarpnięciem.

Nic szczególnego. Tunel z ceglanyimi ścianami, niski i wilgotnawy, ale całkiem schludny i cichy. Cementowa podłoga. Na podłodze widać ślady najwidoczniej powstałe zanim cement się związał.

Hm. Dziwne ślady. Nie Gienki. Hm. Wygląda na to, że przeszedł tędy koń. Kopyta. Hm...

Andrzej T. wędrował tunelem z niejaką obawą, starając się iść blisko ściany i jak najdalej od dziwnych śladów. Był gotów na wszystko, lecz nic się na razie nie działo. Pomału nabierał otuchy, zaczynał nawet czuć się człowiekiem nie tylko męznym, ale i śmiałym. Zdaje się, że Spirydionowi również poprawił się humor. W każdym razie zaczął podśpiewywać półgłosem: Miłością moją jest karabin, karabin i klinga ukochanej szabli...

Znienacka ściany tunelu rozsunęły się, zapłonęły jaskrawym światłem jarzeniówki, zaśniły, zaiskrzyły się białe i czarne kafelki.

Andrzej T. stanął i zamknął porażone oślepiającym blaskiem oczy.

Kiedy je otworzył, dostrzegł, że stoi na samej krawędzi basenu pływackiego.

Tak, był to najzwyczajniejszy basen pływacki, w jakim Andrzej T. zdawał niegdyś egzamin na odznakę GTO, wyłożony kafelkami, szeroki na dziesięć metrów i długi na pięćdziesiąt.

Było jasne, że dalsza droga do Gienki Arbuza musi prowadzić przez szeroki otwór drzwiowy, ciemniejący za lekką zasłoną pary po drugiej stronie basenu. Było też jasne, że obejść basenu się

nie da, bowiem pasemko podłogi między krawędziami basenu a ścianami jest idiotycznie wąskie i w dodatku nachylone pod kątem jakichś czterdziestu pięciu stopni, tak że alpinista w rakach by się nie utrzymał. Trzeba będzie wplaw albo w bród, pomyślał z niechęcią Andrzej T. i dopiero wtedy zauważył, że w basenie nie ma ani kropli wody.

Wszystko układało się pomyślnie. Nawet jakby zbyt pomyślnie.

Jeżeli człowiekowi, o którym z góry wiadomo, że powinien być śmiały, los rzuca pod nogi suche baseny, dobrze jest rozejrzeć się dokoła. Andrzej T. rozejrzał się i to, co zobaczył, wcale mu się nie spodobało.

Na dnie basenu, na czystych, suchych kafelkach leżały porozrzucane jakieś zaskorupiałe szmaty i inne równie niechlujne przedmioty.

Andrzej T. dostrzegł podartą wełnianą skarpetę, starą koszulkę gimnastyczną z numerem, wystrzępione spodnie, wywinętą na lewą stronę baranicę, zardzewiałą pompkę od roweru i czaszkę. Na widok czaszki serce podskoczyło mu do gardła: Gienki! I od razu westchnął z ulgą: czaszka była krowia, ze szkolnego gabinetu biologii.

Andrzej T. zawahał się, chociaż doskonale rozumiał, że ominąć basenu nie może. Podniósł wzrok. Czarne wskazówki na fosforyzującej tarczy pokazywały 22.37. Czas naglił. Andrzej T. wahał się jeszcze przez trzy sekundy i energicznie zeskoczył na kafelkowe dno.

Znalazłszy się w basenie spieszenie pomaszzerował w stronę przeciwnieległej krawędzi, która nagle jakby się odsunęła niewiarygodnie daleko. Początkowo po prostu szedł, potem szedł szybko, potem bardzo szybko, w końcu puścił się biegiem. Nie, nie na darmo podstępny los umieścił ten basen na jego drodze. I podejrzane szmaty z czaszkami też znalazły się w tym basenie nieprzypadkowo! Andrzej T. nie zdążył pokonać nawet połowy odległości, gdy usłyszał ogłuszający, bulgocący ryk. Z czterech stron naraz, z jakichś niewidzialnych rur chlusnęły wściekle potoki mętnej, spienionej wody, buchającej parą jakby od tłumionego szaleństwa.

Odwrót nie miał sensu, to Andrzej T. zrozumiał od razu. Pozostawało iść naprzód. I wspomniawszy swe dawne sukcesy w biegu na sto metrów wyrwał do przodu z takim przyspieszeniem, jakby chciał pobić wszystkie olimpijskie rekordy Walerego Borzowa.

Możliwe nawet, że udałoby mu się pobić, ale nie zdążył. Dopadły go mętne fale, uderzyły po nogach, zamoczyły aż po czubek głowy.

- A-ja-ja-ja-jaaaj! - zaszlochał latynoamerykańskim głosem przerażony Spicha.

- O nie! - ryknął Andrzej T.

Mętne, spienione bałwany starały się przewrócić go i utopić, ale on rwał do przodu podobny już nie do Borzowa, a do szybkobieżnego ślizgacza mknącego na redanie.

Potem dno uciekło mu spod nóg, rzucił na pastwę losu bojowy statyw, wyżej nad głowę podniósł Spirydiona i popłynął. Rozpaczliwie pracował nogami i rozpaczliwie zagarniał wodę prawą ręką.

Niczego nie widział poprzez bulgocącą pianę i kłęby pary, w uszach miał ryk fal przerywany rozpaczliwym piskiem Spirydiona i ciągle zagarniał wodę prawą ręką i odrzucał nogami, zagarniał

i odrzucał, zagarniał i odrzucał, przez całą wieczność, dopóki nie wbił się w przeciwległą ścianę z taką siłą, że zahaczało w całym ciele, od porażonej głowy po piętę.

W chwilę później już stał na górze, na suchej podłodze wyłożonej czarnymi i białymi kafelkami. Stał i drżał ze zdenerwowania, ociekał wodą i wciąż jeszcze trzymał wysoko nad głową swego Spirydiona, i z tęnym zainteresowaniem patrzył, jak woda w basenie, kipiąc i buchając parą, skręca się w leje i z głośnym cmokaniem znika w niewidzialnych rurach. Oto już pokazało się dno i znowu ujrzały światło niechlujne szmaty przemieszane z zardzewiałym żelastwem, tyle że teraz pośród tych wszystkich starych spodni i kości jak samotna sierotka połyskiwał w blasku jarzeniówek bojowy statyw.

- Wszystkich i tak nie uratujesz, prawda? - zapytał nieznajomy głos. Dopiero wtedy Andrzej T. zauważył, że obok niego ktoś stoi.

Był to pokaźnego wzrostu mężczyzna, ubrany w ogrodniczki na gołe opalone ciało. Podobny był do sąsiada z klatki schodowej zwanego powszechnie Koniem Kobyłyczem. Głos miał niski, przyjemny, a spojrzenie przyjacielskie i łagodne.

- Masz szczęście, że choć z życiem uszedłeś - ciągnął dalej. Rozbieraj się, podsuszymy ubranie. Pożywić się też nie zaszkodzi...

Raz-dwa uwolnił Andrzeja z przemoczonej odzieży, szybko i zręcznie rozwiesił ją na gorących rurach centralnego ogrzewania, a na gołe ramiona chłopaka narzucił ogromny, ciepły i włochaty ręcznik, - Zuch, zuch... - pogadywał przy tym. - Że się tak wyrażę; rycerz bez lęku i skazy... Zuch chłopak, nie da się zaprzeczyć...

Posadził Andrzeja przy stoliku w zacisznym miejscu pod ścianą, szybko i zgrabnie ustawił na serwecie wielki czajnik pełen wrzątku, pękaty imbryk i malowaną w kwiaty filiżankę ze spodeczkiem. Po czym przysiadł się sam.

- Tak przecież nie wolno - tłumaczył z łagodnym wyrzutem. Tu głową trzeba pracować, głową. A wy wszyscy nic, tylko nogami.

No i pojadłeś szydłem miodu. Nieee, jak nie znasz brodu, nie wchodź do wody. A tak - durna głowa nie da nogom spokoju, za nic nie da.

Proszę mi wierzyć, często droga prosta zygzakom nie sprostają...

Andrzej T. słuchał i dziwił się, ale popijał z malowanej w kwiaty filiżanki mocną herbatę z mlekiem i pogryzał coś białego, pulchnego, w życiu codziennym prawie niespotykanego, jak należało przypuszczać - kołacz.

- Ty, ogóreczku miły, wzięłeś się za sprawę niebezpieczną i beznadziejną - ciągnął nowo objawiony Koń Kobyłycz. - Ty nawet pojęcia nie masz, dokąd cię to zaprowadzi. Przeszedłeś przez wodę.

Dobrze. Wręcz wyśmienicie. A ogień? A miedziane rury? O tym pomyślałeś, groszku mój cukrowy? Własnej głowy, załóżmy, nie żal ci. A o mamie pomyślałeś? Pomyślałeś o swojej matce? Nie pomyślałeś. Po oczach widać, że nie pomyślałeś, kartofelku wiosenny ty mój. A o ojcu?

Całe ogromne doświadczenie czternastu lat życia mówiło Andrzejowi T, że gdy starsi sięgają po podobne argumenty, słuchać należy w milczeniu i z miną możliwie skruszoną. Tym niemniej Andrzej T. odsunął filiżankę i rzekł z godnością:

- Rzeczywiście, ale ja...

- Nie pomyślałeś! - wrzasnął Koń Kobyłycz i dolał mu herbaty. - O ojcu też nie pomyślałeś!- Ale przecież Gienka...

Koń Kobyłycz wznosił ręce nad głowę.

- No tak, rozumie się, Gienka! - zawołał z bolesnym uśmiechem. - Gienka nade wszystko. Uber alles, że się tak wyrażę. A matka niech włosy rwie z żalu i pada zemdlona! A ojciec niech zgrzyta zębami z bezsilnej rozpacz i ślepnie od skąpych męskich łez! Niech tam! Najważniejszy oczywiście jest Gienka!

Tu Spirydion, stojący dotychczas cicho na brzeżku stołu, zaśpiewał zniecka:

Kiedy poczujesz, że twój druh to nie przyjaciel, choć może nie wróg...

Koń Kobyłycz wyciągnął rękę, szczerką przełącznikiem i zestawił Spirydiona pod stół.

- Gienka, tylko o nim dzień i noc myślimy - ciągnął dalej z goryczą. - Dla niego dokonujemy bohaterskich czynów, zamiast jeszcze raz wziąć do ręki podręcznik literatury. Durnia Gienkę ratować to jest wyczyn i w ogóle hurra, a wygrzebać się na mocną czwórkę z literatury... No, ale przecież Gienka...!

Andrzej T. nachmurzył się. Koń Kobyłycz przy całej swojej gościnności i innych zaletach był tylko niepoważnym gadułą i niczym więcej. Andrzeja korciło, żeby odwrócić się do niego plecami i zagwizdać na przykład marsz z Mostu na rzece Kwai. To wszystko o rodzicach i Gience było głupie i niesprawiedliwe. Są rzeczy, które trzeba zrobić niezależnie od wszystkiego. Na przykład ludzie idą walczyć za ojczyznę. Albo giną, ratując kobiety i dzieci. Albo lecą w kosmos. Jeszcze mało? I nie ma powodu, żeby mieszać do tego rodziców ani tym bardziej trójki z literatury. I nie ma powodu, żeby wyłączać Spirydiona.

Andrzej T. stanowczo odsunął filiżankę i wstał.

- Dziękuję - powiedział. - Na mnie pora.

Koń Kobyłycz uśmiechnął się z sympatią.

- Posiliłeś się? - spytał przymilnie.

- Posiliłem. Dziękuję.

- Osuszyłeś się?

- Osuszyłem. Dziękuję.

- Samopoczucie w normie?

- W normie.

- Jeżeli tak, to będziemy się ubierać. Andrzej T. zaczął się ubierać. Chciał odejść jak najszybciej, dość miał obecności Konia Kobyłycza, ale tamten kręcił się dookoła i pomagał zakładać, sznurować, wiązać i zapinać. Kiedy zapięli ostatni zamek (przy narciarskiej kurtce), odstąpił na krok, przyjrzał się z lubością i rzekł:

- Ślicznie. A teraz do domu, do mamusi.

Figę, a nie do mamusi, pomyślał ze złośliwą satysfakcją Andrzej T. Wyjął spod stołu Spirydiona i spojrzał na fosfory żującą tarczę na ścianie. 23.03.

- Do widzenia - powiedział i ruszył ku wyjściu.

- A ty gdzie? - krzyknął Koń Kobyłyecz. - Nie tędy! Z powrotem!

- Tędy, tędy - uspokajająco odparł Andrzej T., nawet nie oglądając się za siebie. - Właśnie tędy!

- A co z mamą? - lamentował za nim Koń Kobyłyecz. - A miedziane rury? Zapomniałeś o miedzianych rurach!

Ale Andrzej T. nie odezwał się więcej. Przekręcił gałkę radiodbiornika i Spidlec natychmiast zakwilił:

Rozstajemy się na zawsze, niech płyną lata...

Za progiem znajdowała się skąpo oświetlona sala z lustrzanym parkietem i z powietrzem o tak niezwykłym składzie, że już na dwadzieścia metrów niczego nie można było dostrzec przez dziwną bezbarwną mgłę. Jednak od samego progu prowadziła przez parkiet ścieżka ciemnego drewna i Andrzej T. pojął, że zabłądzenie mu nie grozi.

Raźno pomaszerował po czarnych polerowanych kwadratach, starając się odpędzić odbierające energię wspomnienia o swoim wyczynie w basenie i o słodkiej herbacie z mlekiem i kołaczem.

Uważał, że główne próby dopiero nastąpią i trzeba być na nie psychicznie przygotowanym. Wkrótce osiągnął swój cel: słowa Konia Kobyłyecz o miedzianych rurach i o ogniu też, początkowo niedbale puszczone w niepamięć, nie wychodziły mu z głowy.

W chwili, kiedy owe złowieszcze słowa zapuściły w świadomości Andrzeja szczególnie mocne korzenie, czarna ścieżka pod nogami nagle się rozdzieliła. Dwie identyczne czarne ścieżki rozchodziły się w prawo i lewo, przy czym w poprzek prawej dużymi białymi literami napisano: DLA MĄDRYCH, a w poprzek lewej - DLA NIEZBYT.

Andrzej stał na rozstaju założywszy do tyłu ręce ze Spirydionem i gorzki, mądry uśmiezek stygł na jego kształtnych wargach. Uporawszy się z dziecinną ochotą, aby krzyknąć w przestrzeń coś obraźliwego i pogrozić (też w przestrzeń) pięścią, przeprowadził krótki monolog wewnętrzny:

- Ha! Komuś tu wyraźnie zabrakło pomysłów. Mówiąc wulgarnym żargonem Paszki Drobotona, kawał z brodą to chała nie kawał.

Znowu stawiają nas przed niehonorowym wyborem: albo zapomnisz o skromności, albo - wracaj do domu, do mamusi. Ten numer nie przejdzie, proszę państwa! Jak mówi mój brat-student: trywialne i leży na wierzchu. Łatwo zauważyć. Wybacz, skromności moja.

Z ironicznym uśmiezkiem (trudna sztuka, opanowana w swoim czasie kosztem dwóch godzin straszliwego wykrzywania się przed lustrem w przedpokoju) Andrzej T. wstąpił na drogę dla mądrych.

Nawiasem mówiąc, gwałt dokonany na własnej skromności niezbyt go bolał. O wiele ważniejszy był fakt, że w najbliższej przyszłości najwidoczniej nie należało spodziewać się

żadnych basenów z oszalałymi wodami i w ogóle żadnych dotkliwych dla ciała eksperymentów. Rozum to rozum, proszę państwa. Najwyżej trzeba będzie ostro wysilić szare komórki, a to jakoś przeżyję.

Droga dla mądrych okazała się dziwnie krótka. Kończyła się przed zwykłymi drzwiami. Nie tracąc ani chwili, wciąż jeszcze z ironicznym uśmiechem na ustach, Andrzej T. chwycił za klamkę i pociągnął.

Andrzej T. osłupiał. Za drzwiami znajdował się wciąż ten sam znajomy pokój. W znajomym fotelu chrapał, aż się ściany trzęsły, znajomy dziadek, na znajomym telewizorze wylegiwał się znajomy kot Murziła, ze znajomego łóżka zwisała znajoma kołdra. Ach tak!

Andrzej T. cichutko zamknął drzwi. A więc to tak. Tym mnie zwiedliście. To to uważacie za mądrość. Mądry, według was, pójdzie do domu, do łóżeczka. Ha, to już przerabialiśmy. „Mądry na górę nie pójdzie, mądry górę obejdzie”. A Gienka niech sobie u was ginie?

Guzik! Andrzej T. rzucił w przestrzeń parę obraźliwych słów, pokazał (też w przestrzeń) podwójną figę, odwrócił się plecami do beużytecznych drzwi i truchtem pobiegł z powrotem do rozwidlenia.

Droga dla niezbyt mądrych okazała się znacznie dłuższa i Andrzej T. począł już się niepokoić, gdy w białawej mgle przed nim zamajaczyła niebieskawa plama. Jeszcze minuta truchtu i o mało nie uderzył nosem w prostokątną matową szybę wbudowaną w ścianę.

Szyba migotała niebieskim neonowym światłem. Na mlecznym szkle wielkie czerwone litery głośiły: WEJŚCIE, a wielka czerwona strzała wzdłuż napisu pokazywała niebo...Drogowskaz był rzeczywiście niezwykły, ale Andrzej T. nie zdążył nawet zdziwić się jak należy, od razu bowiem odkrył obok ni to schody, ni to drabinę, i była to drabina, tyle że zrobiona nie ze szczebli, a z wmurowanych w ścianę metalowych klamer pokrytych zieloną olejną farbą. Podobną drabinę Andrzej T. widział podczas wycieczki do patronackiego zakładu produkcyjnego, prowadziła (drabina, oczywiście, nie wycieczka) na sam szczyt gigantycznego fabrycznego komina. Tu drabina wiodła w białą mgłę nad głową, a gdzie dalej - nie wiadomo, jako że widać było tylko pierwsze sześć szczebli.

Andrzej T. zerknął na fosforyzującą tarczę - a to dopiero, już kwadrans po jedenastej! - i zaczął rozglądać się, szukając miejsca, gdzie mógłby postawić Spirydiona, Było bowiem jasne, że na tych, za przeproszeniem, schodach przydadzą się wszystkie cztery kończyny, a być może nawet i zęby. Już postanowił wsunąć odbiornik do odkrytego w pobliżu cudacznego kredensu bez szyb i półek, ale Spidlec drżącym tenorem zaintonował nagle stary, rozdzierający duszę romans:

- Nie odchodź, zostań ze mną choć przez chwilę!...

Andrzej T. zatrzymał się speszony.

- A tobie co? - zapytał nieszczerze.

- Nie odchodź! Mnie bez ciebie będzie źle! - z łkaniem w głosie objaśnił Spirydion.

Serce Andrzeja drgnęło.

- No dobra już, dobra... - mruknął i począł wpychać uczuciowy aparat za pazuchę.

Spirydion już półgłosem, ale dalej z łkaniem i histeryczną egzaltacją oświadczył: żeby cię odzyskać, płakać będę w dzień i w nocy... po czym zamilkł, a Andrzej T. popluł w dłoń, chrząknął dla dodania sobie animuszu i rozpoczął wspinaczkę.

Pierwsze szczeble pokonał bez wysiłku i nawet dziarsko - widział jeszcze podłogę, i w razie czego mógłby po prostu zeskoczyć.

Na dziesiątym szczeblu podłoga znikła i musiał zrobić przerwę dla złapania oddechu. Na piętnastym wszystko wokół zasnęła zwarta biała mgła i na dodatek pojawiło się wrażenie, że ściana odchyła się ku środkowi sali niczym sklepienie kopuły. Dziewiętnasta klamra chwiała się jak mleczny ząb. Tu właśnie Andrzej T. okazał małoduszność pomyślał, że warto by było zawrócić na dół i wszystko starannie przemyśleć i rozważyć. Jednakże akurat wtedy wygrzany za pazuchą Spirydion ochryple obwieścił, że od gór lepsze są tylko góry, na których jeszcze nie stanął nikt. Andrzej T. zawstydził się i jednym zrywem pokonał pół tuzina klamer. Dalej nie liczył. Zrobiło mu się całkiem nie do liczenia. Nieludzko rozboleły go ramiona, nogi poczęły drżeć. Bez wątpienia był to atak choroby Parkinsona przybywającej z krainy zmyśleń i głupich fantazji, aby ukarać Andrzeja za zbytnią pewność siebie. O moje ręce! O moje nogi! Jednak znowu eksperymentują na moim ciele, podli! Niedoczekanie ich.

Jak to było? Walczyć, poszukiwać, znaleźć i nie ugiąć się. Nie ugiąć się? W żadnym wypadku! Nawet jeżeli jesteś chory - wszystko jedno na co, anginę mieszkową czy chorobę Parkinsona. Jakie tam mogą być choroby, skoro ginie najlepszy przyjaciel, Gienka zwany Arbuzem? Trzymaj się, Gienka! - mówił do siebie Andrzej T. i czepiał się lodowatych klamer. - Idę, Gienka! - ryczał i gramolił się po mokrych klamrach. - Łżesz, nie pokonasz! - chrypiał i zwisał ze śliskich klamer, oplatając się wokół nich niby tropikalny wąż dusiciel.

Ale wszystko na świecie ma swój kres i w pewnej zaiste pięknej chwili Andrzej T. zorientował się, że już się nie czepia, nie gramoli i nie zwisa, za to upaja się szczęściem, siedząc na twardej podłodze, oparty plecami o twardą ścianę. Ramiona jeszcze bolały, ale niezbyt mocno. Nogi drżały, ale nie odmawiały posłuszeństwa. Andrzej T. obejrzał dłonie. Dłonie, ogólnie rzecz biorąc, były całe i nienaruszone, chociaż paliły, jakby cały wieczór trenował podciąganie na drążku. Należało spodziewać się pojawienia pęcherzy, ale od tego nikt jeszcze nie umarł.

Andrzej T. wstał. Był przekonany, że Gienka Arbuz znajduje się gdzieś w pobliżu. Ale Gienki nie było. Była za to wielka, wyjątkowo skąpo oświetlona sala.

Właściwie sala w ogóle nie była oświetlona. W niej, jak to się mówi, królowała ciemność i w tej ciemności migotało, zapalało się i gasło mnóstwo miniaturowych lampek. W ich słabym, zmiennym świetle można było dostrzec, że całe pomieszczenie wypełniają rzędy masywnych, kanciastych ni to szaf, ni to skrzyń. Wyczuwało się podmuchy ciepłego, a chwilami wręcz gorącego powietrza, pachniało dziwnie i raczej przyjemnie. I było pełno dźwięków. Jakiś przeciągły szelest. Niskie monotonne buczenie. Ostry, dźwięczny trzask.

Znowu buczenie. Znowu szelest. Andrzej T. popatrzył, powęszył, posłuchał i nieśmiało zawołał: - Gienka! Hej, Gienka! Jesteś tu?

Jeszcze nie zdążyło ugrzęznąć w gorącym, pełnym zapachów powietrzu jego ostatnie słowo, gdy sala eksplodowała huraganem nowych blasków i dźwięków. Rozjarzyły się i rozmigotały nowe miriady okrągłych światełek, w atramentowych ciemnościach pod sufitem od prawej do lewej pomknęły chaotyczne roje cyfr, na szelest nałożył się ciągły, dźwięczny świergot, a ostre trzaski zabrzmiały często i natarczywie jak rewolwerowe wystrzały w filmie Siedmiu wspaniałych.

Oszołomiony Andrzej T. schował głowę w ramiona i zaczął się cofać, ale sala akurat ucichła. Uroczysty, doskonale postawiony głos oznajmił:

- Obcy obiekt odnaleziony, zbadany i zidentyfikowany jako Pragnący Przejść...

Jednocześnie po niewidocznym w ciemnościach ekranie pod sufitem pobiegły od prawej do lewej świecące słowa:

OBCY OBIEKT ODNALEZIONY ZBADANY ZIDENTYFIKOWANY JAKO PRAGNĄCY PRZEJŚĆ. . .

- Procedura prezentacji rozpoczęta - ciągnął Głos, i po ekranie pomknęły te same frazy bez spójników, znaków przestankowych oraz diakrytycznych. - Przedstawiam się, mam honor się przedstawić: Wszechmocna Elektroniczna Maszyna Myśląca, Odgadująca i Licząca, w skrócie WEMMOL. Z kim mam honor?

- Właściwie... - niepewnie odparł Andrzej T. - właściwie to ja... jestem Andrzej. Nazywam się Andrzej. Jestem uczniem.

Znowu huragan błysków i dźwięków. Głos milczał, ale na ekranie, wartko mknąc jedno za drugim, rozjarzyły się słowa:

ANDRZEJ IMIĘ ZROZUMIANO UCZEŃ POZYCJA SPOŁECZNA ZROZUMIANO KONIEC PROCEDURY PREZENTACJI KONIEC PROCEDURY KONIEC. . .

Andrzej T. ukłonił się, szurnął nogą i rzekł:

- Właściwie to ja muszę do Gienki. Bardzo się spieszę. Jak mam iść do Gienki?

Głos odpowiedział uroczyście:

- Pragnący Przejść musi zaliczyć dwa etapy egzaminu. Pierwszy etap: ja zadaję pytania. Drugi etap: ja odpowiadam. Proszę zameldować gotowość do egzaminu.

Nawet w lepszych czasach propozycja przeegzaminowania nigdy nie wywoływała u Andrzeja T. pozytywnych emocji. Teraz aż go skręciło ze złości.

- Jaki jeszcze egzamin? - wrzasnął. - Jaki może być egzamin, kiedy gdzieś tam marnieje Gienka Arbuz? Idźcie do diabła z waszym egzaminem, sam sobie jakoś poradzę!

Z tymi słowami wszedł bez namysłu w korytarzyk między rzędami szaf-skrzyń. Ale od razu się zatrzymał, zobaczył bowiem na końcu korytarzyka niskie, dębowe wrota. Wisiała na nich ogromna zardzewiała kłódka, a tuż obok drzemał na taborecie ni to woźny, ni to stróż, w waciaku, ze strzelbą-berdanką na kolanach. Przy nogach stróża leżał budzący postrach owczarek alzacki. Potężny łeb złożył co prawda spokojnie na łapach, ale trójkątne uszy sterczały czujnie, a żółte oczy beznamiętnie spoglądały Andrzejowi T. prosto w twarz.

- Rozumiem - powiedział zgnębiony Andrzej T., zawrócił i wycofał się z przejścia.

- Proszę zameldować gotowość do egzaminu - powtórzył Głos, jakby nic się nie zdarzyło.

- Jestem gotów - mruknął Andrzej T.

Głos oznajmił:

- Rozpoczynam procedurę wprowadzenia informacji do ucznia Andrzeja. Wprowadzenie informacji. Pierwszy etap. Zadaję trzy pytania. Jedno pytanie z nauk matematyczno-logicznych, jedno z humanistycznych i jedno z fizyczno-technicznych. Jeżeli uczeń Andrzej odpowie na wszystkie trzy pytania prawidłowo, nastąpi koniec pierwszego etapu. Proszę potwierdzić przyswojenie informacji o pierwszym etapie.

- A jeśli nieprawidłowo? - wyrwało się Andrzejowi.

Odpowiedzi nie było, po monitorze przemknął nieskończony ciąg świecących siódemek i gdzieś, ciężko skrzypiąc, otworzyły się drzwi.

Za drzwiami, rozumie się, był znajomy pokój ze znajomym dziadkiem, znajomym kotem i znajomą kołdrą.

- Wszystko rozumiem - mruknął ponuro Andrzej T.

Drzwi zamknęły się ze skrzypnięciem, a po monitorze przebiegły słowa:

WSZYSTKO ROZUMIEM INFORMACJA PRZYJĘTA PRZYJĘTA ROZPOCZYNAM PIERWSZY ETAP PIERWSZY ETAP PIERWSZY. . .

- Precyzuję pierwsze pytanie! - oznajmił WEMMOL. - Dane: słupek i ślimak. Wysokość słupka dziesięć metrów. Ślimak w ciągu dnia przemieszcza się o sześć metrów do góry, w ciągu nocy pięć metrów w dół. Ile czasu potrzebuje ślimak, aby osiągnąć szczyt słupka. Czas do namysłu sto dwadzieścia sekund. Rozpoczynam odliczanie!

Na ekranie zapłonęła liczba 120 i zaraz zastąpiło ją 119. Potem ukazały się 118, 117, 116... Andrzej T. szybko policzył: w ciągu dnia plus sześć, w ciągu nocy minus pięć, więc na dobę plus jeden. Wysokość słupka dziesięć metrów - łatwo policzyć... Już nawet otworzył usta, ale zawahał się. Zbyt łatwo policzyć. Niemożliwe, żeby to zadanie było takie proste...

...100, 99, 98, 97...

Ten przeklęty WEMMOL próbuje nas złapać na jakiś haczyku Nie uda mu się! Myśmy dotarli do międzyszkolnych eliminacji na olimpiadzie matematycznej, gołymi rękami wziąć się nie damy!

...81, 80, 79, 78...

Co prawda na międzyszkolnych eliminacjach nie rozwiązaliśmy ani jednego zadania, ale mimo wszystko... Tfu, co za bzdury chodzą mi po głowie! Więc tak, po pierwszej dobie metr, po drugiej dwa...

...63, 62, 61, 60...

Została niecała minuta. Ajajaj... Ha... Ha! Przecież ostatniego dnia on od razu polezie sześć metrów do samej góry i schodzić już nie będzie musiał. To znaczy, że...

- Cztery i pół doby! - krzyknął radośnie Andrzej T.

Na ekranie liczba 41 zgasła i pojawiły się słowa:

ODPOWIEDŹ CZTERY PIĘĆ DZIESIĄTYCH DOBY SPRAWDZONO PRAWDŁOWO
PRAWDŁOWO ODPOWIEDŹ TRAFNA TRAFNA ODPOWIEDŹ TRAFNA...

Andrzej T. triumfował. Więc tak! Nas z niańki nie zażyjesz! Tak będzie z każdym, kto spróbuje!

- Precyzuję drugie pytanie! - oznajmił WEMMOL. - Dane: utwór Jurija Michajłowicza Lermontowa Bohater naszych czasów.

Podać imię Pieczorina. Jak miał na imię Pieczorin. Imię. Czas do namysłu dwieście sekund. Rozpocznam odliczanie.

200, 199, 198, 197...

Po triumfie Andrzeja nawet śladu nie zostało. Zalała go fala ślepego strachu, czarnej paniki. To gorsze, myślał gorączkowo. O wiele gorsze! Jak on się nazywał? Pieczorin... Gruszczynicki... Wszyscy tam mieli tylko nazwiska... Księżna Mary... Albo tylko imiona, bez nazwisk... Był jeszcze jakiś kapitan, sztabkapitan... Iwan... Iwan...

...146, 145, 144, 143...

Do nazwisk nigdy szczęścia nie miałem... I wtedy też, historyk wziął mnie, zapytał o nazwisko Piotra I, a ja chlapanąłem jak głupi: „Wielki”! Nieszczęście! Co robić? Wyrzucą mnie zaraz, jak nic wyrzucą...

...119, 118, 117, 116...

Czekaj, czekaj... Aaa, wszystko jedno, nic nie mam do stracenia. Niechętnym, kłótliwym tonem Andrzej T. zapytał:

- A czemuż to z Lermontowa zrobiliście Jurija Michajłowicza, jeśli zawsze był Michaiłem Juriewiczem?

Liczba 103 na ekranie znieruchomiła. Pokój zaświergotał, zabuczał i rozległo się takie trzaskanie, jakby nagle zaczął strzelać z bata cały pułk pastuchów. Przez ekran pobiegły długie szeregi bezsensownych siódemek, zgasły i ustąpiły miejsca słowom:

LERMONTOW MICHAŁ JURIEWICZ NIE NIE NIE JURIJ MICHAJŁOWICZ NIE NIE
NIE DRUGIE PYTANIE NIEPOPRAWNE NIE NIE NIE DRUGIE PYTANIE ANULOWANE
BEZ ZAMIANY BEZ BEZ BEZ USZKODZENIE TAŚMY MAGNETYCZNEJ USZKODZENIE
TAŚMY MAGNETYCZNEJ. . .

Aha! Andrzej T. znowu podniósł się na duchu. Zatkaną! I bez zamiany! Wpadł WEMMOL. „Uszkodzenie taśmy magnetycznej” to akurat Andrzej znał. Nie na darmo tata konstruuje elektroniczne maszyny cyfrowe w swoim BKP, a mama w swoim INB na tychże maszynach pracuje.

„Znowu mnie te taśmy zamęczyły”, skarży się mama, a ojciec powarkuje z dezaprobatą, radzi przejść na S-1020, gdzie można się obejść w ogóle bez żadnych taśm...

Dźwiękowy bałagan w pokoju nagle ucichł i WEMMOL przemówił głosem jak poprzednio uroczystym i podniosłym:

- Precyzuję trzecie pytanie! Dane: hiperboloid inżyniera Garina. Należy omówić zasadę działania. Czas do namysłu dwieście czterdzieści sekund. Rozpoczynam odliczanie.

Na ekranie wybuchła liczba 240, a Andrzej T. w zakłopotaniu przygryzł paznokiec.

Książkę znał dobrze, a niektóre fragmenty mógłby recytować z pamięci. Ale tego akurat w którym Garin wyjaśnia Zoi budowę aparatu, jakoś nie lubił, dokładniej - niezbyt go lubił. Czytał, oczywiście, i to niejednym razem, i schemat oglądał, niczego sobie rysunek...

Teraz trzeba tylko sobie przypomnieć. Promień ciepły. Promień infraczerwony. „Pierwsze uderzenie promienia dosięgło fabrycznego komina...” i dalej: „Promień hiperboloidu tańczył wśród ruin”...

...221, 220, 219, 218...

Spokojnie. Tylko spokojnie. Co my tam mamy? „Promień z lufy automatu zawadził o drzwi; posypały się odłamki drzewa”. I jeszcze: „Binokle co chwila zjeżdżały Rollingowi z mokrego nosa, ale stał mężnie i patrzył, jak za horyzontem wyrastają słupy dymu i wszystkie osiem liniowych kosmolotów amerykańskiej eskadry wzbija się w powietrze...” To nie to, ale też dobrze. Mokry nos Rollinga... Klucz mi potrzebny, klucz, a nie mokry nos!

...187, 186, 185, 184...

Mam! „Idea aparatu jest trywialnie prosta...” Przecież ja wiem, że prosta... „W aparacie chybotął i ryczał płomień”. To też wiem.

O czym on wtedy z Zoją? Piramidki. Hiperboloid z szamonitu... Stop!

Hiperboloid zwierciadła uformowany z szamonitu! Piramidki! Śruba mikrometryczna! Zwierciadło hiperboliczne - Hurra!

...153, 152. 151, 150...

Teraz ładnie sformułujemy. Spokojniutko sformułujemy, bez pośpiechu. Tak, tu WEMMOL znowu spudłował. Przeliczył się. Nie docenił obecnego poziomu. Dla nas wszystkie te hiperboloidy, fotonowe rakiety i inne maszyny czasu to pestka, my je jak orzeszki chrupiemy, one są dla nas jak rodzeni bracia!

Andrzej T. odetchnął głośno, poczekał, aż na ekranie pojawi się liczba 100 (dla równego rachunku) i zaczął ze smakiem, wyczerpująco, objaśniać zasadę działania i budowę aparatu generującego promienie podczerwone wielkiej mocy, znanego jako „hiperboloid inżyniera Garina”.

Porwało go. Mówił z uczuciem. Deklamował ulubione fragmenty.

Szczodrze wymachiwał rękami i nawet próbował chodzić pomiędzy szafami-skrzyniami. I - rzecz dziwna - w miarę jak mówił, coraz wolniej migotały żółte lampki, cichły dźwięki, gasły zapachy, nawet jakby się ochłodziło. Kiedy drobiazgowo i ze szczególną rozkoszą opisał pierścień z brązu z tuzinem porcelanowych czasz na piramidki z mieszaniny aluminium i tlenku żelaza (termit) z utwardzonym olejem i żółtym fosforem, WEMMOL ucichł i zmarł ostatecznie.

Być może usnął, a być może po prostu zastygł z otwartą ze zdumienia buzią.

Andrzej T. odczekał chwilę i powiedział:

- No?

W ciemnościach pod sufitem pojawiła się i zgasła samotna siódemka. Po czym przez ekran już nie pomknęły, nie przesunęły, ale niemrawo się powlokły świecące słowa:

TRZECIE PYTANIE ODPOWIEDZ TRAFNA TRAFNA TRAFNA ODPOWIEDZ TRAFNA
GRANICA POPRAWNOŚCI REALNOŚĆ HIPERBOLOIDU MIKROMETRYCZNOŚĆ ŚRUBY
ŻÓŁTY KOLOR FOSFORU SPRAWDZONO ODPOWIEDŹ TRAFNA TRAFNA
SPRAWDZONO. . .

Andrzej T. triumfował, sylabizując te brednie, i uśmiechał się złośliwie. Zgłupiał WEMMOL! Taak, znaj naszych! Jak widać, nawet się nie pożegnamy...

I jak poprzednio radość była przedwczesna. Znów zapaliły się i zamigotały roje małych światełek, znów wokół zaszeleściło, zaświergotało, zatraskało i WEMMOL jak gdyby nigdy nic dziarsko oznajmił:

- Koniec pierwszego etapu. Rozpoczyna się etap drugi. Uczeń Andrzej zadaje mi trzy dowolne pytania, odpowiadam na nie prawidłowo, koniec drugiego etapu, koniec egzaminu. Uczeń Andrzej wraca do domu, do mamusi. Proszę potwierdzić przyjęcie informacji o drugim etapie.

Uczniowi Andrzejowi opadła szczęka.

- Jak to - do mamusi? - zapytał oszołomiony.

Przez ekran przesunął się napis:

BEZ ODPOWIEDZI PYTANIE RETORYCZNE BEZ ODPOWIEDZI BEZ BEZ BEZ...

- Jak to - do mamusi? - krzyknął wzburzony Andrzej T. - Ja nie chcę do mamusi! Ja nie chcę do domu! Ja muszę do Gienki! Na mnie czeka Gienka! To nieuczciwe! Odpowiedziałem na wszystkie pytania!

WEMMOL zabuczał pobłaźliwie:

- Informacja uzupełniająca, wyjaśnienie. Pragnący Przejść, który pozytywnie zdał pierwszą część egzaminu, zostanie przepuszczony tylko w wypadku, jeżeli ja nie będę umiał, potrafił, okażę się niezdolny odpowiedzieć prawidłowo na choćby jedno z trzech pytań, zadanych mi w drugim etapie. Ponieważ prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest teoretycznie znikomo małe, a w praktyce równe zeru, drugi etap próby traktowany jest jako formalna procedura poprzedzająca powrót do domowych pieleszy. Proszę potwierdzić przyjęcie informacji uzupełniających.

- Przyjąłem - powiedział ponuro Andrzej T. Z żalu o mało się nie rozplakał. - No, a jeśli mimo wszystko zadam takie pytanie, że nie odpowiesz?

- To niemożliwe - odparł z wyższością WEMMOL. - Jestem wszechmocny. We wszystkim, co się tyczy pytań, odpowiedzi, zagadek, zadań, dowodów, teorii, hipotez, zmyśleń, jestem wszechmocny - A jeżeli jednak?

- Żadnych, jeżeli jednak, być nie może. Jestem wszechmocny. Walczyć, poszukiwać, znaleźć i nie ugiąć się!

- A bo to wiadomo, że wszechmocny? - zaoponował Andrzej T. tonem niewiernego Tomasza. - A jeżeli wszechmocny, to proszę bardzo. Pierwsze pytanie: W jaki sposób mogę dojść do Gienki?

Odpowiedź padła jak cios szabli:

- W żaden.

A przez ekran pobiegło:

PIERWSZE PYTANIE ODPOWIEDŹ TRAFNA PYTANIE NEUTRALIZOWANE TRAFNA
ODPOWIEDŹ TRAFNA TRAFNA...

Andrzej T. przygryzł z rozpaczy wargę. Nie wyszło... Orientował się trochę w komputerach. Jeżeli tylko WEMMOL ma wystarczająco obszerną pamięć (a dość popatrzeć na te wszystkie szafy-kufry) i przyzwoitą prędkość działania, to rzeczywiście - przechytrzyć go nie sposób. Jest pewnie na świecie zagadka, której nawet to żelazne bydlę nie zna, ale zanim na nią wpadniesz, siwa broda do kolan ci urośnie. A pytania można zadać tylko trzy... już nawet tylko dwa...

- Niech pan da temu spokój, młody człowieku - usłyszał nad uchem dziwnie znajomy głos.

Odwrócił się i zobaczył tuż obok siebie owego ni to stróża, ni to woźnego w waciaku z berdanką pod pachą. Wilczura przy nim nie było.

- Przecież i tak go nie pokonasz - ciągnął woźny-dozorca i z rezygnacją machnął ręką. - Jego przecież po to postawili, żeby Pragnących Przejść z drogi zawracał. Nic go nie ruszy. Bo i jak? Lepiej ryby nie jeść, a w wodę nie leżeć. A ty wciąż się o przyjaciela martwisz, o tego swojego Gienkę. Zrozum, przyjaciel z tobą, jak ryba z wodą: ty na dno, a on hop - na brzeg. A zresztą, niech tam z wami. Ale tu ci się nie uda, o nie. Nie wchodzi na wilczy trop, psie - wilk obejrzy się i zje...

Teraz dopiero, ku swemu wielkiemu zdumieniu, Andrzej T. rozpoznał w stróżu Konia Kobyłyca. Co prawda od ich ostatniego spotkania Koń Kobyłyca jakby trochę usechł i skurczył się, ale był to niewątpliwie on - wieczny gaduła i oportunistą.

- Tak więc posłuchaj dobrej rady - bębnił nad uchem Koń Kobyłyca - skończ z tym. No, daj mu tak pro forma jakieś prościutkie zadanko... dwa razy siedem... albo, powiedzmy: co robi księżyc, jak wpadnie do morza... On ci odpowie, pożegnacie się grzecznie - i do domu, do łóżeczka, do mamusi...

- Zgiń-przepadnij! - trzęsąc się z wściekłości, wysyczał Andrzej T.

I Koń Kobyłyca przepadł.

Pytanie, pytanie... męczył się Andrzej T. Skąd ja mam wziąć pytanie? A może kazać mu przeprowadzić dowód jakiegoś twierdzenia? Z tych, o których rozprawia z kudłatymi kolegami starszy brat-student? Ta, jak jej tam... hipoteza Goldbacha albo twierdzenie o nieskończonej liczbie par... Nie, nie nadaje się. A nuż mu się uda?

A ja przecież nawet sprawdzić nie będę umiał - dobrze zrobił czy źle. Nie, mądrym pytaniem maszyny nie przestraszysz. Mądrym...

Sedno w tym, że prawidłowo postawione pytanie zawiera w sobie połowę odpowiedzi (z bardzo dawnej mowy taty na temat zapomnianego już zadania z arytmetyki). A postawione nieprawidłowo? Co będzie, jeśli nieprawidłowo ułoży się pytanie? Hm... Jakby tu zapytać?...

- Dlaczego kot ma pięć nóg? - wypalił Andrzej T.

WEMMOL nie zniżył się do odpowiedzi na fonii. Przez ekran pobiegły słowa:

PYTANIE NIE PYTANIE NIEPRAWIDŁOWE ZAWIERA FAŁSZYWĄ INFORMACJĘ FAŁSZYWĄ PYTANIE ODRZUCONE...Mówiąc uczciwie, Andrzej T. oczekiwał czegoś w tym rodzaju, ale natychmiast wyraził niezadowolenie.

- Jak to odrzucone? - krzyknął. - To nieuczciwie! Sam mówiłeś, że jesteś wszechmocny! A jeśli wszechmocny, to powinienes na każde pytanie...

- Wyjaśniam! - Obwieścił z przekonaniem WEMMOL. - Informacja uzupełniająca. Wszechmocna Elektroniczna Maszyna Myśląca Odgadująca i Licząca odpowiada trafnie, prawidłowo na dowolne poprawnie ułożone pytanie. Odrzuca pytania niepoprawne, to znaczy zawierające jawnie fałszywą informację typu: „Czemu zjawy krótko się strzygą?” Nie odpowiada na pytania mające podłoże emocjonalne typu: „Czemu masz w oczach łzy?” Zostawia bez odpowiedzi pytania zawierające terminy niejasne, typu: „Na czym polega sens życia?” Ignoruje pytania retoryczne typu: „Iwanie Iwanowiczu, czyżby pan?” Określenie „nieuczciwie” odrzuca się. Stwierdzenie „sam mówiłeś, że jesteś wszechmocny” - potwierdza. Koniec wyjaśnień. Drugi etap trwa.

- Wszystko jedno, nieuczciwie - mruknął Andrzej T. Pojął, że sprawy stoją kiepsko. Druga próba owinięcia wokół palca spryculi WEMMOLA również się nie udała. Co nam więc zostało? Zadań dawać mu nie ma sensu. Jeśli nawet i są na świecie zadania, których on nie rozwiąże, to ja ich nie znam i nie wymyślę. Idiotyczne pytania odrzuca. I szczerze mówiąc, dobrze robi. Ja na jego miejscu też bym odrzucał. Pozostaje więc... co? Wracać do siebie, do łóżeczka. Ja będę w łóżeczku hołubił swoją anginę, a Gienka będzie ginął i przepadał. Bardzo miło.

A na czym całe zmartwienie polega? Wszechmocny. Znaczy się, wszystko może. Wszystkie zadania. Wszystkie pytania. Wszystkie zagadki. Wszystkie twierdzenia...

Czekaj, czekaj! Ktoś mi coś o tym mówił. Mnie albo przy mnie...

Nieważne. Co to było? Ze od określenia „wszystko” musi być wyjątek, bo inaczej wyjdzie paradoks... Paradoks. No, trzymaj się WEMMOL! Wszechmocny? Już ja ci wszechmoc pokażę, jeszcze przeze mnie zapłaczesz. A teraz... Teraz... Aha! Trzeba go najpierw przygotować. I Andrzej T. upewnił się przymilnie:

- Czy można zadać dodatkowe pytanie? Nie wszystko rozumiem i chciałbym wyjaśnić...

- Wyjaśnienie? - huknął wesoło WEMMOL. - Jestem gotów!

- A więc możesz odpowiedzieć na każde poprawne pytanie...

- Tak!

- I możesz rozwiązać każde zadanie...

- Tak!

- I możesz wymyślić dowolne zadanie i dowolne pytanie...

- Tak!

- Każde-każde?

- Tak! Tak! Tak! Mogę wszystko! Myślę, wymyślam, rozwiązuję! Myślę, wyliczam, odgaduję!

Mogę wszystko!

- Ślicznie - powiedział Andrzej T, sapiąc z podniecenia. Wspaniale. Od nadmiaru skromności to ty nie umrzesz.

Zarozumiały WEMMOL milczał sekundę, po czym dumnie odparł:

- Od skromności się nie umiera. Skromność nie jest śmiertelna.

A poza tym ja w ogóle jestem nieśmiertelny.

- Gratuluję - rzekł Andrzej T. - A teraz odpowiedz na pytanie ostateczne.

- W ramach drugiego etapu?

- Tak. W ramach.

- Jestem gotów.

- Pytanie - zaczął Andrzej T. i z całej siły zacisnął pięści, żeby nie drżały. - Takie oto pytanie.

Dane: możesz ułożyć dowolne pytanie. Należy odpowiedzieć: czy możesz wymyślić takie poprawne pytanie, na które sam nie będziesz umiał odpowiedzieć?

WEMMOL ryknął bez namysłu:

- Tak!

Po ekranie z prawej strony na lewą pomknęły słowa:

DRUGIE PYTANIE, NEUTRALIZOWANE ODPOWIEDŹ TRAFNA TRAFNA
ODPOWIEDŹ TRAFNA TRAFNA...

I w tej samej chwili WEMMOL równie pewnie i dumnie krzyknął:

- Nie!

I zaraz, o ton niżej:

- Tak.

I ciszej, prawie nieśmiało:

- Nie...

Na ekranie zapanował kompletny chaos. Zderzając się ze sobą i drgając nerwowo, to pędząc, to znów ledwie pełzając, przesuwały się tam takie na przykład teksty:

33 NEUTRAL PYTA 777 NIE ODPOWIEDPYTAK 777 TNIETAK TRAFNIETRNTU...

Andrzej T. płakał z radości. Wyobrażał sobie, co dzieje się teraz w elektronicznych kiszkach tego zarozumiałego idioty! Analizując początek podstępного pytania, WEMMOL napotykał kluczowe hasło „czy możesz”, i jako mogący wszystko, natychmiast odpowiadał „tak”. Ale ułamek sekundy później do analizatora dostawało się wyraźnie przeciwstawne: „sam nie będziesz umiał” i zmuszało przez tęże wszechmoc odpowiadać „nie”. I tak w nieskończoność.

WEMMOL walczył z logiczną czkawką.

- Tak! - chrypiał. - Tnie! Taknietak nietak! Tnieta! Ntak! Nieuczciwie! Taknie!

Zapaliły się i rozmigotały wszystkie światełka. We wszystkich szafach-kufrach wściekle szumiały przewijane taśmy magnetyczne.

Panicznie buczała, zwiększając obroty wentylatorów, klimatyzacja.

A na ekranie sennie, jak jesienne muchy, pełzały wokół dziwnego słowa BTNIE pokrzywione siódemki...

- Nduk! - resztką sił pokrzykiwał WEMMOL - Amkta!...

Potem zgrzytnęła przerdzewiała kłódka i niskie, dębowe wrota otwały się na oścież, wpuszczając strumień jasnego, słonecznego światła i świeżego powietrza. Wilczur stchórzył i uciekł z podwiniętym ogonem. Między rzędami szaf-kufrów przeszedł Koń Kobyłycz, ale już bez berdanki, w czarnym roboczym fartuchu, w okularach w masywnej oprawce, podobny do fizyka-teoretyka z jakiegoś filmu. Poszedł w kąt sali, czymś szcęknął. WEMMOL zahuczał po raz ostatni i umilkł. Nastąpiła cisza.

- Znowu cię, biedaku, zapętlili - westchnął współczująco Koń Kobyłycz. - Mądrości dużo, a pożytku mało... He-he-he-he!

Andrzej T. powrócił na ziemię. Spojrzał na fosforyzującą tarczę. A spojrzawszy nie uwierzył własnym oczom. Czarne wskazówki pokazywały dwadzieścia jeden minut po dwudziestej trzeciej!

Upłynęło tylko pięć minut od chwili, kiedy rozpoczął wspinaczkę po kłamrowej drabinie!

- A co w tym dziwnego? - doszedł go głos Konia Kobyłycza. Nagrywali cię na dużej prędkości, a puszczali na normalnej...

Andrzej T. nie dopytywał się, co by to miało znaczyć. Podtrzymując za pazuchą Spicę, pospiesznie wyszedł na zewnątrz.

Stał pośrodku placu wysypanego czyściutkim czerwonym piaskiem, okrągłego i zupełnie równego, jak podłoga w sali z białą mgłą. Słońce świeciło na całego i było to czymś niezwykłym tak blisko noworocznej północy, chociaż zarazem wydawało się rzeczą zupełnie naturalną, podobnie jak kilka księżyców w rozmaitych fazach porzrzucanych po błękitnym niebie.

Plac regularnym pierścieniem otaczały stojące jeden przy drugim eleganckie różnokolorowe pawilony, przy czym nad wejściem do każdego z nich cieszyła oko artystycznie napisana wywieszka.

FILUMENIŚCI - czytał Andrzej T. powoli, obracając się na piętach - FILOKARCIŚCI, NUMIZMATYCY, SMAKOSZE...

Nie wątpił, że tym razem czekający na ratunek Gienka jest zupełnie blisko, zdawało mu się, że słyszy głos przyjaciela, jak poprzednio wzywający pomocy, po prostu wiedział, że Gienka jest gdzieś na wyciągnięcie dłoni, i tylko nie miał pojęcia, w którą stronę ową dłoń wyciągnąć.

Liczył na jakieś biuro informacji i wśród artystycznie malowanych wywieszek szukał odpowiedniego szyldu.

Ale bardzo szybko zrozumiał, że żadnego biura informacji tutaj nie znajdzie. Tu nie było miejsca dla podobnej instytucji. Nie mogło być milicji ani kiosku z gazetami, ani sklepu warzywnego. Tutaj były wyłącznie instytucje (może kluby?) przeznaczone do zajmowania się wszystkimi możliwymi do pomyślenia hobby, konikami, pasjami i pasyjkami. Były pawilony dla całkowicie zrozumiałych MODELARZY i dla jakby znajomych BONISTÓW, i dla całkowicie niezrozumiałych TIFFOZI. Były dla MELOMANÓW, były dla BIBLIOFILÓW, były nawet dla ALKOHOLIKÓW i NARKOMANÓW, chociaż, zdawałoby się, komu przy zdrowych zmysłach i trzeźwej głowie mogło przyjść na myśl stworzenie publicznej meliny dla alkoholików czy narkomanów?...

Andrzej T. poczuł, że ogarnia go rozpacz, kiedy jego spojrzenie zatrzymało się na napisie FILATELIŚCI. I od razu zrobiło mu się lżej i weselej. Filatelisci to jednak coś bliskiego, nie to co jacyś tam tiffози czy boniści. Andrzej T. sam był filatelistą, a filatelista dla filatelisty to przecież nie wilk, nie alkoholik jakiś. Filatelista zawsze wyjaśni bratu-filateliście jak trafić do przyjaciela w biedzie, wyjaśni lepiej niż biuro informacyjne, i Andrzej T. puścił się pędem przez plac w kierunku żółtego jak jajko pawiloniku z wywieszka FILATELIŚCI.

Filatelistą, rozumie się, był dopiero początkującym i niezbyt doświadczonym. Wiele tajemnic szacownego hobby pozostawało zamkniętych przed nim na siedem pieczęci, jednakże podstawowe prawa filatelistyki znał. Zaowocowała gorliwa lektura pisma „Filatelistyka ZSRR”, rocznika „Kolekcjoner Radziecki” i wysmolonego, dawno pozbawionego okładki francuskiego katalogu Yverta. Wiedział w każdym razie rzeczy najważniejsze: a) najładniejszy znaczek - to jeszcze nie znaczek najcenniejszy; b) najcenniejszy znaczek nie musi być znaczkiem najciekawszym; c) zwyczajne obcięcie ząbków nie zmienia zwykłego znaczka w rzadką odmianę nieząbkowaną.

W pawilonie otoczyła Andrzeja cisza, miły chłodek i przyjemny półmrok. Wzdłuż ścian ciągnęły się oszklone szafy, stelaże i gabloty wypełnione albumami i klaserami. Albumy i klasery w miłym nieładzie leżały porzucane na blacie ogromnego stołu pośrodku sali.

Albumy i klasery piętrzyły się na krzesłach i stołkach.

Dziesiątki, setki albumów i klaserów! Być może nawet tysiące!

...Andrzej T. nawet sobie nie wyobrażał, że coś podobnego może istnieć, chociaż wiedział, oczywiście z literatury, że przez ostatnie półtora wieku wydano na świecie około miliona znaczków...

Nie panując nad ciekawością, podszedł do stołu i otworzył na chybił trafił jeden z większych klaserów. Krew w nim zawrzała, w głowie zawirowało, zrobiło mu się gorąco: klaser wypełniały „zeppeliny”. I nie myślcie, że tylko znaczki poświęcone międzykontynentalnym przelotom sterowca „Hrabia Zeppelin”, nic podobnego!

Były tam wszystkie znaczki (ze wszystkich krajów) z podobiznami sterowców - tak właśnie zebrałby je sam Andrzej T., gdyby był nie uczniem ósmej klasy, a niedużym państwem z rozwiniętym przemysłem i pozycją w budżecie przewidującą fundusze na stworzenie i uzupełnianie państwowych kolekcji.

Były tu „zeppeliny” włoskie i „zeppeliny” Lichtensteinu, „zeppeliny” Paragwaju i rzadkie „zeppeliny” USA, słynne niemieckie „Polar Fahrt” i „Sudamerika Fahrt”, były wspaniałe radzieckie serie poświęcone budowie sterowców i wszystkie odmiany „Małygina”, leningradzkie koperty, dostarczone sterowcem LC-177 z Leningradu nad zatokę Tichaja i stamtąd lodołamaczem „Małygin” do Archangielska, ze wszystkimi przewodnikami pieczęciami i adnotacjami...

Andrzej T. rozparł się w wygodnym, wysokim fotelu, w jednej ręce trzymał dużą, filatelistyczną lupę, a palce drugiej ścisnęły specjalną wygodnie wygiętą filatelistyczną pęsetę, biurowa lampa zalewała stronicę klasera jasnym światłem, a on przewracał karty i oglądał, oglądał

i badał, badał i smakował, i świat stał się mały, ciepły i niebywale przytulny - nie było w owym świecie niczego poza kręgiem światła i urodą znaczków skrzących się jak szlachetne kamienie.

Był jeszcze w tym świecie Komentator. Ale on skromnie trzymał się w cieniu, poza granicą jaskrawego kręgu i wcale się nie narzucał.

Był za to usłużny i pożyteczny. Nie musiałeś szperać w nowym, najaktualniejszym katalogu Yverta - tom jakby sam z siebie otwierał się na poszukiwanej stronicy i tylko przez chwilę migła zwinna, śniada ręka. Nie musiałeś ryc w stosach literatury informacyjnej - cichy, życzliwy głos bezzwłocznie informował o tym, co najciekawsze w każdym znaczku, każdej kopercie, każdym okolicznościowym stemplu.

Nie musiałeś sięgać po kolejny klaser - on sam wynurzał się z ciemności, kierowany i otwierany przez tę samą zwinną, smagłą rękę.

- Nieząbkowane „zeppeliny”! - pokrzykiwał wstrząśnięty Andrzej, a miękki, życzliwy głos podchwytował:

- Rzeczywiście. Przy czym proszę zwrócić uwagę, egzemplarze narożne, ogromne pola...

- I bez podlepek!

- W idealnym stanie.

- Nie fałszowane?

- W żadnym wypadku. Proszę spojrzeć przez lupę. O, proszę.

Siatka rastrowa ma postać kwadratów, podczas gdy w egzemplarzach fałszowanych byłyby to kropki...

Ale przyszedł czas, gdy „zeppeliny” się skończyły i wtedy Komentator swoim miękkim głosem zaproponował:

- Może interesuje pana temat „kosmos”?

- Noo, to przecież tylko malowany papier... - zaprotestował niepewnie Andrzej T., powtarzając stwierdzenie któregoś z braci-filatelistów.

- W pewnym sensie rzeczywiście - zgodził się Komentator. Handlarze znaczków z ręcznie wykorzystują popularność tej tematyki dla własnych zysków. Ale mimo wszystko proszę zerknąć.

Tak, było na co zerkać! Jaskrawe, jak tropikalne motyle serie Gwinei Równikowej... Wstrząsające wyobraźnię stereoskopowe bloki Bhutanu... Ciężkie niczym medale znaczki młodych republik afrykańskich, tłoczone ze złotej folii... Uczta barw, orgia fantazji... Był tu również jeden ze słynnych pamiątkowych bloczków z podobizną Jurija Gagarina, przewiezionych przez kosmonautę Gieorgija Greczko na pokład „Saluta”. Wszystkie autografy wszystkich kosmonautów! Znaczki „poczty księżycowej”!...- A proszę spojrzeć na tę kopertę... mówił i pokazywał wszystkowiedzący, życzliwy Komentator. - Proszę zwrócić uwagę: rzadki błąd drukarski w dacie - 1999 zamiast 1969...

Albumy i klasery napływały jeden po drugim nieprzerwanym i niewyczerpanym strumieniem i stopniowo Andrzej zaczął odczuwać jakiś niewyraźny niepokój.

Dlaczego dokoła robiło się coraz ciemniej, a coraz jaśniej rozpałał się wabiący krąg światła, w którym zjawiały się coraz to nowe skarby? Dlaczego peseta jakby sama z siebie sięgała po kolejne cudo, a lupa sama ustawiała się tak, aby jak najlepiej powiększyć i pokazać subtelne niuansy? I dlaczego w żaden sposób nie udawało się dojrzeć w gęstniejącym mroku życzliwego i wszytkowiedzącego Komentatora?... A Spirydion, Spidlec, stary, wierny Spicha! Jakim cudem znalazłeś się przyjacielu na najdalszej szafie, w najciemniejszym kącie? Co tu się w ogóle dzieje?

Gienka!

Andrzej T. odłożył lupę i pęsetę i jednym pchnięciem odsunął się wraz z fotelem od stołu.

- Przepraszam - wymamrotał. - Jestem, oczywiście, bardzo wdzięczny...

- Ależ jeszcze nie oglądaliśmy najciekawszych rzeczy - łagodnie powstrzymał go Komentator.

- Klasyki! Przecież pan się orientuje, co to takiego klasyka, nieprawdaż? Stare Niemcy, Czarna Jednopensówka w arkuszach, kolonie brytyjskie...

- To wszystko jest, oczywiście, bardzo interesujące - wymamrotał ze skrucą Andrzej T. i wstał. - Ale mam pewną sprawę... Bardzo się spieszę... A może pan mógłby mi powiedzieć...

- Pan nie rozumie - przenikliwie i przekonująco ciągnął Komentator. - To nie jest zwyczajny pokaz, młody człowieku. To POKAZ PREMIOWANY! Dla pięćdziesięciotysięcznego gościa! Wolno panu wybrać dla siebie dowolny znaczek! Taka okazja trafia się raz w życiu...

Andrzej T. odwrócił się i po raz pierwszy spojrzął mu prosto w twarz.

- Chodzi o to... - zaczął i przerwał w pół słowa. Ze zdumienia aż otworzył usta.

No oczywiście, to znowu był Koń Kobyłycz! Prawie całkiem już usechł, zrobił się zeń zupełnie karzełek, smagły, czarno ubrany karzełek z olśniewająco białym gorsem i olśniewająco białymi mankietami, ale był to niewątpliwie ten sam Koń Kobyłycz.

- Pro... proszę... wyjąkał Andrzej T. i odstąpił o krok.

- Tak! - przeraźliwie wysokim głosem zakrzyczał Komentator Koń Kobyłycz. - Owszem, to ja! Ale jakie to ma znaczenie? A to widziałeś?

Błysnęła biel mankieta i jego ręka sześciometrową błyskawicą zanurzyła się w ciemność, wyciągnęła i rzuciła na stół, w krąg światła, płaską metalową kasetę z czterema szyfrowymi zamkami różnych systemów.

- To powinieneś zobaczyć młody człowieku... - świszczwał Koń Kobyłycz, pospiesznie naciskając klawisze, wykręcając cyfry na miniaturowej tarczy, czymś trzaskając, zgrzytając i szczękając. To mało kto na świecie widział, a ty zobaczysz... A być może nie tylko zobaczysz... Jako pięćdziesięciotysięcznemu gościowi... Twoje prawo... Oczywiście, trzeba będzie załatwić szereg formalności...

O, proszę!

Wiekę stalowej kasety odskoczyło. Pod płytą z pancernego szkła, na czarnym aksamicie leżała ONA. Jedyna. Niepowtarzalna. Unikalna. Nieprawdopodobnie słynna.

- Różowa Gujana! - szepnął z uwielbieniem Andrzej T.

- Tak! - potwierdził, błyskając oczami, Koń Kobyłycz.

- Ale przecież jej nie mają nawet w kolekcji British Museum!

- U nas jest!

- Oszaleć można... - jęknął żałośnie Andrzej T.

I nastąpiła Cisza Pełnej Szacunku Kontemplacji.

Nie, powiedzmy inaczej. Wspomniana wyżej Cisza próbowała nastąpić, ale się jej to nie udało.

Wtrącił się zapomniany i porzucony Spirydion. Wtrącił się niegłośno, ale jakże stanowczo! Zaśpiewał prostą piosenkę, przy której Andrzejowi zawsze, nie wiadomo dlaczego, ciarki chodziły po grzbiecie i robiło się zarazem smutno i wesoło. Była to piosenka o wesołym doboszu, o zwyczajnym doboszu, ale śpiewał ją Spirydion całym sercem i odnosiło się wrażenie, że chodzi w niej nie o to, że wesoły dobosz bierze w ręce klonowe pałeczki. Sedno, okazuje się, w tym, że świat jest wielki i skomplikowany, rzeczy do zrobienia mnóstwo, że Wszechświat jest wieczny, a ludzkie życie krótkie i nie wypada tracić najlepszych lat na głupstwa, a dowolny znaczek, niechby nawet najsztywniejszy, to tylko kawałek zadrukowanego papieru, niewart więcej, niż paczka innych kawałków zadrukowanego papieru, którą zaoferują za niego na licytacji..... ty przysłuchaj się - usłyszysz, jak wesoły dobosz idzie, ulicami niesie gromki werbel swój...² - śpiewał Spirydion, a Andrzej powstrzymując napływające łzy, słuchał i przyrzekał sobie już nigdy, nigdy więcej...

Do Pełnej Szacunku Kontemplacji nie doszło. Nie rzuciwszy nawet na Różową Gujanę pożegnalnego spojrzenia, Andrzej T. w milczeniu ruszył wzdłuż stołu w stronę najciemniejszego kąta, żeby wziąć Spichę w swoje ramiona i przytulić do swojej piersi. Już podszedł do szafy, gdy nieludzki, kraczący dźwięk rozległ się za jego plecami. Odwrócił się i w tej samej chwili Koń Kobylicz wyrwał zza pazuchy laserowy pistolet. Oślepiający promień przeciął mrok nad głową Andrzeja i uderzył tranzystorowego minstrela prosto w pierś.

Andrzej T. osłupiał ze zgrozy, a Spirydion żałośnie pisnął i umilkł w pół słowa. Pośrodku skali zakresu fal tliło się, stygnąc w oczach, rozpalone wiśniowe piętno.

- To podłość! - zakrzyknął Andrzej T. Zerwał Spirydiona z szafy i schował za siebie. - Za co? Co on wam zrobił?

Koń Kobylicz stał przy drugim końcu stołu i patrzył na niego, prezentując światu swoją odrażającą fizjonomię.

- Idź! - zasyczał. - Idź i zdychaj!

- Bydlak - powiedział Andrzej T. - Takie radio zatracić, takiego śpiewaka...

Sam nawet się sobie trochę zdziwił, że nie czuje strachu przed tym niezwykle łotrem i jego niezwykle bronią. Było mu jedynie żal Spichy, martwił się o Gienkę i wstydził za zmarnowany czas.

Ale za to wiedział, którądy iść; szafa okręciła się powoli na niewidzialnej osi i ukazała przejście wiodące w zatęchły, rdzawy mrok.

Znalazł się w miejscu absolutnie niepojętym. Wędrował po żelaznych galeriach kratowych, od czasu do czasu schodził po stromych, również żelaznych schodach. Kraty galerii i stopnie schodów

² : Bułat Okudzawa Wesoły dobosz, tłum. Witold Dąbrowski (przyp. red.).

pokrywały wilgoć i rdza. Z prawej strony ciągnął się mokry, chropawy mur. Z lewej - żelazna, pokryta rdzą balustrada. Za balustradą widać było niezgłębioną przepaść i nic poza tym. Z góry przez płataninę konstrukcji z belek i krat, niewątpliwie również żelaznych, pokrytych rdzą i mokrych - sączyło się wodniste, rdzawe światło. To wszystko. Andrzej T. sądził początkowo, że trafił do jakiejś dziwnej kopalni, potem przyszło mu na myśl wnętrze starego oceanicznego liniowca potem uznał, że wędruje po opuszczonym więzieniu, w końcu w ogóle przestał się zastanawiać.

W ścianie po prawej stronie trafiały się z rzadka mokre, pokryte rdzą żelazne drzwi z jednakimi mimo pewnych różnic napisami w rodzaju: WYJŚCIE PPOZ. Albo: WYJŚCIE TUTAJ albo: WEJŚCIA NIE MA. WYJŚCIE. Albo OTO WYJŚCIE. Raz z czystej ciekawości Andrzej T. uchylił drzwi z napisem NAJPROSTSZE WYJŚCIE i obejrzał sobie śpiącego dziadka, po czym starannie zamknął drzwi, wytarł rękę o spodnie i poszedł dalej, nie zatrzymując się już nigdzie. Nawiasem mówiąc, im dalej szedł, tym częściej spotykał drzwi po prostu zawałone stosami pustych skrzynek albo zastawione jakimiś miotłami i szpadlami, albo zwyczajnie zabite na krzyż deskami. Mogło to znaczyć, że przeciwnik zrezygnował z prób powstrzymania Andrzeja drogą zastraszania, dezinformacji i przekupstwa. Jeśli tak, czekała go teraz otwarta walka.

Tu tkwił pewien problem: brakowało mu prawdziwego bojowego doświadczenia. Udziału w przypadkowych kampaniach po lekcjach w obecnych warunkach najwyraźniej nie należało uważać za doświadczenie. Na pierwszy rzut oka mógł, co prawda, wesprzeć się z jednej strony bojowym doświadczeniem dziadka - podpułkownika, a z drugiej - obszernym materiałem wyczytanym w literaturze batalistycznej i obejrzanym w kinie. Jednakże z dziadkowych opowieści wynikało, że sztuka zwyciężania polega głównie na umiejętności zaopatrzenia swoich wojsk w amunicję i produkty żywnościowe, co z kolei słabo pasowało do okoliczności. A z lektury i filmów Andrzej jak na nieszczęście nic nie mógł sobie przypomnieć oprócz jasnej, lecz raczej nieprzydatnej frazy: „Naprzód! Oni już ledwie zipią!” Jednym słowem najrozsądniej byłoby zrobić, co następuje: przyhamować, spróbować zebrać informacje o przeciwniku, spokojnie ocenić położenie i dopiero wtedy działać. Ochoczo zaczął zwalniać.

Po chwili stanął, przyciskając łokciem do boku zamkniętego na wieki Spirydiona i wtedy ujrzał przed sobą Gienkę.

- Gienka... - wyszeptał Andrzej T, nie wierząc własnym oczom.

Arbuz wyglądał zupełnie tak jak ostatnim razem, kiedy żegnali się po lekcjach „do następnego roku” - w rozpiętej skórzanej kurtce, z niebieską torbą Aeroflotu przewieszoną przez ramię, z płatkami śniegu we włosach, i wcale nie sprawiał wrażenia człowieka, z którym dzieje się coś złego. - Gienka! - wrzasnął Andrzej T., nie posiadając się z radości. Hurra! Wiejemy!

- Ja nie jestem Gienka - odparł Gienka ze skruchą.

Andrzej T. zamrugał. I stwierdził, że rzeczywiście, to nie był Gienka. Po pierwsze, prawdziwy Gienka nigdy nie mówił ze skruchą, po prostu nie umiał. Po drugie (i to wydało się Andrzejowi

najważniejsze) ten Gienka był przezroczysty. Po prawdzie nie całkiem, a tylko trochę. Czytać przezeń gazetę byłoby trudno, ale oglądać, na przykład telewizję...

- A... kim ty... kim pan jest? - zapytał zmieszany Andrzej T.

- Jestem Przypomnienie - odpowiedział przezroczysty Gienka i uśmiechnął się zawstydzony. Zawstydzenie łatwo było i zrozumieć, i wybaczyć. Rzeczywiście, śmiesznie i niezręcznie nazywać się Przypomnienie, zwłaszcza gdy jesteś potężny jak czołg, masz okrągłe, rumiane policzki, gęste, kędzierzawe (bardzo modne) włosy do ramion i w pełni widoczny (choć starannie ukrywany) pryszcz na czole. Czego nie można było wybaczyć, to kłującej w oczy aluzji, z góry niewątpliwie przewidzianej w tak lirycznym imieniu.

- Przypomnienie? - najeżył się Andrzej T. - A ciekawe, dla kogo ma być to przypomnienie?

- Jak to - dla kogo? Oczywiście, że dla ciebie - z idiotyczną naiwnością zjawy odparł Gienka Przypomnienie.

- Ach, dla mnie? - Andrzej T. zniżył głos do szeptu. - A któż to cię prosił, żebyś mi o czymkolwiek przypominał?

- Nikt nie prosił.

- Skoro nikt nie prosił, to czego się pchasz ze swoim przypomnieniem?

- Więc dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego się zatrzymałeś? Przestraszyłeś się?

- Kto się niby przestraszył, ja?

- Ty.

- Ja?

- Ty.

- Ja się przestraszyłem?

- Nie wiem, czy się przestraszyłeś, czy nie - wymamrotał speszony Gienka Przypomnienie, robiąc się przez to zakłopotanie jeszcze bardziej przezroczysty. - Ja tylko widzę, że się zatrzymałeś, a czasu do północy zostało tyle co nic, więc...- A prosił cię kto? - rozłościł się Andrzej T. - Prosił cię kto, żebyś przypominał? Ja przypomnień nie potrzebuję! Sto lat się bez nich obchodziłem i drugie sto obejdę! Mnie twoje przypomnienia...

Tu odkrył, że przemawia sam do siebie i zamilkł. Pociągnął nosem i poprawił pod pachą Spirydiona. Zerknął na ciemną przepaść za rdzawą balustradą. Jeszcze raz pociągnął nosem. Zerknął na miejsce, w którym dopiero co majaczyło Przypomnienie. I nie zostawiając sobie ani sekundy na rozmyślanie, pobiegł w dół, łomocząc na żelaznych stopniach.

Jak huragan pędził po pobrzękujących kratkach galerii, jak lawina zbiegł po huczących schodach, przeskakiwał jakieś worki i skrzynie, prześlizgiwał się pod nawisami kratownic, był zwinny, szybki, silny, sprężysty, gibki i niepowstrzymany. Nie istniały dlań żadne przeszkody na morzu ani (tym bardziej) na lądzie. Niestraszne mu były góry lodowe ani (śmiech powiedzieć) nieznani władcy tej zardzewiałej żelaznej budy. Dalej, do Gienki! Miał jasny cel i stalową

determinację, żeby cel ten osiągnąć, i nie potrzebował żadnych hańbiących przypomnień. Szkoda oczywiście, że nie ma w ręku ani laserowego pistoletu, ani szturmowego automatu, ani, w ostateczności, bojowego statywu, ale przecież najważniejsza broń to zdecydowanie!...

Tak oto znalazł się na najniższej galerii, nad ostatnimi schodami i odsłoniła się przed nim dziwna i wprawiająca w osłupienie scena.

Działo się to wszystko na dnie gigantycznego kotła o średnicy pięćdziesięciu metrów, kotła z niskimi, wysokości średniego konia, żelaznymi ścianami. Pośrodku tkwił Gienka Arbuz. Stał w znajomej do bólu pozie, z rozstawionymi szeroko nogami, z rękami założonymi za plecy, ponury, nastroszony, jak setki razy stawał przy tablicy, gdy do takiego stopnia nie nauczył się lekcji, że nie mógł nawet korzystać z wypowiedzi. Ale Andrzej T. zerknął na niego tylko mimochodem, z przyzwyczajenia wychwytyjąc wytrenowanym okiem i potargane włosy, i podbite oko, i pokrwawione kostki palców.

Wszystko to oczywiście było bardzo interesujące, ale uwagę Andrzeja od pierwszej chwili pochłonęło całkowicie i nieodwołalnie zdumiewające towarzystwo, rozlokowane swobodnie na mnóstwie foteli, krzeseł, sof, otoman i innych siedzisk. W pierwszej chwili niewiarygodna pstrokacizna kolorów i kształtów tego tłumu nie pozwalała mu się skupić. Dopiero po pewnym czasie, stopniowo, zaczął dostrzegać poszczególne osoby.

Była tam ohydna starucha w szarym, pocerowanym chałacie, wzdymającym się na plecach dwoma ostrymi, różnej wielkości garbami. Fizjonomię też miała szarą, nos zakrzywiony jak dziób jastrzębia, prawe oko płonęło krwawym blaskiem na podobieństwo tylnego światła motoru, zamiast lewego połyskiwało mętnie łożysko kulkowe, podbródka zaś nie miała w ogóle - sterczały na jego miejscu rzadkie, szeroko rozstawione, żółte zęby. Jednym słowem była to starucha, od której należało wiać co tchu, szybko, z miejsca i w nieskończoność.

Był jeszcze przeraźliwy grubas w bezkształtnym garniturze w czerwono-białą kratę, rozpostarty na czterech krzesłach i połowie tapczanu, istna góra niezdrowego, porowatego sadła. Jego twarz kształtem i kolorem przypominała słynny pierwszy blin początkującej kucharki, a być może nawet pierwszy blin w dziejach świata, niedopieczony protoplastę bliniego rodu. Nawiasem mówiąc, grubas przy całej swej przerażającej powierzchowności był prawdopodobnie mało niebezpiecznym przeciwnikiem, jako że wszystkie swoje siły bez reszty zużywał na to, żeby się nie rozpełznąć i nie rozpląnąć po podłodze.

I był tam zadziwiający mężczyzna, podobny do skrzywionego wieszaka na ubranie. On jeden z całej kompanii stał, podparty jednym szczudłem z przodu i dwoma po bokach. Wisiała na nim rozpięta jesionka koloru grochu, spod której wyglądały: zwisający do podłogi wytłuszczony jedwabny szalik, powiewające swobodnie prążkowane pantaloney i wełniany sweter w paski, nie zawierający w sobie, jak się wydawało, niczego oprócz odrobiny lekko sprężonego powietrza. Nasunięty na czoło i skroń kapelusz z szerokim rondem skrywał mu prawie całą twarz tak, że dostrzec można było wyłącznie wąski, jakby lakierowany podbródek i sterzczącą daleko do przodu wąską, jakby lakierowaną fajkę...

I był jeszcze zrobiony pod Mike'a Jaggera z początkowych lat jego kariery (gdzie tam pod Jaggera - pod wszystkich Rolling Stonesów z estradą, publicznością i sprzętem muzycznym!) młodzieniec z nabrzmiałą, pryszczatą twarzą i oczami tak zaczerwienionymi, że przywodziły na myśl Wellsowskiego Śpiącego, którego ktoś nagle obudził. Zwyczajem detektywa Paula Drake'a rozłożył się w poprzek fotela, wymachiwał przerzuconą przez oparcie nogą przyodzianą w zeszytniały od brudu, nadzwyczajnej szerokości klosz nogawki, dłubał w nosie i coraz to unosił do przyklepionego w kąciu ust papierosa luksusową zapalniczkę typu Ronson...

I był tam jeszcze masywnej postury ponurak bez szyi, w plamistej liliowej koszulce, zamszowych spodenkach do kolan i tenisówkach na gołych nogach, z białą, bezwłosą skórą upstrzoną wymyślnym tatuażem i kolosalną, szczeciniastą szczęką, którą bezustannie i nader energicznie poruszał, nie wiadomo - rozcierając w proch ugryzione przypadkiem polne kamienie, czy łągodząc swędzenie podrażnionych dziąseł.

Oczu i czoła ów obywatel nie posiadał, a właściwie trzeba było dobrze się skupić, żeby je dostrzec, miał za to kolosalne, do pary ze szczęką, widłopodobne ręce. W roztargnieniu machinalnie to zginał, to prostował trzymany w nich żelazny łom.

Było ich tam wszystkich nie mniej niż dwie dziesiątki, brzydkich i rozmaitych, i wszyscy zdumiewająco różnili się między sobą kształtami i kolorami, jakby należeli do rozmaitych rodzin zoologicznych, ale zarazem coś ich do siebie upodabniało - zapewne to, że samym wyglądem i zachowaniem gwałtownie i jednocześnie rzucali wyzwanie rozpowszechnionemu mniemaniu, jakoby w człowieku wszystko miało być piękne, a przez to niewątpliwie tworzyli zbiorowość, którą zwykło się określać jako złe albo nieodpowiednie towarzystwo. I dziwne - choć każdy z nich był tak ohydny jak zdarza się tylko w majakach, przypatrującemu się im w osłupieniu Andrzejowi wydawało się w głębi duszy, że nie samu całkowicie nieznanemu - że gdzieś już ich takich albo podobnych widział - czy to na reprodukcjach obrazów słynnych malarzy, czy to na ilustracjach do książek słynnych pisarzy, a być może w naturze, żywych, z krwi i ciała...

Wczepiony w mokre żelazo balustrady Andrzej T. po trochu przychodził do siebie, szok ustępował i zaczynała działać reszta porażonych zmysłów. Doleciała go fala lodowatego smrodu unoszącego się z gigantycznego kotła, usłyszał dudniące głosy i wtedy zrozumiał, co za przedstawienie trwa w żelaznej beczce.

Trwało przesłuchanie. Dobrana ferajna przesłuchiwała jeńca, a jeńcem był nie kto inny jak stary, wierny przyjaciel Gienka zwany Arbuzem.

- A więc młodzieńcze - przemówił Zadziwiający Mężczyzna podparty szczudłami - więc cały czas będziemy milczeć?

- On sądzi, że zebraliśmy się tu, żeby grać z nim w słup-niemowę - wysapał Pierwszy Blin i roześmiał się z własnego dowcipu, i od tego śmiechu cały zafalował jak źle zastygła galareta.

- W słup-niemowę und ciuciubabkę - dodał Czerwonooki Młodzian, zabawiając się ronsonem.

- Północ blisko, a dogadać się nie możemy - zrzędził Niedobity Faszysta w mundurze bez guzików i z jedną nogą drewnianą. - Jak długo można przekonywać tego młodzieniaszka? Obiad przegadaliśmy, kolację też...

- Mnie go dajcie - świszczącym szeptem zaproponował, nie przerywając żucia, Ponurak z Wielką Szczęką.

- Zamilczcie, koledzy - powiedział Zadziwiający Mężczyzna, wypuścił z fajki kółko błękitnego dymu i znowu zwrócił się do Gienki: - Zdaje mi się, młodzieńcze, że pan sobie jeszcze nie uświadomił, że nie ma pan wyjścia, i mówić tak czy owak będzie trzeba...

- Ach, on będzie mówił - zagruchała drżącym głosem Starucha o Dwóch Garbach. - On tylko z wami, paskudnymi wujkami i ciotkami rozmawiać nie chce, a mnie wszystko powie. Prawda, łapeczko? Przecież powiesz miłej, dobrej babuni, jak brzmi prawo Boyle'a-Mariotte'a?

W odpowiedzi na to dziwne i nieoczekiwane pytanie Gienka tylko ledwie zauważalnie wzruszył ramionami i wtedy wtrąciła się Estradowa Chałturnica leżąca z nogami na tapczanie i pozerająca garściami czekoladowe cukierki z rozstawionych dookoła bombonierek. Otarła dłonią paszczę umazaną szminką i czekoladą, i oświadczyła stanowczo:

- Skoro już o tym mowa, to o wiele ciekawiej byłoby usłyszeć coś o schemacie przemysłowej produkcji kwasu siarkowego. A i o laboratoryjnej by nie zaszkodziło...

- Niech on mi wszystko o równaniach kwadratowych powie, bo jak nie, to kiszki mu wypruję i na bęben nawinę... - wyświszczał, nie przestając żuć, Ponurak z Wielką Szczęką.

- Przepraszam, przepraszam! - ryknął Człowiek Osioł, zrywając się z miejsca i przewracając przy tym swój stołek. - Jeszcze przecież nic nie usłyszałem o budowie wymocзка! I jeszcze mi nie wytłumaczono, czemu przy zwilżaniu twarzy wodą kolońską czujemy chłód...

- Niech nikt się nie waży bez kolejki! - szczechnął Niedobity Faszysta i trzasnął w podłogę protezą.

W tym momencie czcigodna kompania dziwołagów eksplodowała. Rozwarły się naraz dwa dziesiątki gardeł, groźby, przekleństwa, przywoływania do ciszy i porządku zmieszały się w jednolity, nierozdzielny zgiełk, zahuczały ściany żelaznego kotła, zatrzęsała się nawet galeria, na której stał Andrzej T. Już Niedobity Faszysta starł się wręcz z Człowiekiem Osłem, już Starucha o Dwóch Garbach wczepiła się z wściekłością w kudły Estradowej Chałturnicy, już Ponurak z Wielką Szczęką (nie przestając żuć) groźnie podniósł nad głowę łom...

Lecz oto Czerwonooki Młodzian, który w ogóle nie ruszył się ze swego fotela, wypluł papierosa, wsunął do ust dwa palce i gwizdnął ogłuszająco, aż Andrzeja zaswędziały uszy. Rwetes w kotle momentalnie ucichł.

- Proszę kontynuować - powiedział Czerwonooki Młodzian do Zadziwiającego Mężczyzny.

Ów puścił w zawiesiste powietrze kotła dwa niebieskie kółka dymu i wyciągnął w stronę Gienki długachny, kościsty palec.

- Proszę odpowiadać, młodzieńcze i to szybko - rzekł. - Jakie państwa odgrywają główną rolę w ogólnoswiatowej produkcji tkanin bawełnianych?

Gienka milczał.

- Jaki będzie udział USA w produkcji energii elektrycznej rozwiniętych państw kapitalistycznych?

Gienka ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

- Jaki surowiec mineralny kraje Azji Południowej eksportują na rynek światowy?

Gienka stał nieruchomo.

Kimkolwiek by byli ci straszliwi inkwizytorzy-egzaminatorzy dywersantami albo zwiadowcami z innych światów czy kapłanami nieznanego kultu - z Gienką im się nie udało. Po pierwsze, Gienka był urodzonym trójkowiczem i niczego z rzeczy, o które go pytano (z fizyki, matematyki, biologii, a tym bardziej z geografii gospodarczej), nie wiedział i wiedzieć nie chciał. A co ważniejsze - był okazem człowieka, który nigdy, nikomu i w niczym nie ustępuje. Zwłaszcza gdy go przypierać do muru. Andrzej T. sam był kiedyś świadkiem, jak Gienkę w metrze przyparła do muru szacowna starsza pani, objuczona torbami i koszykami. Gienka przejechał osiem przystanków, w tym również swój, czerwieniał, bladł, czytał gazetę, w którą miał zawinięte buty z łyżwami, udawał nawet nieżywego, ale swojego miejsca nie ustąpił... Tak, ta banda dziwołagów powinna była schwytać kogoś słabszego duchem i z silniejszym pędem do wiedzy!

- A powiedz mi, chłopcze - rzekł przymilnie Niedobity Faszysta - jakimi parametrami różni się czołg T-34 od czołgu T-6 „Tygrys”?

Tu trafił w dziesiątkę. Gienka na całą szkołę słynął z doskonałej znajomości sprzętu artyleryjskiego, lotniczego, broni pancernej i raketowej, zarówno krajowej, jak i zagranicznej, współczesnej, jak i tej z dawno minionych epok. Czyżby? Gienka to jednak Gienka: ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami i splunął w bok. Wśród straszyleł wszczął się ruch.- Wydaje się, młodzieńcze - przemówił Zadziwiający Mężczyzna - że przeceniasz naszą cierpliwość. Ale przed tobą stoją nie fajtlapy, nie ciepłe kluchy, nie jajogłowi inteligenci o słabych nerwach!

Spróbuj wysilić swoją ubogą wyobraźnię i pomyśleć, co cię czeka, kiedy przyjdzie północ i już nie będziemy mieli związanych rąk...

Starucha o Dwóch Garbach oblizwała się. Pierwszy Blin zatarł lubieżnie ręce. Estradowa Chałturnica zachichotała. Ponurak z Wielką Szczęką złamał łom i z brzękiem cisnął odłamki na żelazną podłogę.

Andrzej T. zerknął na fosforyzującą tarczę. Czarne wskazówki pokazywały za pięć dwunastą. Coś zgrzytnęło mu pod nogą.

Spojrzał... Szpada. Mokra, zardzewiała i zimna jak wszystko tutaj. Ale - szpada. Broń. Siła! Tylko siłę można było przeciwstawić temu nurzającemu się w smrodzie amfiteatrowi rozbójników.

U Aleksego Tołstoja brzmiało to jakoś inaczej, zresztą jaki tu amfiteatr, ale to akurat nieważne. Andrzej T. otarł rękojeść szpady połą kurtki.

- Przypuszczalnie - ciągnął Zadziwiający Mężczyzna - ciągle jeszcze liczysz na pomoc twojego przyjaciela Andrzeja T. Na próżno. Nadchodzi północ, nadchodzi Czas Środków Ostatecznych, zbliża się strasza dla ciebie, młodzieńcze, próba, a tymczasem - Zadziwiający Mężczyzna

podniósł głos. - A tymczasem twój tak zwany przyjaciel siedzi spokojnie wśród swoich ukochanych znaczków, zajada się swoimi ulubionymi lodami owocowymi, a o tobie nawet pomyśleć zapomniał.

- Łżesz! - ryknął Andrzej T. i wskoczył na żelazną balustradę.

- Łżesz! - krzyknął i jednym susem znalazł się na dnie żelaznego kotła obok Gienki. - Chodźcie! Chodźcie wszyscy! Na mnie! Na jednego!

Naprzód! Naprzód! i nie poddawać się!... - ochryple zaśpiewał zmartwychwstały nagle Spirydion.

Rozkładając niewiarygodne łapska, szedł na Andrzeja Ponurak z Wielką Szczęką. O krok za nim, szczerząc zęby i zerkając jeden na drugiego, sunęli Niedobity Faszysta i Czerwonooki Młodzian. Andrzej T. uśmiechnął się mrocznie i zrobił głęboki wypad...

Piękne noworoczne słońce świeciło w zamarznięte okno.

- Przyszedł twój - powiedział dziadek.

- Która godzina? - ochryplym od snu głosem zapytał Andrzej T.

- Po dziesiątej - odparł dziadek i wyszedł.

Zbliżył się Gienka Arbuz, całkiem czerwony od mrozu, z płatkami śniegu na modnej czuprynie i bez autodromu. Siadł na stołku i zaczął patrzeć na Andrzeja żalnymi, pełnymi skruchy oczami.

Jego zawile i wielosłowne wyjaśnienia sprowadzały się do tego, że wyrwać się od Kuźki nie było można, potem Sławka przyniósł nowe płyty, potem staruszek Kuźki zrobił sorbet, potem nawalił magnetofon, a potem przyszła Milka... No oczywiście - Milka! Od razu byś tak powiedział...

- Wiesz, Arbuz - powiedział Andrzej T., przerywając w połowie całe to wielosłowne tłumaczenie - chcę ci coś dać w prezencie.

Na Nowy Rok. Weź moją kolekcję znaczków.

- Nie?! - zawołał zachwycony i skruszony Gienka.

W przedpokoju rozległy się głosy. Wracali rodzice. Okazuje się, że ponad ich siły była wizja ukochanego Andriuszki rozciągniętego na madejowym łożu anginy mieszkowej i uciekli z Gribanowskiej Czatowni.

Gienka Arbuz plół coś, dziękując i przepraszając, a Andrzej T. leżał na plecach i trzymając oburącz Spichę, Spirydiona, szelmę Spidleca, patrzył na jego straszliwą ranę - okrągłą przestrzelinę z nadtopionymi brzegami - i słuchał.

A w południe, gdy na mieście kipi życie zgrzyt tramwajów i huczący ludzki rój, ty przysłuchaj się - usłyszysz, jak wesoly dobosz idzie, ulicami niesie gromki werbel swój... - śpiewał cicho Spirydion i piosenka była jak zawsze na miejscu i leciutko i słodko ścisnęła od niej za serce.

Próba uciezki

Rozdział I

Będzie ładny dzień - powiedział do siebie Wadim.

Stał przed rozsuniętą ścianą i poklepując się po nagich ramionach, patrzył na sad. W nocy padał deszcz, trawa była mokra, dach był mokry i dach sąsiedniego domku też był mokry. Niebo miało szary kolor, a na ścieżce lśniły kałuże. Wadim podciągnął szorty, wskoczył na trawę i pobiegł ścieżką. Głęboko wciągając wilgotne powietrze poranka, biegł omijając wypłowiałe ławki; biegł obok mokrych skrzynek, pudeł i tobołków, obok ogrodzenia sąsiedniego domku, gdzie, wystawiając na pokaz wnętrzności, stał na wpół zdemontowany koliber; biegł przez mokre, gęste krzaki, pomiędzy pniami mokrych sosen.

Nie zatrzymując się, z rozpędu skoczył do jeziora, wyszedł na przeciwległy porośnięty trzciną brzeg, a stamtąd, rozgrzany i bardzo z siebie zadowolony, cały czas przyspieszając, popędził z powrotem. Przeskakując przez ogromne kałuże i strasząc małe szare żabki, wypadł prosto na polankę przed domkiem Antona, gdzie stał „Statek”.

„Statek” nie miał nawet dwóch lat. Jego czarne matowe boki już wyschły i kołysały się nieznacznie, a spiczasty wierzchołek, mocno nachylony, mierzył prosto w ten punkt na szarym niebie, gdzie za chmurami było słońce. „Statek” z przyzwyczajenia gromadził energię. Wysoką trawę wokół niego, pośliznął i zwiędłą, pokrywał szron.

To był kulturalny, spokojny turystyczny gwiazdolot. Gwiazdolot rejsowy wymroziłby cały las w promieniu dziesięciu kilometrów.

Ślizgając się na zakrętach, Wadim obiegnął „Statek” i ruszył do domu. Gdy jęcząc z rozkoszy, mocno tarł skórę rącznikiem, z domku naprzeciwko wyszedł sąsiad, wujek Sasza, ze skalpelem w ręku. Wadim pomachał mu rącznikiem. Sąsiad miał sto pięćdziesiąt lat i dzień w dzień majstrował przy swoim helikopterze, ale na próżno - koliber nie chciał latać. Wujek Sasza popatrzył na Wadima w zadumie.

- Nie masz zapasowych bioelementów? - zapytał.

- Co, spaliły się?

- Nie wiem. Mają nienormalną charakterystykę.

- Mogę skontaktować się z Antonem, wujku Saszo - zaproponował Wadim. - Właśnie jest w mieście. Niech przywiezie kilka.

Sąsiad podszedł do helikoptera i stuknął go skalpelem w nos.

- Dlaczego nie chcesz latać, głuptasie? - zapytał gniewnie.

Wadim zaczął się ubierać.

- Bioelementy... - warczał wujek Sasza, wsuwając skalpel we wnętrzności kolibra. - Komu to potrzebne? Żywe mechanizmy, półżywe mechanizmy... prawie nieżywe mechanizmy... Ani montażu, ani elektroniki... same nerwy! Przepraszam bardzo, ale nie jestem chirurgiem. -

Helikopter wzdrygnął się. - Cicho, zwierzaku! Stój spokojnie! - Wyciągnął skalpel i odwrócił się do Wadima. - Przecież to niehumanitarne! - oznajmił. - Biedna zepsuta maszyna niczym jeden wielki bolący ząb! Może jestem zbyt staroświecki, ale mi go żal. Możesz to sobie wyobrazić?

- Mnie też - mruknął Wadim, naciągając koszulę.

- Co?

- Eee... może pomóc?

Wujek Sasza przez chwilę patrzył to na skalpel, to na helikopter.

- Nie - powiedział zdecydowanie. - Nie mam zamiaru dostosowywać się do okoliczności. On będzie latał.

Wadim zaczął jeść śniadanie. Włączył stereowizor i położył przed sobą Najnowsze metody tropienia tachorgów. Książka była stara, papierowa, zacytana jeszcze przez dziadka Wadima. Obrazek na okładce przedstawiał planetę-skansen Pandorę, z dwoma potworami na pierwszym planie.

Wadim przeglądał książkę przy jedzeniu, z przyjemnością spoglądając od czasu do czasu na śliczną spikerkę, mówiącą na temat sporu krytyków o emocjonalizm. Spikerka była nowa i podobała się Wadimowi już od tygodnia.

- Emocjonalizm! - westchnął i ugryzł kanapkę z kozim serem.

- Dziewczyno, przecież to nawet brzmi ohydnie! Jedź lepiej z nami.

A to słowo niech sobie zostanie na Ziemi, i tak na pewno umrze przed naszym powrotem.

- Emocjonalizm jako kierunek wydaje się bardzo perspektywiczny - ciągnęła spokojnie spikerka. - Daje prawdziwie głęboką perspektywę istotnego zmniejszenia entropii emocjonalnej informacji w sztuce, ponieważ właśnie teraz...

Wadim wstał i z kanapką w ręku podszedł do otwartej ściany.

- Wujku Saszo! Co słyszycie w słowie „emocjonalizm”?

Sąsiad z założonymi do tyłu rękami stał przez rozgrzebanym helikopterem. Koliber trzął się jak drzewo na wietrze.

- Co takiego? - powiedział wujek Sasza, nie odwracając się.

- Słowo „emocjonalizm” - powtórzył Wadim. - Jestem przekonany, że słyhać w nim dźwięk dzwonu pogrzebowego, widać budynek krematorium, czuć zapach przywiędłych kwiatów.

- Zawsze byłeś taktownym chłopcem, Wadim - westchnął starzec. - A słowo rzeczywiście jest nieprzyjemne.

- I absolutnie niepoprawne - dodał Wadim, kończąc kanapkę.

- Cieszę się, że pan też to czuje... Przepraszam, ale gdzie pan podział skalpel?

- Wpadł mi do środka - wyznał wujek Sasza.

Przez chwilę Wadim patrzył na dygoczący w męce helikopter.

- Wie pan, co się stało, wujku Saszo? - powiedział w końcu. Zamknął pan skalpelem system digestalny. Zaraz skontaktuję się z Antonem, przywiezie panu nowy skalpel.

- A co z tym?

Wadim ze smutnym uśmiechem pomachał ręką.

- Proszę popatrzeć - powiedział, podsuwając sąsiadowi pod nos ostatni kawałek kanapki. -

Widzi pan? - Włożył kanapkę do ust, pogryzł i przełknął.

- No i co? - spytał z zainteresowaniem wujek Sasza.

- Taki jest los pańskiego narzędzia.

Wujek Sasza popatrzył na helikopter, który właśnie przestał wibrować.

- I koniec - powiedział Wadim. - Po pańskim skalpeli. Za to koliber jest teraz naładowany na jakieś trzydzieści godzin nieprzerwanego działania.

Sąsiad okrążył helikopter, machinalnie dotykając różnych części. Wadim zaśmiał się i wrócił do stołu. Zjadł drugą kanapkę, a kiedy dopijał drugą szklankę zsiadłego mleka, pstryknął zamek informatora i cichy, spokojny głos oznajmił:

- Wezwań i odwiedzin nie było. Anton, jadąc do miasta, życzy dobrego dnia, i proponuje natychmiast po śniadaniu zacząć odcinanie się od wszystkiego, co ziemskie. Do instytutu przysłano dziewięć nowych zadań...

- Bez szczegółów - poprosił Wadim.

- ...zadanie numer 19 na razie nie zostało rozwiązane. Pal Minchin udowodniła istnienie wielomianowego działania nad Ku-polem struktur Simoniana. Adres: Richmond, siedemnaście-siedemnaście-siedem. To wszystko.

Informator pstryknął i po chwili przerwy dodał moralizatorskim tonem:

- Zazdrość to brzydka cecha. Zazdrość to brzydka cecha.

- Ty draniu! - oburzył się Wadim. - Wcale jej nie zazdroszczę.

Ja się cieszę! Dzielna dziewczyna! - Zamyślił się, patrząc na sad. A zresztą... - mruknął. - Teraz to już wszystko nieważne. Trzeba odciąć się od wszystkiego, co ziemskie.

Wrzucił brudne naczynia do zsypu i krzyknął:

- Natachorgi! Ozdobimy gabinet Pal Minchin, Richmond siedemnaście-siedemnaście-siedem, czaszkątachorga! Zaczął śpiewać:

Niech tachorgi w strachu żyją Niechaj wyją i niech piszczą!

Przecież wkrótce się spotkają Ze strukturalnym lingwistą!

- Gdzie radiofon? - zainteresował się, kiedy skończył. Znalazł aparat i wystukał numer. - Anton? No i jak tam?

- Stoję w kolejce - odparł Anton.

- Co ty powiesz? Wszyscy na Pandorę?

- Większość. Ktoś puścił plotkę, że niedługo zabronią polowania na tachorgi.

- Ale my zdążymy?

Anton milczał chwilę.

- Zdążymy - powiedział wreszcie.

- A są tam obok ciebie jakieś dziewczyny?

- Oczywiście.

- One też zdążą?

- Zaraz zapytam... mówią, że zdążą.

- Przekaż im pozdrowienia od znajomego strukturalnego lingwisty, sześć stóp wzrostu, o miłej powierzchowności... Zaraz, zaraz, co to ja ci chciałem powiedzieć? Aha, już wiem! Przywieź wujkowi Saszy skalpel. Dwa BE 6 i od razu BE 7. - I jeszcze nowy helikopter - dodał Anton. - Co ten staruszek zrobił ze swoim skalpelem?

- A jak myślisz, co można zrobić ze skalpelem?

- Nie mam pojęcia - odparł Anton po zastanowieniu. - Skalpel to rzecz wieczna. Jak tarasy Baalbek.

- Upuścił go prosto do żołądka swojego kolibra.

W radiofonie rozległ się chóralny chichot. Kolejka świetnie się bawiła.

- No dobrze - westchnął Anton. - Czekał, niedługo przyjadę.

Póki co, bądź moim supercargo i zacznij załadunek.

Wadim wsunął radiofon do kieszeni i ocenił odległość do drzwi.

- Duch nóg słaby - zacytował - moc rąk zła!

Stanął na rękach i żwawo pobiegł do wejścia. Na werandzie zrobił salto i z okrzykiem „uuuch!” opadł na trawę przed werandą. Wstał, wytarł ręce i wygłosił z uczuciem:

W pojedynku i na wojnie Przyznajemy oczywiście Medal szczęścia i radości Strukturalnemu lingwiście.

Niespiesznie ruszył aleją, mijając sterty tobołów i skrzynek.

Bagaży było sporo. Musieli wziąć ze sobą broń i amunicję, zapas jedzenia, ubranie na polowanie i coś elegantszego na wizytę w słynnej kawiarni Łowca na płaskowyżu Eweriny, gdzie pomiędzy stolikami hula wiatr, a pod urwiskiem, trzysta metrów niżej, zalegają nieprzebyte czarne zarośla przypominające burzowe chmury; gdzie podrapani kolcami łowcy z chichotem osuszają pękate butelki „Krwii tachorga” i rozciągają ramiona próbując pokazać, jaką czaszkę mogliby zdobyć, gdyby wiedzieli, z której strony karabin ma kolbę; gdzie w ciemnozielonym zmierzchu pary ślizgają się na zmęczonych nogach w dyskotecce Jasny Rytm, a nad grzbietem Śmiałków wschodzą na pozbawione gwiazd niebo owalne księżycy.

Wadim przykucnął tyłem do najcięższej skrzynki, przymierzył się i jednym zrywem postawił ją sobie na ramionach. W skrzyni była broń: trzy karabiny automatyczne z celownikami do strzelania we mgłę i sześćset pocisków w płaskich plastikowych magazynkach. Wadim przeniósł skrzynkę przez sad do statku. Wszedł na schodki i kopnął nogą w burtę. Membrana zaciągająca owalny luk rozeszła się i Wadim wrzucił skrzynkę w ciemność, z której powiało chłodem. Ruszył z powrotem, obrywając po drodze okazałe jagody jakiejś hybrydy. Każdy krzew zrzucał na niego ładunek zimnych deszczowych kropli.

Trzeba zastrzelić co najmniej pięć tachorgów, pomyślał. Jedna czaszka dla Pal Minchin z Richmondu. Niech wie, że ze mnie fajny chłopak. Jedna dla mamy... mama oczywiście nie zechce czegoś takiego, jest poważnym człowiekiem, i wtedy będę mógł podarować czaszkę pierwszej

dziewczynie, która przejdzie obok mnie na rogu Newskiego Prospektu i Sadowej po dziesiątej rano. Trzecią czaszką rzucę w Samsona, żeby powściągnąć jego sceptycyzm: dziwnie zachowywał się u Neli, gdy opowiadałem jej o ostatniej wyprawie na Pandorę. Czwarta czaszka dla Neli, żeby wierzyła mnie, a nie Samsonowi. A piątą powieszę nad stereowizorem. Wyobraził sobie, jak wspaniale będzie wyglądać śliczna spikerka pod wy szczerzoną czaszką potwora.

Zaniósł na statek cztery wielkie skrzynie ze świeżym mięsem, osiem z owocami i warzywami, dwa miękkie toboły z ubraniami i jeszcze jedną dużą pakę z prezentami dla mieszkańców planety z krzywym napisem: PUSZKA DLA PANDORY.

Gdzieś za chmurami słońce wznosiło się coraz wyżej; robiło się gorąco. Wszystko wokół wysychało. Żaby pochowały się w trawie.

W pustych domkach z szelestem otwierały się ściany. Wujek Sasza zawiesił hamak obok swojego kolibra i położył się na nim z gazetą. Wadim skończył przenosić skrzynki i usiadł pod krzakiem agrestu z kanapką.

- A więc wylatujecie? - zapytał wujek Sasza.

- Jasne.

- Lecicie na Pandorę?

- Aha.

- Właśnie przeczytałem, że skansen zamykają. Na kilka lat.

- To nic, wujku Saszo - zapewnił go Wadim. - Zdamy.

Wujek Sasza powiedział po chwili milczenia:

- Będzie mi tu smutno samemu.

Wadim przerwał jedzenie kanapki.

- Przecież niedługo wrócimy! Za miesiąc.

- Wszystko jedno. Na ten miesiąc wrócę do miasta. Co będę tu robił sam jeden w pięciu domkach? Z tym ledwie żywym idiotą?

W niebie rozległo się niegłośnie furkotanie.

- O, jeszcze jeden leci - zauważył wujek.

Wadim podniósł głowę. Nad osiedlem kreślił ósemkę jaskrawoczerwony ramforinh. Na brzuchu widać było wyraźnie biały numer.

- Tak to i ja umiem - powiedział wujek Sasza. - A ty, kochany, spróbuj wylądować śrubą, i żeby nie bokiem i nie do strumienia, ale tuż obok...

Ramforinh odleciał. Na betonowej dróżce za sadem dało się słyszeć sapanie samochodu.

- W naszym osiedlu coraz większe ożywienie - stwierdził wujek Sasza. - Ruch jak na Newskim Prospekcie!

- To Anton! - zerwał się Wadim i pobiegł do „Statku”.

Anton właśnie wjeżdżał do garażu. Kiedy wyszedł, powiedział z roztargnieniem:

- Wszystko w porządku, Dimka. Dziennik nawigatora zarejestrowałem, pozwolenie mam...

- Ale? - zapytał domyślnie Wadim.

- Co - ale?
- Wyraźnie słyszę w twojej wypowiedzi jakieś „ale”.
- Byłem u Gali. Nie jedzie - odparł Anton z niechęcią.
- Przeze mnie?
- Nie... - Anton zamilkł na chwilę. - Przeze mnie.
- Aha... - powiedział wieloznacznie Wadim.
- Jak tam u nas z załadunkiem, supercargo? - zapytał Anton.
- Wszystko w porządku, kapitanie. Można startować.
- A w domu sprzątnięte?
- W czyim domu?
- Na przykład w moim.
- Nie, kapitanie. Przepraszam, kapitanie. Dopiero co skończyłem załadunek, kapitanie.

Nisko nad dachami znowu przeleciał czerwony ramforinh.

- Co jest? - zdumiał się Anton. - Znowu CSZCZ-268? Zdaje się, że stałem się obiektem obserwacji. Ten czerwony ramforinh leci za mną od placu Pałacowego.

- Czy nie jest w to czasem zamieszana kobieta? - zapytał Wadim.

- Nie sądzę. Jeszcze nigdy kobiety się za mną nie uganiały.

- Mogły zacząć... - mruknął Wadim, ale olśniła go nowa myśl.

- A może to członek tajnej organizacji obrońców tachorgów?

Ramforinh znowu przeleciał nad ich głowami i ucichł.

- To pewnie do wujka Saszy - powiedział Wadim. - Pójdzie na organy zamienne. Biedny ramforinh! A właśnie, przywiozłeś?

- Przywiozłem - rzekł Anton, patrząc na drogę. - Nie masz racji, strukturalny supercargo. To nie do wujka Saszy...Zza krzaków wyłonił się wysoki kościsty mężczyzna w luźnej białej bluzie i białych spodniach. Miał smagłą twarz, gęste brwi i duże brązowe uszy. W ręku trzymał sporą teczkę.

- To on - powiedział Anton.

- Kto?

- Człowiek w białym ubraniu. Przez cały czas chodził wzdłuż kolejki i zaglądał wszystkim w oczy.

- Zaraz mu wyjaśnię, co to są tachorgi - powiedział Wadim. Na pewno zrozumie.

Człowiek w bieli podszedł blisko i uważnie obejrzał obu łowców.

- Wie pan, że tachorgi atakują ludzi i niekiedy zadają poważne rany? - zaczął Wadim. - Mogą okaleczyć.

- Naprawdę? - powiedział człowiek w bieli. - Tachorgi? Pierwszy raz słyszę. Zresztą to nie moja działka. Przyszedłem do was z prośbą. Dzień dobry. - Dotknął dwoma palcami skroni.

- Dzień dobry - przywitał się Anton. - Pan do mnie?

Nieznajomy rzucił teczkę pod nogi i otarł pot z czoła. W teczce coś głośno brzęknęło. Była wypchana do granic możliwości, mocno wytarta, ozdobiona mnóstwem pasków i miedzianych sprzączek.

Japończycy mówią na teczkę „wieprz”, pomyślał Wadim. Niewątpliwie mają rację.

- Tak. Do pana - powiedział powoli nieznajomy, zmrużył oczy i przesunął dłonią po czole. - Tylko proszę nie pytać, dlaczego właśnie do pana, bo to zupełny przypadek.

- Ależ mamy szczęście - powiedział wesoło Wadim. - To zdumiewające, jakie mamy dziś szczęście.

Nieznajomy popatrzył na niego bez uśmiechu.

- To pan jest kapitanem?

- Potencjalnie, owszem - odparł Wadim. - A w rzeczywistości - supercargo, starszy specjalista do spraw tachorgów oraz zwierzołog amator...

Wadima poniosło i już nie mógł się powstrzymać. Musiał za wszelką cenę wywołać na twarzy nieznajomego uśmiech, choćby tylko grzecznościowy.

- Prócz tego jestem pilotem amatorem. Drugim. Na wypadek, gdyby kapitanowi nagle odłożyły się sole albo zaczął cierpieć na kolana pokojówki...

Nieznajomy słuchał w milczeniu. Anton powiedział półgłosem.

- Bardzo śmieszne.

Zapadła cisza.

- Jak zrozumiałem, lecicie na Pandorę - powiedział facet w bieli i popatrzył na Antona.

- Zgadza się. - Anton zerknął na teczkę. - Chce pan coś przez nas przekazać?

- Nie - odparł gość. - Nie zamierzam nic przekazywać. Za to mam dla was propozycję. Jedziecie się rozerwać, prawda?

- Tak - zgodził się Anton.

- Jeśli niebezpieczne polowanie można nazwać rozrywką - dodał znacząco Wadim.

- To doskonały wypoczynek... przelot turystyczny i polowanie - zaprotestował Anton.

- Przelot turystyczny... - powoli, jakby ze zdumieniem powiedział nieznajomy. - Turyści... Ale wy zupełnie nie wyglądacie na turystów. Jesteście krzepcy, zdrowi, tacy dzielni chłopcy... Po co wam te oswojone planety, zelektryfikowane dżungle, automaty z wodą gazowaną na pustyni? Szkoda słów! Dlaczego nie mielibyście polecieć na całkiem nieznaną planetę?

Młodzi ludzie popatrzyli na siebie.

- A jaką konkretnie? - zapytał Anton.

- Czy to nie wszystko jedno? Dowolną. Na której stopa ludzka... - Nieznajomy otworzył szeroko oczy. - A może już takich nie ma?

Nie żartował, to było oczywiste. Chłopcy znowu popatrzyli po sobie.

- Dlaczego nie? - powiedział Anton. - Takich planet jest ile dusza zapagnie. Ale my przez całą zimę planowaliśmy polowanie na Pandorze.

- Ja nawet - podchwycił Wadim - już rozdałem znajomym czaszki jeszcze nie zabitych tachorgów.

- A zresztą, co mielibyśmy robić na nowej planecie? - zapytał łagodnie Anton. - Nie jesteśmy ekspedycją naukową, żadni z nas specjaliści. Wadim na przykład jest lingwistą, ja astronautą, pilotem... nie zdołamy nawet niczego porządnie opisać. A może pan ma jakiś pomysł?

Nieznajomy ściągnął kosmate brwi.

- Nie mam żadnych pomysłów - powiedział ostro. - Po prostu muszę dostać się na nieznaną planetę. Dlatego pytam: możecie mi pomóc czy nie?

Wadim zaczął zapinać i rozpinąć suwak kurtki. Denerwował go ten facet, a zwłaszcza jego sposób mówienia. Jednak sytuacja była rzeczywiście niezręczna. Człowiekowi, który się wybiera wypocząć, trudno spierać się z człowiekiem, który musi jechać w ważnej sprawie. Wadim nie miał dobrych argumentów i już miał przyczepić się do tonu nieznajomego, kiedy zdarzyło się coś dziwnego.

Za drzewami zaszczekał pies - airdale terier wujka Saszy, stary i głupi, z oznakami arystokratycznego zwyrodnienia i niezwykle głębokim głosem. Szczekał prawdopodobnie dlatego, że na nosie usiadła mu osa, a on nie wiedział, co z nią zrobić, ale twarz obcego faceta wykrzywił nagle dziki grymas. Zgiął się wpół i odskoczył w bok. Wadim zupełnie nie zrozumiał, co się stało. Nieznajomy wyprostował się szybko, i ostentacyjnie wolnym krokiem wrócił na poprzednie miejsce. Na czole lśniły mu kropelki potu. Wadim popatrzył na Antona, który miał zamyśloną minę.

- No cóż - powiedział z rozwagą Anton. - W drugich peryferiach jest sporo żółtych karłów, z porządnymi planetami ziemskiego typu. Możemy się tam wybrać. Weźmy chociaż EN 7031. Ktoś miał tam lecieć, ale odłożono lot. Wydawało się, że to nic interesującego.

Ochotnicy nie lubią żółtych karłów... woleliby giganta, najlepiej wielokrotnego. Odpowiada panu EN-7031?

- Tak, w zupełności - odparł nieznajomy. Już ochłonął. - Jeśli to rzeczywiście niezamieszкана planeta.

- To nie planeta - poprawił grzecznie Anton. - To gwiazda.

Słońce. Ale są tam również planety. Wszystko wskazuje na to, że niezamieszkaną. Jak się pan nazywa?

- Nazywam się Saul - powiedział nieznajomy i po raz pierwszy się uśmiechnął. - Saul Repnin. Jestem historykiem. Specjalizacja dwudziesty wiek. Ale postaram się być użyteczny. Umieję gotować, prowadzić pojazdy naziemne, szyć, naprawiać obuwie, strzelać... zamilkł. - Prócz tego wiem jak to wszystko robiono wcześniej. Znam też kilka języków: polski, słowacki, niemiecki, trochę francuski i angielski...

- Szkoda, że nie umie pan sterować statkiem - westchnął Wadim.

- Tak, szkoda - przyznał Saul. - Ale to nic, przecież pan umie.

- Nie wdychaj, Dimka - zwrócił przyjacielowi uwagę Anton.

- Pora, żebyś i ty popatrzył na piękne krajobrazy bezimiennych planet. Tańczyć na dyskotekach można równie dobrze na Ziemi. Popisuj się tam, gdzie nie ma dziewczyn, wzdychaczu...- Wzdycham z zachwytu zaprotestował Wadim. - W końcu co to nadzwyczajnego, tachorgi? Ciężkie bydłeta i powszechnie znane.

- Mam nadzieję, że do niczego was nie zmuszam - zaniepokoił się Saul. - Zgodziliście się dobrowolnie, prawda?

- Oczywiście - powiedział Wadim. - Bo czymże jest wolność?

Uświadomioną koniecznością. Cała reszta to szczegóły.

- Pasażerze Saulu Repninie, start o 20.00 - zarządził Anton. Pańska kajuta jest trzecia, chyba że wolałby pan kajutę czwartą, piątą, szóstą albo siódmą. Chodźmy, pokażę panu.

Saul schylił się po teczkę, a zza pazuchy wysunął mu się i ciężko pacnął w trawę duży czarny przedmiot. Anton uniósł brwi. Wadim przyjrzał się i zrobił to samo. To był skorczer, ciężki długolufowy pistolet-dezintegrator, strzelający ładunkami miliona wolt. Takie cacka Wadim widywał tylko na filmach. Na całej planecie była najwyżej setka egzemplarzy tej strasznej broni a wydawano ją tylko kapitanom dalekobieżnych desantowych statków.

- Ale ze mnie gapa - wymamrotał Saul, podniósł skorczera i wsunął pod pachę. Wziął teczkę i oznajmił: - Jestem gotowy.

Anton popatrzył na niego, jakby chciał o coś zapytać, ale w końcu powiedział:

- Chodźmy, Saul. A ty, Wadim, posprzątaj trochę w domu i zanieś staruszkowi narzędzie. Jest w bagażniku. Mam na myśli narzędzie, a nie staruszka.

- Tak jest, kapitanie - powiedział Wadim i poszedł do garażu.

Trudno być optymistą, rozmyślał. Bo kimże jest optymista?

W jakimś starym słowniku wyczytał, że optymista to człowiek pełen optymizmu. W tym samym słowniku, hasło wyżej, napisano, że optymizm to radosne, pozytywne odbieranie rzeczywistości, wiara w przyszłość, w powodzenie. Dobrze jest być lingwistą - wszystko od razu staje się jasne. Pozostaje tylko połączyć pozytywne, radosne odbieranie rzeczywistości z podróżowaniem w towarzystwie ciężko uzbrojonego nieudacznika...

Wyjął z bagażnika skalpel i bioelementy i poszedł do wujka Saszy. Staruszek siedział w kucki pod czerwonymi ramforinhem.

- Wujku Saszo - odezwał się Wadim. - Przyniosłem nowy skalpel.

- Nie trzeba - odparł wujek Sasza, wychodząc spod ramforinha. - Dziękuję ci, ale podarowano mi to - poklepał ramforinha po lśniącym boku. - Podobno jest bardzo żywotny.

- Podarowano?

- Tak. Pewien młody człowiek w białym ubraniu.

- Aha, więc to tak - mruknął Wadim. - Czyli facet był pewien, że go zabierzemy. A może miał zamiar wedrzeć się na statek siłą?

- O czym ty mówisz? - zdziwił się wujek Sasza.

- Wujku Saszo, wie pan, co to takiego skorczer? - zapytał Wadim.

- Skorczy? Oczywiście, że wiem. To urządzenie z mikroładunkiem w automatach tkackich. Co prawda teraz takich nie ma, ale pamiętam, siedemdziesiąt lat temu... a co, ten człowiek w białym ubraniu też jest dawnym tkaczem?

- Może i jest, ale jego skorczy bynajmniej nie ma mikroładunku.

Wadim w zadumie poszedł do swojego domku. Wrzucił bieliznę pościelową do zsypu, przełączył automatykę gospodarstwa domowego na tryb „nieobecność”, a wychodząc napisał ołówkiem na drzwiach werandy: WYJECHAŁEM NA URLOP. PROSZĘ NIE ZAJMOWAĆ.

Poszedł posprzątać dom Antona. Cały czas się zastanawiał. Nie jest tak źle, przekonywał sam siebie. Tachorgi, powiedzmy sobie szczerze, już mu się przejadły. Pandora, to tylko modny kurort. Dziwne, że wytrzymałem tam trzy sezony pod rząd. Co za wstyd, pomyślał nagle, przecież w swoim czasie chwaliłem się naszyjnikami z zębów tachorga i opowiadałem niebywałe pandoriady. Chciałem rzucać w Samsona czaszką tachorga... przecież to bez sensu. Samson zasługuje na upamiętnienie w inny sposób. Nieznana planeta to w końcu nieznana planeta. Po nieznannej planecie chodzą nieznanne zwierzęta. Nawet jeszcze nie wiedzą, jak się nazywają. A ja wiem.

Upoluję tam pierwszego w historii samsona szczerbaka błoniastego... Cisnąć w Samsona czaszką samsona - to by było coś.

Gdy wrócił na polankę, statek był już gotowy do startu. Jego wierzchołek już nie szukał słońca, szron na trawie znikł.

Wadim usiadł wygodnie w luku, zwieszając nogi na zewnątrz.

Popatrzył na domek Antona z odsuniętą ścianą, na zielone korony sosen, na niskie chmury, w których na przemian pojawiały się i znikwały błękitne prześwity. Tak, drogi Samsonie, mój nieparzystokopytny bracie, pomyślał mściwie. Może byłeś niezły walcząc z jakimś tam biblijnym lwem, ale daleko ci do strukturalnego lingwisty...

Ciekawe, że nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby się tłuc na jakąś tam nieznaną planetę, gdyby nie ten gość w białym ubraniu.

Gnuśny z nas jednak naród, nawet najlepszych strukturalnych lingwistów ciągnie tylko na oswojone planety...Na polankę wyszedł pies Trofim.

Zamrugał, patrząc na Wadima pocziwymi, łzawiącymi oczami, ziewnął i zaczął się drapać tylną nogą za uchem. Życie jest piękne i pełne niespodzianek; weźmy na przykład takiego Trofima, myślał Wadim. Stary, głupi, pocziwy, ale okazało się, że jeszcze może kogoś przestraszyć... A może wszyscy lunatycy boją się szczekania psów? Wadim popatrzył na Trofima. Dlaczego właściwie pomyślałem, że Saul jest lunatykiem... skąd takie dziwne założenie? Przecież łatwiej przyjąć, że historyk Saul nie jest żadnym historykiem, tylko szpiegiem jakiejś humanoidalnej rasy na naszej planecie. Jak Benin Durów na Tagorze... to byłoby super! Cały miesiąc na nieznanach planetach, wśród tajemniczych nieznanym... Tak, to wszystko wspaniale do siebie pasuje! Sam nie może się wydostać z Ziemi, psów się boi, chce polecieć na nieznaną planetę, bo tam mają przysłać po niego statek - na neutralny, że tak powiem, teren. Wróci do siebie i złoży raport: „Żyją

tam wspaniali ludzie, pełni optymizmu, będziemy z nimi mieli dobre humanoidalne stosunki...”

Wadim ocknął się i krzyknął w głąb statku:

- Anton, jestem na pokładzie!

- Nareszcie - odkrzyknął Anton. - Już myślałem, że zdezerterowałeś.

Zza drzew, bezwstydnie kręcąc ogonem, wynurzył się smukły czerwony ramforinh i nie wiadomo dlaczego zaczął krążyć wokół statku jak w rundzie honorowej. Wujek Sasza uchylił drzwiczki i pomachał czymś białym. Wadim pokiwał rękaw odpowiedzi.

- Start! - uprzedził Anton.

Statek drgnął i miękko podskoczył - Wadim zdążył odepchnąć się nogą od ziemi - i zaczął wznosić się w niebo.

- Dimka! - krzyknął Anton. - Zamknij luk, bo przeciąg.

Wadim ostatni raz pomachał wujkowi Saszy, wstał i zamknął luk.

Rozdział 2

Anton przekazał ster cybernawigatorowi i z rękami złożonymi na brzuchu w zadumie patrzył na ekran. Statek szedł na północ.

Wokół mieli ciemnofioletowe niebo stratosfery, a głęboko w dole leżała biaława pierzynka obłoków. Pierzynka wydawała się gładka i równa, tylko gdzieniegdzie można się było domyślić gigantycznych lejów nad stacjami tnakropogodowymi. Synoptycy wylali nad północną Europą deszcz i teraz zaganiiali chmury w pułapki.

Anton zastanawiał się nad naturą ludzką. Przypominał sobie dziwnych ludzi, z którymi się kiedykolwiek zetknął. Jaków Osinowski, kapitan „Herkulesa”, nie mógł znieść łysych. Po prostu nimi gardził. „Nawet mnie nie przekonujcie - mówił - lepiej pokażcie mi łysiego, który byłby prawdziwym człowiekiem”. Widocznie łysi nieprzyjemnie mu się kojarzyli, ale nigdy nikomu nie powiedział, dlaczego. Nie zmienił zdania nawet wtedy, gdy podczas sarandaskiej katastrofy sam zupełnie wyłysiał. Powtarzał wtedy z goryczą: „Jedyny prawdziwy! Zauważcie, jedyny pośród nich!...” Walter Szmidt z bazy „Gatteria” równie dziwnie traktował lekarzy. „Lekarze - cedził z pogardą - byli znachorami i znachorami zostali. Kiedyś był chleb z pajęczyną i krew węża, a teraz pole psychodynamiczne, o którym nikt nic nie wie. Kogo to obchodzi, co ja mam w środku? Głowonogi żyją od tysięcy lat bez żadnych lekarzy i do dziś szczęśliwie władają głębinami”.

Wołkowa przezywano Dreadnought - Pancernikiem, a on był z tego bardzo zadowolony. Był jeszcze Kaneko, który nigdy nie jadł niczego gorącego. Ralph Pinetti wierzył w lewitację i z uporem trenował... A historyk Saul Repnin boi się psów i nie chce się bratać z ludźmi. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że nie chce żyć wśród ludzi dlatego, że boi się psów. Dziwne, prawda? Ale z tego powodu wcale nie jest gorszy.

Dziwactwo? Dziwactwa nie istnieją. Są tylko nierówności. Zewnętrzne świadectwa niepojętych procesów zachodzących w głębi ludzkiej natury, gdzie rozum walczy z przesądami, przyszłość stacza śmiertelny bój z przeszłością. A my tak bardzo chcemy, żeby wszyscy wokół nas byli ujednoliceni, tacy, jakich wymyślimy na miarę naszej skąpej wyobraźni... żeby można było ich opisać w elementarnych słowach dziecięcych wyobrażeń: dobry wujek, chciwy wujek, nudny wujek. Straszny wujek. Dureń.

A przecież Saulowi wcale nie wydaje się dziwne, że boi się psów.

A Kaneko nie dziwi się, że nie lubi gorącego jedzenia. Wadimowi też nigdy nie przyjdzie do głowy, że jego idiotyczne wierszyki niektórym wcale nie wydają się zabawne, tylko dziwaczne. Na przykład Gali.

A weźmy mnie, myślał dalej Anton. Właśnie miałem lecieć na Pandorę. Gdyby dowiedział się o tym taki kapitan Małyszew, popatrzyłby na mnie ze zdumieniem i powiedział: „Jeśli chcesz odpocząć, nie znajdziesz lepszego miejsca niż Ziemia. A gdybyś postanowił popracować, to polecam czarny system EN 8742, który jest w planie, albo giganta EN 6124. Tym gigantem z jakiegoś powodu interesują się specjaliści na Tagorze”. Małyszew miałby rację. Ale pewnie by

mnie zrozumiał i przestał się dziwić, gdybym wytłumaczył, że stęskniłem się za Dimką, a Dimka chce postrzelać do tachorgów.

Anton uśmiechnął się. Po co tak komplikować? Po prostu teraz wszyscy latają na Pandorę. Nawet Gala powiedziała, że sama by tam chętnie poleciała. Tak organizuje się w naszych czasach przeloty. A zmienić plany jest bardzo łatwo. Czy mógłbym przyznać się Małyszewowi, że chodzi tylko o Galę? Dlaczego człowiek nie może zacząć żyć zwyczajnie, bez przepastnych głębin, z których wypływają zraniona ambicja i urażona duma? Zawsze jest coś do ukrycia.

Zawsze jest się czego wstydić.

Anton popatrzył na bukiet goździków leżący przed ekranem.

Ach, Gala, pomyślał. Chuchnął na pulpity i napisał palcem na nienakładanym matowym kręgu: „Oj, Gala, Gala...” Litery szybko znikły, nie zdążył nawet dodać wykrzyknika. Jeszcze raz chuchnął na pulpity postawił wykrzyknik - oddzielnie. Odchylił się na oparcie fotela i po raz sto pierwszy spróbował logicznie rozwiązać problem: „Kocham dziewczynę, która mnie nie kocha, ale lubi. Co robić?” Co właściwie by się zmieniło, gdyby Gala mnie pokochała?

Mógłbym ją obejmować i całować. Mógłbym spędzać z nią cały czas.

Byłbym dumny. To chyba wszystko. Głupia sprawa, ale to wszystko. Po prostu spełniłoby się jeszcze jedno marzenie. Jak to wszystko zwyczajnie wygląda, gdy się myśli logicznie! Cóż, inaczej nie umiem.

Zawsze już będę cynikiem... Anton wyobraził sobie Galę, gdy coś mówi - zerka przez ramię, oczy przysłonięte rękami... Dlaczego wszystko jest tak idiotycznie urządzone? Można uratować człowieka przed każdym nieszczęściem - chorobą, obojętnością, śmiercią, i tylko na prawdziwe nieszczęście, na brak miłości, nikt nie może nic poradzić. Znajdą się tysiące doradców, i każdy będzie radził co innego. Zresztą wariat, którego to nieszczęście spotkało, wcale nie chce, żeby mu ktokolwiek pomógł.

- Przepraszam bardzo, dokąd pan idzie? - zapytał głośno Saul.

- Na mostek - odparł Wadim.

- Proszę zaczekać! Przecież właściwie jeszcze się nie poznaliśmy...

Drzwi na mostek były otwarte. Anton przez cały czas łowił uchem dobiegającą z mesy rozmowę o tachorgach, lasach, teorii historycznych konsekwencji. Teraz zaczął słuchać uważniej.

- Nazywa się pan Wadim, prawda? - zapytał Saul.

- Właściwie - odrzekł poważnie Wadim. - Ale czasem mówią na mnie Strukturalny, czasem Latający byk, a w specjalnych przypadkach Dimeczka.

- A więc, Wadim... ile ma pan lat?

- Dwadzieścia dwa lokalnych ziemskich.

- Lokalnych... ach, tak rozumiem... jak pan powiedział? Lokalnych ziemskich?

- Tak. W starych gwiazdnych nie brałem udziału.

- Oczywiście. Tak właśnie myślałem. A pana ojciec, przepraszam, kim jest?

- Kim? Myślę, że jak dotąd melioratorem.

- Ee... rozumiem, rozumiem, to właśnie miałem na myśli.

Zapadła cisza.

- Bardzo ładny stół - powiedział z zakłopotaniem Saul.

Znowu pauza.

- Ładny stół.

- Mocny - zgodził się Wadim.

- A pańska matka?

- Matka? Jest... no, tego, zawiadowcą stacji. Pracuje na stacji mezojądrowej.

Saul nerwowo zabębnił palcami po stole.

- Proszę mi darować, Wadim - poprosił. - Niech pan nie zwraca na to uwagi... rzeczywiście, mówię trochę dziwnie i zapewne nieco śmiesznie. Widzi pan, to... to ten mój tryb życia... mój, że tak powiem, modus vivendi. Wąska specjalizacja. Cały tkwię w dwudziestym wieku. Jestem, jak to się kiedyś mówiło, mołem książkowym. Wiecznie w muzeach, wiecznie wśród starych książek...

- Wpływ otoczenia.

- Tak, tak, właśnie tak. Rzadko kontaktuję się z ludźmi, a teraz właśnie muszę. Zna pan profesora Arnatowa?

- Nie.

- Znakomity specjalista. Mój ideowy przeciwnik. Poprosił, żebym sprawdził niektóre aspekty jego nowej teorii. Przecież nie mogłem odmówić, prawda? W ten sposób przyszło mi porzucić zacisze gabinetu. Tak... Ale dlaczego ciągle mówimy o mnie!... Pan, zdaje się, jest lingwistą strukturalnym?

- Tak.

- Ciekawa praca?

- Czy zdarza się nieciekawa praca?

- No tak, oczywiście... i czym się pan zajmuje?

- Zajmuję się analizą strukturalną. Ale musi pan wiedzieć, Saul, że na razie odciąłem się od wszystkich ziemskich spraw. Może lepiej opowiem panu o tachorgach.

- Nie, dziękuję bardzo, o tachorgach nie. Proszę mi raczej opowiedzieć, jak pan pracuje.

- Saul, przecież tłumaczę panu, że się odciąłem...

- Jak to się pan odciął? To znaczy, że zupełnie pan nie myśli o pracy?

- Przeciwnie, myślę cały czas. Zawsze myślę o pracy, ale o tej, którą zajmuję się w danej chwili. Teraz jestem supercargo i drugim pilotem, na wypadek, gdy Antenowi odłożyły się sole. Ale o tym już chyba wspominałem... Teraz mam ochotę trochę popilotować statek.

- Przecież jeszcze pan zdąży! Zresztą nie proszę, by pan mi opowiadał o istocie pańskiej pracy, lecz o formie zewnętrznej, że tak powiem... A więc przychodzi pan do pracy w zwykły roboczy dzień...- Proszę bardzo. Zwykły dzień. Kładę się na maszynie cyfrowej i myślę.

- Zaraz, zaraz... jak to, na maszynie? Ach tak, rozumiem. Jest pan lingwistą! kładzie się na maszynie cyfrowej. I co dalej?

- Myślę godzinę, dwie, trzy...

- I wreszcie?

- Kiedy mija pięć godzin myślenia i nic nie wykombinowałem, schodzę z maszyny i wychodzę.

- Dokąd?

- Na przykład do zoo.

- Dlaczego do zoo?

- Cóż... Lubię zwierzęta.

- A praca?

- Przychodzę następnego dnia i znowu zaczynam myśleć.

- Myśli pan przez pięć godzin i idzie do zoo?

- Nie. Zazwyczaj w nocy przychodzą mi do głowy jakieś pomysły i na drugi dzień już je tylko domyślam do końca. A potem psuje się maszyna cyfrowa.

- I idzie pan do zoo?

- Co tu ma do rzeczy zoo? Zaczynamy naprawiać maszynę! Schodzi nam do rana.

- A potem?

- A potem kończy się dzień pracy i zaczyna się święto. Wszystkim oczy na wierzch wychodzą, wszystkim w głowie tylko jedno teraz wszystko utknie w miejscu i trzeba będzie myśleć od początku.

- No to już wiem, jak wygląda dzień pracy. Jednak nie można ciągle pracować...

- Nie można - przyznał Wadim z żalem. - Ja na przykład nie mogę. W końcu trafia człowiek w ślepą uliczkę i musi się jakoś rozerwać.

- Jak?

- Jakkolwiek. Ja na przykład jeżdżę na bujerach. Lubi się pan ściagać na bujerach?

- Ee... jakoś nigdy nie miałem okazji.

- No wie pan! Na pewno pana przewiozę. Jaki ma pan indeks zdrowia?

- Indeks zdrowia? Jestem zupełnie zdrowy. A nad czym pan teraz pracuje?

- Nad syntezą rozdzielnych struktur.

- A po co to jest potrzebne?

- Jak to, po co?

- No, kto będzie miał z tego pożytek?

- Każdy, kto się tym zainteresuje. Teraz na przykład projektuję uniwersalny translator. Uniwersalny translator powinien umieć dokonać syntezy rozdzielonych struktur.

- Wadim, czy tutaj, na statku, można posłuchać muzyki?

- Oczywiście. Co by pan sobie życzył? Może Trele Sheyera?

Przy tej muzyce wspaniale kieruje się statkiem.

- A Bach?

- O, Bach! Myślę, że Bacha też mamy. Saul, z panem na pewno będzie się bardzo przyjemnie słuchało muzyki.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Zawsze przyjemnie słucha się muzyki z człowiekiem, który ją zna. Lubi pan Mendelssohna?

- Zna pan Mendelssohna?

- Saul! Mendelssohn jest najlepszy ze starych! Mam nadzieję, że pan go lubi. Co prawda, na statku nie słucha się go zbyt dobrze.

Rozumie mnie pan?

- Chyba tak... Ja słucham Mendelssohna w swoim przytulnym gabinecie.

W końcu się rozgadał, pomyślał Anton. Zerknął na zegarek. Statek wchodził w strefę startową nad biegunem północnym. Na ekranie, w fioletowej głębi, pojawiły się ciemne punkty innych jednostek, czekających na start. Anton krzyknął w otwarte drzwi:

- Przepraszam, że wam przerywam, ale zaraz startujemy. Dimka, pokaż Saulowi, jak korzystać z komory przeciążeniowej.

Anton wysłał na stację kontrolną zapytanie o program czekającego ich lotu. Trzydzieści minut później, gdy „Statek” pływał w stratosferze z dwoma dziesiątkami innych dużych i małych maszyn, otrzymał program przejścia, siedem wariantów drogi powrotnej i zezwolenie na wyjście w podprzestrzeń. Poprosił pasażerów, żeby zamknęli się w komorach, sam wszedł do jednej z nich, sprawdził obecność i dał „Statkowi” komendę startu.

Jak zawsze, poczuł silne mdłości. Przez ciało przetoczyła się fala gorąca, twarz i plecy pokryły się zimnym potem. Osowiałym wzrokiem śledził, jak czerwona strzałka zrywami skacze po skali, rejestrując szybko zmieniającą się krzywiznę przestrzeni. Dwieście rimańców... czterysta, osiemset, tysiąc sześćset rimańców na sekundę... przestrzeń wokół statku zwijała się coraz bardziej. Anton wiedział, jak to wygląda z boku. Wyraźny czarny kontur statku zaczyna migotać, powoli rozpływa się w powietrzu i nagle znika, a na jego miejscu wybucha w słońcu ogromna chmura powietrza. Temperatura w promieniu stu kilometrów gwałtownie spada o pięć-dziesięć stopni... Trzy tysiące rimańców. Ognista strzałka stanęła. Epsilon-derytrynitacja dobiegła końca i „Statek” przeszedł do podprzestrzeni.

Z punktu widzenia ziemskiego obserwatora był teraz rozciągnięty na sto pięćdziesiąt parseków odległości od Słońca do EN 7931. Teraz czekało ich powrotne przejście.

Przy wyjściu z podprzestrzeni zawsze istnieje niebezpieczeństwo znalezienia się zbyt blisko jakiejś masy, może nawet w jej wnętrzu.

Co prawda, jest to niebezpieczeństwo głównie teoretyczne. Prawdopodobieństwo jest znacznie mniejsze od trafienia w komin Ermitażu, kiedy się wypadnie nad Leningradem ze stratoplanu. W każdym razie do jednego ani do drugiego nie doszło przez całą historię ludzkości.

„Statek” szczęśliwie wskoczył w normalną przestrzeń w odległości dwóch jednostek astronomicznych od żółtego karła EN 7031.

Anton kilka razy głęboko odetchnął, wytarł pot z czoła i wyszedł z komory. Na mostku wszystko było w porządku. Przeszedł się wzdłuż pulpitu, prześliznął spojrzeniem po ekranie, a

następnie wyłączył automatykę przejścia. Na pulpicie przed ekranem nadal leżał bukiet goździków. Anton zatrzymał się. „Szkoda” - wymamrotał. Kiedy dotknął kwiatów palcem, rozsypały się w zielonkawy pył. Biedactwa, pomyślał Anton. Nie wytrzymały. Zresztą, kto by wytrzymał? Przypomniawszy sobie o pasażerach i poszedł do mesy.

Na okrągłą mesę wychodziły drzwi wszystkich ośmiu kajut i luk na niższy poziom, gdzie były magazyny, kuchnia, syntetyzator, prysznic i tak dalej. Anton obejrzał stół, fotele, poprawił pokrywę zsypaną i skierował się do kabiny Wadima. Odsunął zasłonkę, a Wadim runął na niego, błądzący i spocony jak mysz.

- Źle? - spytał ze współczuciem Anton.

Wadim zaśpiewał głębokim głosem:

Wyje wiatr dalekich włóczęg, Coś niesamowicie śwista.

Oto wyszedł nam w podprzestrzeń Strukturalny nasz lingwista.

Klapnął ciężko na kanapę.

- Oto dlaczego nie zostałem astronautą - powiedział ochryple i położył się.

- Za każdym razem mówisz to samo - stwierdził Anton. Wadim nie skomentował. - Pójdę uwolnić Saula - dodał Anton.

- Słyszałeś naszą rozmowę? - zapytał Wadim, nie otwierając oczu.

- Tak.

- Ciekawy człowiek, co?

- Nie wiem - powiedział Anton. - Moim zdaniem ten facet ma poważny problem.

- Jasne. Przecież innego nie wziąłbyś na statek. Wystarczy, że się wybieramy gdzieś we dwóch, a ty od razu zaczynasz przejawiać altruizm. Poczekaj, nie odchodź...

Anton zatrzymał się w drzwiach.

- Gadasz same głupoty - powiedział - a tam Saulowi pewnie jeszcze gorzej niż tobie. Trudno to sobie wyobrazić, ale on jest chyba jeszcze marniejszym astronautą od ciebie.

Wadim nieoczekiwanie wykrzyknął tragicznym głosem:

- Ślepcze! O, ślepcze! Nie odchodź... ze mną też jest źle! Czy ty naprawdę jeszcze nie zrozumiałeś, kim on jest?

- Co masz na myśli?

Wadim usiadł.

- On nie ma pojęcia o lingwistyce - powiedział. - Mam nadzieję, że to zauważyłeś?

- A co ty wiesz o historii?

- Tylko mi nie tłumacz, że to mól książkowy. Znamy jednego takiego mola. Nazywa się Benin Durów. Pogadaj o nim z Tagorianami.

Anton uśmiechnął się mimo woli.

- Dobrze - powiedział. - Ale mimo wszystko spróbuj się hamować. Ja cię znoszę w dowolnych dawkach, ale na kimś nieprzyzwyczajonym możesz wyrzucić wstrząsające wrażenie. Mniej zrebięcego optymizmu, więcej taktu.

- Tak jest, kapitanie - powiedział poważnie Wadim.

Anton ominął stół i znowu się uśmiechnął: z Wadimem człowiek nie może się nudzić. W kajucie numer 3 najpierw rozłożył kanapę, a dopiero potem odsunął zasłonkę szykując się, by podchwycić padające ciało. Zamiast tego z kabiny buchnęły kłęby szarego dymu. Anton odskoczył.

- Czy to już? - rozległ się ze środka głos Saula.

Anton wytrzeszczył oczy. Saul siedział na swojej teczce i palił długą czarną fajkę. Wygadał na człowieka roztargnionego i dobrodusznego.

- Nie jest panu niedobrze? - zapytał Anton, cofnął się i usiadł na kanapie.

- Bynajmniej. Mogę już wyjść?

- Proszę bardzo - zgodził się Anton.

Saul wstał, wziął teczkę, pochylił się i wyszedł z komory.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział Anton. - Pozostaje tylko wybrać planetę i zdecydować, gdzie lądujemy.

Saul usiadł obok niego.

- Jesteśmy daleko od Ziemi? - zapytał.

- Sto pięćdziesiąt parseków. Niemal granica dla naszego „Statku”.

Wadim wrzasnął ze swojej kajuty:

- Saul! Niech pan wybierze planetę ziemskiego typu! W skafandrze się panu nie spodoba, a maska tlenowa...

Anton wstał i szczelnie zamknął drzwi.

- Wszystko mi jedno, jaka to będzie planeta - powiedział cicho Saul. - Ale, oczywiście, lepsza taka, na której można oddychać... uśmiechnął się nagle. - To bardzo ważne, żeby można było oddychać. - Anton popatrzył na niego badawczo. - Ale jeszcze ważniejsze, żeby tam nikogo nie było.

- W porządku, Saul. Znajdziemy panu planetę. To drobiazg.

Mamy na pokładzie kopułę mieszkalną na sześć osób, mamy glider, zapas jedzenia do inicjowania cyklu, porządną radiostację. Pomożemy się panu urządzić i odlecimy, dobrze?

Saul siedział z pochyloną głową.

- Tak - powiedział ochryple. - Pewnie tak będzie najlepiej.

- No to dobrze. - Anton pchnął drzwi. - Pójdę na mostek, a pan... jeśli pan chce, proszę do mnie dołączyć.

Na mostku Anton włączył pokładowy katalog i przejrzał informacje o systemie EN 7031. Nie były zbyt ciekawe. Wokół żółtego karła wirowały cztery planety i dwa pasy asteroidów. Chyba najbardziej odpowiednia byłaby druga planeta. Ziemskiego typu, znajdowała się w odległości półtoraj astronomicznej jednostki od swojego słońca. Anton posłał efemerydę na cybernawigatora.

Z mesy dobiegły głosy:

- I jak pan zniósł przejście, Saul?

- Jakie przejście? Nie zauważyłem żadnego przejścia.

- Tak też sądziłem.

- Że co?

- Że pan nie zauważy. Chce pan wziąć prysznic?

- Nie. Długo jeszcze?

- Myślę, że nie bardzo. Czuje pan? - „Statek” drgnął, a podłoga usunęła się spod nóg. - Bierze kurs. Chodźmy na mostek.

- Nie będziemy przeszkadzać?

- Oczywiście, że nie. Jesteśmy turystami. W desantowym albo rejsowym statku by nas nie wpuszczono, ale tu... Po co nosi pan tę teczkę?

- Jest dla mnie bardzo cenna.

- W takim razie niech jej pan nie stawia na pokrywie zsypu.

Anton uważnie się wpatrywał w ekran. Planeta była błękitna jak Ziemia, przykryta białą zasłoną chmur, ale zarysy kontynentów wyglądały obco - jeden duży ciągnął się wzdłuż równika, drugi, mniejszy, leżał bliżej bieguna.

- Oto pańska planeta, Saul - odezwał się i podniósł kartkę, która wypadła z otworu anteny-analizatora. - Piękna planeta. Nie ma kompresji. Doba trwa dwadzieścia osiem godzin. Grawitacja jeden i jedna dziesiąta. Szkodliwych gazów brak. Dużo tlenu. Mało dwutlenku węgla, ale to nas nie musi martwić.

Zerknął na Saula, który wpatrywał się w swoją planetę z dziwnym wyrazem twarzy. Jego kosmate brwi uniosły się wysoko; wyglądał, jakby miał się rozplakać. Anton poczuł wzruszenie.

- Słuchajcie! - odezwał się nagle Wadim. - Proponuję, żeby nazwać tę planetę na cześć Saula.

- Nadajemy ci imię Saula! - wygłosił Anton uroczyście.

Nachylił do siebie tubę dziennika pokładowego i podyktował:

- Dzień dwadzieścia pięć czterdzieści dwa, dziewięćset sześćdziesiąt siedem. Druga planeta systemu EN 7031 otrzymuje nazwę Saula, na cześć członka załogi, historyka Saula Repnina.

To wszystko nie miało absolutnie żadnego znaczenia. Planetom nadawano imiona statków i miast, ulubionych bohaterów literackich, nazwy przyrządów albo po prostu używano bezsensownych, ale dźwięcznych słów. Jeśli komuś brakowało fantazji, brał dowolną książkę, otwierał na dowolnej stronie, wybierał jakieś słowo i dowolnie je zniekształcał. Stąd planety w rodzaju Śmiechowiny, Podraki czy Brwii.

Ale Saul był niezwykle wzruszony. Mamrotał: „Dziękuję, dziękuję, panowie” i ścisnął Wadimowi rękę. To było bardzo wzruszające.

A planeta rosła na ekranie coraz bardziej. Już widać było tylko większy kontynent, rozciągnięty wzdłuż równika.

- Gdzie wylądujemy, Saul? rzucił Anton.

Saul dziabnął palcem niemal w środek kontynentu. Anton miał wrażenie, że zrobił to z zamkniętymi oczami.

- Chłopaaki - przeciągle powiedział Wadim. - A może by tak bliżej wybrzeża?

Było jasne, że ma ochotę się wykąpać w oceanach Sauli, w falach, które nie omywały jeszcze żadnego Ziemianina, może nawet żadnej istoty rozumnej.

- Jasne... może być na wybrzeżu - rzekł niepewnie Saul, patrząc na Antona. - Dla moich celów - chrząknął - wybór miejsca nie ma znaczenia.

- Cudownie! - powiedział Wadim. Usiadł w fotelu obok Antona. - Wystarczy! - oznajmił. - Kapitana tkniętego paraliżem w złym stanie odniesiono do kajuty. Barczysty, postawny drugi pilot wziął stery w swoje ręce. - Położył palce na kontaktach biosterowania i „Statek” od razu runął w dół. Kontynent na ekranie zaczął się przekręcać; ten widok powodował mdłości. Wadim wygłosił:

Wszystko drży jak liść łązniowy, Iskrzy, wyje oraz błyska, Oto przejął stery statku Strukturalny nasz lingwista.

Saul upuścił teczkę i wczepił się w ramię Antona.

- Dimka, powiedz chociaż, w co celujesz - poprosił Anton.

- Tutaj - odpowiedział mało precyzyjnie Wadim. - Gdzie błękitne fale pieszczą piasek.

Statek przechylił się na prawą burzę.

- Delikatniej - powiedział Anton. - Nie tak emocjonalnie, bo nie trafisz w kontynent.

- A może trafię?

- Hamuj! Przecież widzisz, że nas znosi!

- Ja wszystko widzę.

- No to zaraz nas rozwali - wygłosił Anton w przestrzeń.

- A może jednak nie? - dogadywał Wadim.

Ekran zmętniał. „Statek” wszedł w atmosferę. Zapłonęła i znikła tęcza na chmurach twardego powietrza. Zamigotały białe i czarne plamy.

- Włącz owiew - poradził Anton.

- Wiem...

- Spychacie z toru!

- Jeśli przejmiesz ster, przestanę być twoim przyjacielem ostrzegł Wadim.

- Wadim, niech pan rzeczywiście stara się wcelować - powiedział ostrożnie Saul.

Karuzela na ekranie skończyła się; ekran pociemniał i zgasł.

„Statek” drgnął.

- No to koniec - powiedział Wadim i przeciągnął się.

- Jak to koniec? - zapytał Saul. - Zepsuł pan?

- Wylądował - wyjaśnił Anton. - Serdecznie witamy na Sauli.

- A jednak dobry z pana pilot - zamyślił się Saul.

- Doskonały - zgodził się Anton. - Wiesz, o ile się machnąłeś, Dimka? O dwieście kilometrów.

Ale ekran zdążyłeś wyłączyć, brawo.

- Przyzwyczajenie - odparł niedbale Wadim.

Anton wstał.

- A przy okazji, co to jest łązniowy liść? - Zapytał.

- Cóż, Toszka, dokładnie nie wiadomo. Jest taki archaiczny zwrot: drzeć jak łaźniowy liść. Łaźniowy liść to takie naczynie z żarem - pokazał rękami rozmiar. - Montowało się to na dnie paleniska łaźni, a gdy dawano parę, to znaczy oblewano piec wodą rozpalony liść zaczynał wibrować.

Saul nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem. Śmiał się głośno i z przyjemnością ocierając łzy i tupiąc nogami. Nikt niczego nie zrozumiał, ale po minucie rechotali już wszyscy.

- Zabawny zwyczaj, prawda? - powiedział Wadim, krztusząc się ze śmiechu.

- Saul, z czego pan się śmieje? - zapytał Anton.

- Bo się cieszę, że przybyłem na moją planetę... - wyznał Saul.

Wadim przestał się śmiać.

- Nigdy nie byłem znawcą słowiańszczyzny - rzekł z godnością. - Moja specjalizacja to analiza strukturalna.

- Dobrze - powiedział Anton. - Chodźmy na zewnątrz.

Zeszli z mostku. Wadim wziął Saula pod rękę i mówił cały czas:

- To nie jest mój wniosek. To najbardziej rozpowszechniona hipoteza.

- Nieważne, nieważne - odpowiedział szybko Saul i spoważniał. - Pańska hipoteza jest tak daleka od prawdy, że nie mogłem się powstrzymać. Jeśli pana uraziłem, przepraszam...

- A pan co o tym sądzi?

- Nie ma takiego wyrażenia „drzeć jak łaźniowy liść” mruknął Saul. - Jest wyrażenie „drzeć jak osikowy liść” i „kleić się jak łaźniowy liść”.

- Ale „kleić się jak liść” to prymitywna metafora. Pochodzi od lepkich liści lipy. Jak może się lepić łaźniowy liść? To przecież nie jest liść rośliny. I niby dlaczego zwykle liście miałyby wpadać do łaźni? Śmieszne!

Anton otworzył membranę luku. Do statku wpadło mroźne powietrze. Saul odepchnął Wadima i krzyknął:

- Proszę poczekać! Niech mnie pan przepuści!

Anton, który już uniósł nogę nad progiem, zatrzymał się. Saul, trzymając broń nad głową, przeciskał się do przodu.

- Chce pan stanąć tu pierwszy? - zapytał Anton z uśmiechem.

- Właśnie - wymamrotał Saul. - Tak będzie lepiej.

Przecisnął się przez wąski luk i stanął, zagrządzając drogę. Anton, który szedł za nim, stuknął go głową.

- Naprzód, człowieku - powiedział.

Saul stał jak skamieniały. Z tyłu Wadim niecierpliwie stuknął Antona w plecy.

- Niech pan pozwoli nam przejść, Saul - poprosił Anton.

Historyk w końcu się odsunął i Anton wyszedł na zewnątrz.

Wokół leżał śnieg. Z góry też padał śnieg - wielkimi leniwymi płatkami. Statek stał pośród monottonnych okrągłych pagórków, ledwie widocznych na białej równinie. Spod śniegu wychylała się krótka bladozielona trawka i mnóstwo błękitnych i czerwonych kwiatków.

Dziesięć metrów od luku leżał przyprószoney śniegiem człowiek.

Rozdział 3

Wadim wyszedł ze statku ostatni i zwrócił się do Saula:

Najprościej byłoby to sprawdzić w starych słownikach Dała i Uszakowa. Ale na pokładzie...

Zauważył, że nikt go nie słucha. Saul trzymał skorczera w pogotowiu, lufą na zgiętym łokciu. Twarz miał niespokojną, oczy rozbiegane. Wadim rozejrzał się szybko i też zobaczył człowieka.

- A to dopiero - powiedział stropiony.

Anton podszedł do leżącego, Saul został na miejscu. Czy to ja go potrafiłem przy lądowaniu? - pomyślał z przerażeniem Wadim.

Aż serce ścisnęło mu się od tej myśli. Podszedł do Antona i też pochylił nad ciałem. Zerknął raz, wyprostował się i zaczął patrzeć w bok. Wokół ciągnęły się monotonne pagórki, zaśnieżone i jednakowe, niebo zasnuwały niskie chmury, a na horyzoncie można się było domyślić bladych zarysów górskich szczytów. Jakaś smętna planeta, pomyślał. Powiedział cicho:

I pola, i góry Śnieg po cichu wszystko skradł...

Od razu zrobiło się pusto.

Anton przyklęknął i ostrożnie dotknął ręki leżącego. Ręka była szczupła, biała, z cienkimi palcami, białymi jak porcelana. Długie paznokcie mieniły się złotem.

- No? - zapytał Wadim i przełknął ślinę.

Anton wstał i starannie otrzepał śnieg z kolan.

- Zamarzł. Kilka dni temu. Był bardzo wycieńczony.

- Nie ma żadnej nadziei?

Anton pokręcił głową.

- To już kamień.

- Kamień - powtórzył Wadim. - Ale jak to możliwe? Przecież to dzieciak... - Zmusił się do spojrzenia na twarz nieboszczyka. Zobacz, jaki podobny do Walerki! Pamiętasz Walerkę?

Anton położył mu rękę na ramieniu.

- Rzeczywiście podobny.

- Tak się przestraszyłem. Myślałem, że potrafiłem go przy lądowaniu.

- Nie, leży tu od kilku dni. Upadł z wyczerpania i zamarzł.

- Słuchaj, dlaczego on jest w samej koszuli?

- Nie wiem. Chodźmy na „Statek”.

Wadim nie ruszył się.

- Nie rozumiem. To znaczy, że nie jesteśmy tu pierwsi?

Obejrzał się, szukając wzrokiem Saula. Historyk zniknął.

- Anton, a może się pomyliłeś? Może jeszcze da się coś zrobić?

- Chodź już, Dimka.

- A co... z nim?

- A skąd ja mam wiedzieć? Chodźmy.

Zobaczyli Saula. Powoli schodził po zboczu wzgórza, ślizgając się na wilgotnym śniegu. Stali i czekali, aż podejdzie. Twarz miał smutną, na policzkach topniały wielkie płatki śniegu. Kolana miał ośnieżone. Podeszedł, wyjął z ust wygasłą fajkę i powiedział:

- Niedobrze, młodzi ludzie. Tam jest jeszcze czwórka. - Popatrzył na nieboszczyka. - Też rozebrani. Co macie zamiar zrobić?

- Chodźmy na „Statek” - zaproponował Anton. - Tam wszystko dokładnie omówimy.

W mesie usiedli w fotelach i przez jakiś czas milczeli. Wadim czuł dreszcze i chciał się wygadać.

- Co za planeta! - powiedział przez zęby. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Nic nie można zrozumieć. Co? Skąd? Dlaczego?

Przecież mówili, że nikogo tu wcześniej nie było. A w dodatku to chłopiec. Skąd się tu wziął taki młodzik? - Zamilkł i zamknął oczy, starając się odpędzić wizję przyprószonej śniegiem twarzy.

Anton wstał i zaczął chodzić wokół stołu z opuszczoną głową.

Saul nabił fajkę.

- Pozwolicie, że zapalę? - zapytał.

- Proszę bardzo - powiedział Anton z roztargnieniem. Zatrzymał się. - Zrobimy tak - powiedział zdecydowanie. - Mamy glider.

Weźmiemy jedzenie i ubrania, a potem przeprowadzimy poszukiwania wokół statku. Po spirali. Na wzgórzu mogą jeszcze być żywi.

W jego głosie zadźwięczały twarde, nie słyszane dotąd nuty. Wadim popatrzył na niego z ciekawością; Anton zauważył to spojrzenie.

- Widzicie, moi drodzy - dodał łagodniej - wycieczka się nie udała. Moim zdaniem te nadzwyczajne okoliczności zmuszają mnie do podjęcia dowodzenia. Zapewne będę wydawać rozkazy, a wy będziecie je wykonywać. - Spojrzał na Saula i przeprasającym gestem rozłożył ręce. - Sam pan widzi, Saul, nic na to nie poradzę...

- Tak - powiedział Saul. - Tak. Oczywiście. Jestem gotów, kapitanie. Proszę rozkazywać.

- A co, już wszystko zrozumiałeś? - zapytał Wadim.

- Potem porozmawiamy - odparł Anton. - Najpierw trzeba wyhodować glider. Chodź, Wadim.

Saul odłożył fajkę i również wstał, poprawiając na ramieniu pas skorczera.

- Dziękuję, Saul, poradzimy sobie - rzekł Anton.

- Chciałbym pójść z wami - poprosił Saul. - Nie będę przeszkadzał, kapitanie.

Wynieśli jajo i położyli na szczycie wzgórza nieopodal. Śnieg był teraz gęściejszy, śnieżynki łaskotały w policzki i Wadim rozdrażniony rozmazywał je po twarzy. Wiał wiatr; było im zimno, gdy tak stali i patrzyli, jak Anton niespiesznie, bardzo starannie mocuje aktywatory na gładkiej powierzchni mechanozarodnika. Wiatr parzył gołe ręce i nogi, a Wadim nagle pomyślał, że może gdzieś za wzgórzami idą teraz, zapadając się w zaspy, bosi ludzie w długich szarych koszulach.

Anton wyprostował się i pochuchał na czerwone ręce.

- Chyba już dobrze - powiedział. - Sprawdź, Dima.

Wadim obejrzał ustawienie aktyuatorów. Wszystko było w porządku. Poszli z powrotem do „Statku”. Saul, który przez cały czas trzymał się z tyłu, teraz też szedł ostatni. Statek już gromadził energię; czarny korpus wznosił się na białym śniegu, wygięty wierzchołek podążał za niewidoczną EN 7031. Po drodze Wadim zerwał kilka kwiatków. Zrobiło mu się ich żal - były takie żalosne i blade.

I żywych, i martwych Śnieg po cichu wszystko skradł...

Od razu zrobiło się pusto.

Śnieg walił coraz grubszy i gęściejszy. Gdy podeszli do statku, Saul powiedział:

- Niedługo wszystko zasypie. Dobrze byłoby zrobić sekcję.

- Po co? - Zapytał Anton. - On jest beznadziejnie martwy.

- Otóż to. Trzeba się dowiedzieć, dlaczego umarł.

- Wszyscy zamazali - powiedział Anton. - Niepotrzebna żadna sekcja.

- Wydawało mi się... - zaczął Saul, ale zaraz zamilkł i wszedł do luku.

W mesie Anton wyjaśnił:

- Proszę zrozumieć, nie jestem właściwie lekarzem. Ja... ja nie chcę tego robić.

- Rozumiem.

- Wadim - polecił Anton. - Spakuj jedzenie. Wszystkie zapasy. Saul, mówił pan, że umie pan szyć. Trzeba dopasować kombinezony. Ja spakuję lekarstwa.

Kombinezony nie miały konkretnego rozmiaru, ale różnica pomiędzy Antonem i Saulem była zbyt duża. Kombinezon dla Antona trzeba było zwięzić, dla Saula rozciągnąć. Od razu stało się jasne, że Saul nie ma pojęcia o szyciu. Stropiony obracał w ręku ultradźwiękową nasadkę, miał i wyglądał kombinezony, z zakłopotaniem patrzył na Antona. Najwidoczniej historycy, siedząc w swoich zacisznych gabinetach, nie mieli pojęcia o takich prostych rzeczach.

Interesowało ich głównie to, jak robiło się kiedyś różne rzeczy. Wadim musiał wziąć od Saula nasadkę i pokazać, jak robi się to teraz.

Ku jego zdumieniu historyk okazał się pojętnym uczniem i niebawem każdy zajmował się swoim zadaniem.

Saul, nie podnosząc głowy znad roboty, zapytał:

- Dlaczego pan myśli, kapitanie, że ktoś przeżył?

- Nie myślę - odrzekł Anton. - Mam nadzieję.

Wadim skończył pakowanie worka, zapiął go i usiadł przy stole.

- Tamci czterej też byli młodzi? - zapytał.

- Tak - odparł Saul. - Chłopcy. Prawie nastolatki. Młodszy od was.

- Pięć lat temu - zaczął Wadim - chcieliśmy z kolegami wziąć statek i polecieć na Tagorę. Oczywiście nam nie pozwolili... Ale może tym się udało?

- Nie bardzo wiem jak - powiedział Anton. - Statek może dostać tylko pilot ze stażem. A jaki oni mogli mieć staż? To dzieciaki! Nic z tego nie rozumiem. Pomalowane na złoto paznokcie, jakieś przedziwne koszule na gołym ciele... A przede wszystkim, jak się tu znaleźli?

- To mogło być całkiem proste - wyjaśnił Wadim. - Ktoś miał zamiar lecieć i zostawił statek przed domem. Zakradli się nocą i wystartowali. Bawili się w Rumatę-poszukiwacza. Wylądowali, wyszli i zabłądzili. Przyszedł mróz i koniec.

- To jest absolutnie niemożliwe - odparł chłodno Anton. - Nawet gdyby coś takiego się zdarzyło, wiedziałbym o tym. Zginęli kilka dni temu. Na Ziemi już dawno ogłoszono by globalne poszukiwania.

- A jeśli byli tu z jakimiś dorosłymi?

Anton zamilkł.

- W takim razie poszukajmy dorosłych - powiedział w końcu.

- Jedno mnie zastanawia - powiedział Wadim. - Te dziwaczne koszule...

- To nie koszule - odezwał się nieoczekiwanie Saul.

Anton i Wadim odwrócili się do niego.

- To worki. Worki z dziurami na głowę i ręce. Grube jutowe worki. Teraz już takich nie ma. - Uśmiechnął się niewesoło. - Widzi pan, Wadimie, chłopcom łatwiej byłoby zdobyć skorczer czy batysferę niż jeden taki worek. Czegoś takiego używano bardzo dawno temu. I bardzo mi się nie podoba, że zamiast ubrania mają na sobie worki.

Wadimowi na chwilę przestało bić serce. To wszystko było dziwne i straszne - te worki jutowe, które były w użyciu bardzo dawno temu. Przejęło go uczucie zagrożenia. To tak, jakby na twoich oczach człowiek nagle zaczął się błyskawicznie starzeć i przemienił w bezsilnego, pomarszczonego starca. Wadim potrząsnął głową i wrażenie znikło. Saul rozłożył kombinezon w wyciągniętych rękach i obejrzał.

- Nie zgadzam się z wami - ciągnął. - Myślę, że to są tutejsi mieszkańcy. Nie wiem, czy mnie zrozumiecie, ale... w czasach jutowych worków działy się straszne rzeczy. Wydaje mi się, że tych młodzieńców rozebrano do naga i porzucono na tym pustkowiu. Niech pan przymierzy, Anton.

Anton wziął kombinezon.

- Czyli pańskim zdaniem na Sauli istnieje cywilizacja? - zapytał niepewnie. - I mamy tu okres jutowych worków?

- Skąd mogę to wiedzieć, kapitanie? Mówię tylko, co widzę.

Widzę jutowe worki, a wiem, że jutowych worków w naszych czasach na Ziemi nie ma. A zatem to nie są Ziemianie. Może ich ograbiono? A może to pielgrzymi? Fanatycy? Szli, by pokłonić się świętym relikwiom, tak jak ślubowali, w workach, zabłądzili, rozpełtała się zamieć... zresztą sam nie wiem.

Do Wadima to nie docierało. Wszystkie te słowa - pielgrzym, relikwie, ślubowanie... Wiedział, że były związane z obrządkami religijnymi, ale nie niosły żadnej realnej treści. Przelotnie pomyślał, że Saul jest prawdziwym specjalistą. Ale nie to nim wstrząsnęło.

- Przepraszam - powiedział - jaka cywilizacja? Wyszliśmy ze statku i tak przy okazji odkryliśmy nieznaną cywilizację? Nie wierzę - oznajmił.

- Przy okazji - powiedział Anton w zadumie. - Czy rzeczywiście przy okazji? EN 7031 figuruje w planie badań...

- Tak, mówiłeś o tym. Ekspedycja się nie odbyła.

- To prawda. A tymczasem EN 7031 znajduje się w spisie gwiazd, leżących na hipotetycznej drodze Wędrowców.

- Nigdy nie słyszałem o takiej liście - zdziwił się Wadim.

- Cóż, ona jednak istnieje. Lista Gorbowskiego-Badera. Czyli mieliśmy szansę znalezienia cywilizacji. I może Saul ma rację, że to miejscowe dzieciaki. A czy mają jakiś związek z Wędrowcami, to już inna sprawa...

Wadim opierał się łokciami o stół, obejmując głowę rękami.

Cywilizacja! Może i tak, pomyślał; może to ofiary napadu. Ale przecież to bzdura, żeby zdrowi, szesnastoletni chłopcy pozwolili się rozebrać do naga nie stawiając oporu i pokornie zamazli. Przecież nie byli fanatykami! Wyobrażał sobie fanatyka jako wycieńczonego łysego starca z obłąkanymi oczami i ogromnym zardzewiałym łańcuchem przerzuconym przez ramię. Nie, pomyślał. To nie mogli być fanatycy! Może to właśnie Wędrowcy? W jutowych workach? Przypomniał sobie gigantyczne budowle pozostawione przez Wędrowców na Władysławie, i poczuł smutek. Taki smutek ogarniał go za każdym razem, gdy miał przed sobą zadanie ponad siły.

- Jak tam glider, Anton? - zapytał.

Anton zerknął na zegarek.

- Już czas - powiedział. - Chodźmy. Ubierzcie się i każdy niech weźmie jeden worek.

- Pozwolę sobie jednak zapytać, czego właściwie będziemy szukać? - odezwał się Saul.

Wadim odniósł wrażenie, że Anton się waha.

- Będziemy szukać tych, którzy przeżyli klęskę.

Saul zapiął kombinezon.

- A jeśli nikt więcej nie jest zagrożony? Mam na myśli wariant z rabusiami.

- Przy tym wariacie nie krępowałbym się specjalnie - wymamrotał Wadim.

- Przy każdym innym wariacie - powiedział bardzo wyraźnie Anton. - Proszę nie robić nic bez mojego wyraźnego rozkazu.

Podszedł do drzwi.

- Nie bierze pan broni? - zapytał Saul.

- Broń nie będzie nam potrzebna - odparł Anton.

- Wystarczy tu trupów - dodał Wadim.

Wyszli ze statku i od razu zapadli się w głęboki śnieg. Glider był ledwie widoczny zza białej zasłony. Był to glider anty grawitacyjny typu Pasikonik, pewna, sześćoosobowa maszyna, bardzo popularna wśród desantowców i tropicieli. Stał na brzegu ogromnej jamy, z której unosiła się gęsta para; gładkie burty były jeszcze ciepłe, a w kabinie panował wręcz upał.

Zwalili worki do bagażnika i weszli pod gładką, przezroczystą kopułę maszyny.

- Do licha! - zawołał nieoczekiwanie Anton. - Dimka, przepraszam. Przecież do tłumaczenia na pewno będzie ci potrzebny analizator.

- Do jakiego tłumaczenia? - zapytał Saul.

Wadim potarł podbródek.

- Analizator to jedno - powiedział powoli - ale bez mnemokryształów w pierwszym rzucie się nie obejdzicie. Ktoś będzie musiał wrócić na statek.

- O rany - westchnął Anton i wyszedł z glidera. - Ile potrzebujesz?

- Wystarczy jedna para. Tylko weź z przysawkami, żeby nie trzymać w ręku.

Anton pobiegł przez śnieg w stronę statku.

- O co tu chodzi? - zapytał Saul.

- Przecież trzeba będzie się jakoś porozumiewać z ludźmi, jeśli kogoś znajdziemy - odparł Wadim.

Włączył silnik, łagodnie podniósł glider i znowu opuścił.

- I pan o tym tak lekko mówi? - machnął ręką Saul.

Wadim popatrzył na niego ze zdumieniem. - A jak mam mówić?

- No tak, oczywiście - wycofał się Saul.

Dziwny z niego człowiek, pomyślał Wadim. Czy rzeczywiście całe życie przesiedział w swoim gabinecie słuchając Mendelssohna?

- Saul - odezwał się w końcu. - Dzięki pracom Sugimoto kontakt z humanoidami jest kwestią czysto techniczną. Nie pamięta pan, jak Sugimoto dogadał się z Tagorianami? To było wielkie zwycięstwo, dużo się o tym pisało i mówiło...

- No pewnie! - ucieszył się Saul. - Jak można o czymś takim zapomnieć! Ale myślałem, że... eee... że do tego zdolny jest jedynie Sugimoto.

- Nie - odparł Wadim z pogardą. - Może to zrobić dowolny lingwista strukturalny.

Wrócił Anton, wsunął Wadimowi w rękę pudełko z kryształami i usiadł w swoim fotelu.

- Naprzód - powiedział i popatrzył na Saula. - Co się tu u was stało?

- O co ci chodzi?

- Wydawało mi się... zresztą nieważne. Naprzód.

- Wiesz co - powiedział w zadumie Wadim, patrząc na ledwie widoczny śnieżny wzgórek obok „Statku” -jakoś nieładnie tak ich zostawiać. Może najpierw ich pochowamy?

- Nie - powiedział Anton. - Szczerze mówiąc, nawet nie mamy do tego prawa.

To nie nasi zmarli i nie możemy ich chować według naszych zwyczajów, zrozumiał Wadim. Ujął kierownicę i uruchomił silnik.

Glider płynnie wzbił się ponad zasy i skoczył w białą mgłę.

Wadim siedział jak zwykle przygarbiony i lekko ruszał kierownicą, sprawdzając stabilność. Zewsząd leciał śnieg. Wadim widział go jak białą gwiazdę o tysiącu ogonów, której środek powoli płynął przed jego oczami. Włączył lokatory poszukiwawcze.

- Co to za ekrany? - zapytał Saul z tyłu.

- Po pierwsze, nic nie widzę, po drugie, mógł ich przysypać śnieg - wyjaśnił Wadim.

- Dziękuję - powiedział Saul. - Zrozumiałem.

Glider wyskoczył z zamieci. Leciał teraz nad zaśnieżoną pagórkowatą doliną. Wadim powoli zwiększał prędkość, silnik świstał, okrągłe wierzchołki pagórków przemykały pod dnem glidera. Niebo było zupełnie białe, niewysoko nad horyzontem ścieliła się oślepiająca plama EN 7031, a na północy wyraźnie było widać zarysy skalistych gór. Plama słońca powoli przesuwiała się w prawo i do tyłu: glider szedł po dziesięciokilometrowym łuku wokół statku.

Z przodu, z prawej i lewej strony były tylko wzgórza, wzgórza, wzgórza. Anton powiedział nagle:

- Patrzcie, stado!

Wadim przyhamował i zawrócił. Glider zawisł nieruchomo.

W wąwozie pomiędzy wzgórzami szybko przemieszczała się grupa niedużych czworonogów, przypominających pozbawione rogów jelenie. Biegły, zapadając się w śniegu i odrzucając do tyłu głowy.

Cienkie nogi grzęzły w zaspach; zwierzęta padały, wygrzebywały się, wzbijając chmury śnieżnego pyłu, znowu się zrywały, znowu biegły, wyginając się przy każdym skoku. Za nimi zostawała bruzda zrytego śniegu. Po tej bruździe, nisko pochylając długie wyciągnięte szyje, mknęły na wysokich nogach wielkie ptaki, przypominające strusie. Tylko dzioby miały inne - potężne, garbate, z zagiętym do dołu straszliwym ostrzem.

Wadim spikował i poleciał wzdłuż wąwozu. Stado przebiegło pod gliderem, nawet go nie zauważając, a ptaki - było ich trzy - od razu się zatrzymały, przysiadły na ugiętych nogach i zadarły do góry głowy z rozdziawionymi dziobami. Ale fajnie, pomyślał przelotnie Wadim, jakie by tu mogło być polowanie! Znowu uniósł glider i przestawił na tryb skokowy. Bardzo blisko, omal nie rysując pokrywy, kłapnęły potworne dzioby i od razu znikły. Teraz glider mknął dwukilometrowymi susami, wzlatając pod niskie niebo. Za każdym razem otwierał się widok na równinę w dole; w promieniu dziesiątków kilometrów ciągnęła się bezkresna śnieżna pustynia.

- Niedobrze - wymamrotał Saul.

- Dlaczego?

- Ptaki...

Też mi cywilizacja, pomyślał Wadim. Nie zorganizowali poszukiwań, pozwolili chłopcom odejść nago i bez broni. Tutaj pewnie nie można zrobić nawet kroku bez broni. A chłopcy na pewno byli odważni...

Glider zamknął dziesięciokilometrowy odcinek spirali i zaczął drugi o promieniu dwudziestu kilometrów. W tym samym momencie odezwał się Anton:

- Pewnie są jakieś trzydzieści stopni stąd, w prawo po kursie!

Na brzegu doliny pod szaroniebieskim masywem górskim widać było niewyraźne ciemne plamy.

- Wygląda na dużą miejscowość - powiedział Saul. - Nie macie lornetki?

Spektrolit pokrywy rozrzedzał śnieżną zamieć i Wadim przez okulary dostrzegł zarysy budynków, zębatych ścian i kopuł.

- Miasto - powiedział. - Co robimy?

- Miasto? - zdumiał się Saul. - Ciekawe. Jak daleko?

- Piętnaście kilometrów.

- A zatem od miasta do „Statku” jest trzydzieści kilometrów.

Przy pewnej wytrzymałości można pokonać tę odległość nawet boso.

Wadim wzdrygnął się.

- W życiu bym nie spróbował - mruknął.

Glider, lekko podrygując pod porywami wiatru, wisiał dwadzieścia kilometrów nad ziemią. Wszystko tu jest bez sensu urządzone, pomyślał Wadim. Gdzie są patrole poszukiwawcze? Gdzie glidery i helikoptery z ochotnikami? Ludzie zamierzli blisko miasta, a w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie ma żywej duszy. Tylko ptaki, które akurat nie mają tu nic do roboty. Trzeba było je wybić sto lat temu, zamiast trzymać sobie pod bokiem skansen drapieżników. I na co czeka Anton? Czy nie powinniśmy zjawić się w tym mieście, żeby nakierować mieszkańców na słuszną drogę? Formalności pierwszego kontaktu można by w takim wypadku spokojnie pominąć.

Popatrzył na przyjaciela.

Anton siedział, wyprostowany, mrużąc oczy i zaciskając usta.

Taką minę miał zawsze, gdy rozwiązywał w myśli zdanie nawigacyjne.

- I co, kapitanie?

Na twarz Antona wrócił normalny wyraz.

- Szczerze mówiąc - powiedział - powinniśmy natychmiast wrócić na „Statek”. Ale polecimy do przodu. Zatrzymaj się na obrzeżach miasta i trzymaj wysokość.

Glider pokonał odległość trzema skokami; już pod koniec ostatniego Wadim zrozumiał, że nie mają przed sobą miasta. W każdym razie teraz już wiedział, dlaczego nikt nie martwił się losem zaginionych chłopców.

- Doszło tu do potężnego wybuchu - odezwał się za jego plecami Saul.

Glider zawisł nad brzegiem gigantycznego leja, przypominającego gardziel czynnego wulkanu. Lej miał szerokość pół kilometra i był po brzegi wypełniony niebieskim dymem, który snuł się leniwie i układał w warstwy. Musiał być znacznie cięższy od powietrza, bo nawet jedna strużka nie uniosła się nad lejem. Z boku wydawało się, że to nie dym, tylko płyn. Do brzegów leja przytulały się zasypane śniegiem ruiny. Z zasp sterczały resztki kolorowych ścian, przekrzywione wieże, poskręcane metalowe konstrukcje, roztrzaskane kopuły.

Wadim oszołomiony patrzył w dół.

- No, znajoma sprawa... - mruczał Saul. - Bombardowanie... wybuch magazynów amunicji... i to całkiem niedawno, dym się jeszcze nie rozwiął, tam się coś pali...

Wadim pokręcił głową.

- W takim mieście nie sposób żyć. Widocznie ludzie rozbiegli się, gdzie kto mógł. Zdumiewające, że znaleźliśmy tylko pięciu.

- Pozostali są tam - rzekł Saul, patrząc w lej.

- To nie cywilizacja, tylko skandal - warknął Wadim. - Co za koszmarna lekkomyślność. Kto mógł robić takie doświadczenia w mieście? Trzeba być ostatnim...

- Popatrz, tam idą jakieś maszyny - zauważył półgłosem Anton.

Od północy w stronę leja biegł wąski, stąd ledwie widoczny pas drogi. Po niej niespiesznie pełzły ciemne punkty. Aha, pomyślał Wadim, to znaczy, że jeszcze nie wszystko stracone. Odwrócił glider i przeciął lej. Zobaczyli gładką szosę, prowadzącą prosto w dym, a na niej niekończącą się kolumnę maszyn, zajmującą całą drogę.

Zwartym szeregiem podążały z północy płaskie zielone pojazdy, przypominające pasażerskie atomocary, ale bez przedniej szyby, nieduże biało-niebieskie maszyny, ciągnące za sobą długi ogon pustych, odsłoniętych platform, pomarańczowe kolosy przypominające połowe syntezatory, ogromne czarne wieże na gąsienicach i małe konstrukcje z szeroko rozstawionymi skrzydłami. Sunęły rząd za rzędem, w absolutnym porządku, ze zdumiewającą precyzją zachowując przerwy i odległości, i rząd za rzędem niknęły w szarawym dymie leja.

- To tylko automaty - powiedział Wadim.

- Tak - przyznał Anton.

- To znaczy, że ktoś je wysyła, najprawdopodobniej na prace remontowe. Znajdziemy ludzi na drugim końcu szosy... - Wadim urwał. - Saul - zaczął znów - czy były takie maszyny w epoce jutowych worków?

Saul nie odpowiedział. Jak zaczarowany patrzył w dół, a na jego twarzy malował się zachwyt i szacunek. Podniósł na Wadima wytrzeszczone oczy pod kosmatymi brwiami.

- Co za technika! - zawołał. - Jaki równiutki pochód! I to na taką skałę! Nie ma im końca!

Wadim zdumiał się i też spojrział w dół.

- O co chodzi? - zapytał. - A! Że ich tak dużo? Tak, skala niesamowita. Do odbudowy miasta wystarczyłoby dziesięciu cyberów.

Popatrzył na Saula, który zamrugał nerwowo.

- A mnie się to podoba - powiedział. - Przecież to piękne. Czy pan nie widzi, jakie to piękne?

- Wadim - włączył się Anton - jedziemy wzdłuż szosy. Jeśli mamy się czegoś dowiedzieć, to szybko.

Wadim uruchomił glider. Strumień maszyn zlał się w kolorowy pas.

- O, teraz to dopiero pięknie wygląda - ucieszył się Wadim. Ale nie odpowiedział mi pan, Saul. Czy jutowe worki mogą współistnieć z podobną techniką?

- A dlaczego nie? Ze zniszczonych miast ludzie uciekali zupełnie bez niczego. Dlaczego się pan uczeplił tych worków, jutowe worki istniały przez kilka wieków. Tania i wygodna rzecz. Można było w nich na przykład nosić drwa.

- Jakie drwa?

- Drewniane. Do palenia w łaźni.

Wadim przypomniał sobie łaźniowy liść i zamilkł, patrząc przed siebie. Ani końca szosy, ani końca kolumny maszyn nie było widać.

Po obu stronach drogi aż po horyzont biegła śnieżna równina. Wadim przyspieszył. Co za głupie przedsięwzięcie, myślał. Wpadają w dym jak w przepaść. Spróbował ocenić głębokość leja i określić liczbę spadających do niego maszyn, ale uzyskał dziwne wyniki.

Zresztą nie jestem inżynierem, pomyślał. Przeciętny humanoid z Tagory - oni tam wszyscy są inżynierami - stwierdziłby, że szosa to po prostu bardzo długi taśmociąg, a na nim detale średnich wielkości maszyn, które składa się pod ziemią. A nieskomplikowany bukoliczny Leonidowiec byłby przekonany, że to stada zwierząt przeganianych z pastwiska do rzeźni.

- Anton - zawołał. - Wyobrażasz sobie Leonidowca na naszym miejscu?

- Głupi Leonidowiec powiedziałby, że wszystko jest jasne odpowiedział Anton. - A mądry, że jest za mało danych.

Właśnie, za mało danych. Wszystkie maszyny idą na południe, żadna nie wraca. Jeśli rzeczywiście mają zamiar odbudować miasto, to odbudowują je ze swoich własnych części. Właściwie, dlaczego nie?

- Trzeba przyznać, Wadim - odezwał się nagle Saul - że to robi niesamowite wrażenie. Ile już przelecieliśmy? Czterdzieści kilometrów? A one ciągle idą i idą.

- Lepiej by zastosowali tę technikę, żeby poszukać tych, którzy uciekli - powiedział Wadim.

- Niech pan tak nie mówi - sprzeciwił się Saul. - W takim wypadku nie myśli się pojedynczych ludziach.

- Jak to, nie myśli się o ludziach? Więc dla kogo odbudowują miasto? Tamtym chłopcom miasto już niepotrzebne...

Saul machnął pogardliwie ręką.

- W czasie wybuchu zginęło z dziesięć tysięcy takich chłopców. To straszne, oczywiście, ale są ważniejsze sprawy.

Wadim wściekł się, aż glider skoczył w bok.

- Saul, przepraszam, ale pański przytulny gabinet i studiowanie historii dziwnie na pana wpłynęło. Mówi pan... sam już nie wiem.

Zaraz mi pan powie, że cel uświęca środki.

- Zdarza się - zgodził się Saul chłodno. - Czasami uświęca.

Wadim postanowił nie reagować. Relikt gabinetowy, pomyślał.

Ale jakby go zostawić bez spodni w śniegu, byłby strasznie urażony, że cała technika planety nie spieszy mu na ratunek.

Ostro zahamował, bo zobaczył osiedle.

Znajdowało się na wschód od szosy i ginęło pomiędzy wzgórzami.

- To pierwsza droga w bok - oznajmił Wadim. - Skręcamy?

- Chyba nie warto - powiedział Saul. - Co tam może być interesującego?

Anton wahał się. Dlaczego on się tak guzdrze, pomyślał z rozdrażnieniem Wadim. Jakby podmienili człowieka.

- No to jak? - zapytał. - Jestem za tym, żeby ruszyć dalej wzdłuż szosy.

- Ja też - powiedział Saul. - Wrócić zawsze zdążymy. Prawda, Wadim?

- Dobrze, leć prosto - rzekł niezdecydowanie Anton. - Leć prosto. Chociaż biorąc pod uwagę... no dobrze, leć prosto.

Wadim znowu poprowadził glider wzdłuż szosy.

- Co z tobą, Toszka? - zapytał. - Zastanawiasz się, jak rycerz na rozdrożu: pójdziesz na prawo, stracisz glider, pójdziesz na lewo, stracisz głowę...

- Patrz przed siebie - polecił spokojnie Anton.

Wadim wzruszył ramionami i demonstracyjnie wbił wzrok w przestrzeń. Pięć minut później zobaczył przed sobą szarą plamę.

- Znowu jama z dymem - stwierdził.

To był dokładnie taki sam lej. Brzegi przyprószone śniegiem, w środku kołysał się ciężko ten sam niebieskawy dym, z którego nieprzerwanym strumieniem wychodziły maszyny.

- Właśnie czegoś podobnego się spodziewałem - powiedział Anton.

- Ale tu przecież nie ma ludzi - powiedział stropiony Wadim. Znowu się niczego nie dowiemy.

Poraziła go dziwna myśl. Zerknął na kompas, nachylił się do wizjera. Nie zauważył wokół ruin. To był inny lej.

- Wstrząsające - powiedział Saul. - Wchodzą w dym, a potem z dymu wyłażą.

- Wracajmy - zniecierpliwził się Wadim. Popatrzył na Antona, ale na twarzy przyjaciela było ciągle to samo denerwujące niezdecydowanie.

- Przepraszam bardzo - powiedział Saul - ale nie można przejść obojętnie obok tak zdumiewającego fenomenu!...

- Też mi fenomen! - wykrzyknął Wadim. - Czym pan się tak zachwyca? Jakiś stuknięty inżynier przerzuca maszyny przez podprzestrzeń... też znalazł sobie miejsce! W dodatku zburzył miasto, drań. A ty co się tak zastanawiasz, Anton?

- Coś się tu głośno zrobiło - powiedział Anton, patrząc w bok.

- No dobra, o co chodzi? Interesują cię miejscowe procesy produkcyjne?

- Ależ nie - zdziwił się Anton. - Co mnie one obchodzą?

Wadim odwrócił się razem z fotelem i oparł ręce na kolanach.

Przenosił wzrok z Antona na Saula i odwrotnie. Anton wyglądał tak, jakby miał zamiar zasnąć. Nawet złożył ręce na brzuchu i złączył palce. A Saul spoglądał na Wadima z wyrazem zdumionego zaskoczenia i zachwyty. Miał uchylone usta.

- O co chodzi? - zapytał Wadim. - Coście tu obaj wywęszyli?

Saul otrząsnął się.

- No tak, oczywiście! - wykrzyknął. - Że też od razu nie pomyślałem. Wszystko jasne: mamy dwie dziury w odległości osiemdziesięciu kilometrów. Z jednej dziury wychodzą maszyny, suną po

wspaniałej autostradzie i bez żadnego widocznego powodu wchodzą do drugiej dziury. Stamtąd podziemnym tunelem wracają do pierwszej...

Wadim ciężko westchnął.- Nie wracają do pierwszej - powiedział. - To zerowy transport, rozumie pan? - Po każdym słowie Saul z zapałem kiwał głową. - Elementarny zerowy transport. Ktoś wykorzystuje to miejsce, żeby przepchnąć technikę na ogromne odległości najkrótszą drogą.

Może na tysiące kilometrów. A może na tysiące parseków. Naprawdę pan tego nie rozumie?

- Ależ rozumiem! - wykrzyknął Saul, choć minę miał nieco oszołomioną. - Co w tym niezrozumiałego? Typowy zerowy transport...

- No właśnie - powiedział Wadim. - I nic nas to nie obchodzi.

Trzeba szukać ludzi!

- Dobrze - odezwał się Anton. - Będziemy szukać ludzi. Zawracaj do osiedla.

Wadim poleciał nad szosą z powrotem.

- Anton, czy ty się czasem źle nie czujesz? - zapytał po chwili milczenia.

- Czuję - odrzekł Anton. - Nie zapomnij tego potwierdzić, gdy cię zapytają...

- Kto znowu?

- Będą tacy, co się tym zainteresują...

Wadim więcej nie pytał; doszedł do wniosku, że to nie ma sensu. Popatrzył na maszyny, następnie na prędkościomierz.

- Prymitywne automaty - wymamrotał - stała prędkość, stałe odstępki... czy warto było z ich powodu zwinąć przestrzeń?...

Pojawiło się osiedle.

- Jak lecieć? - zapytał Wadim. - Nad osiedlem czy ściąć?

- Nad osiedlem - zdecydował Anton. - I zejść jak najniżej.

Wadim z przyjemnością zniżył się niemal nad samą ziemię i poszedł prosto nad drogą - bardzo lubił ostrą jazdę z gwałtownymi zakrętami. Z boku, skacząc na nierównościach, leciał po śniegu okrągły cień glidera.

- No proszę, znowu ptaki - powiedział Saul gniewnie.

Tuż przy drodze dreptało kilka dziobatych potworów. Rozgrzebywały szponiastymi łapami zaspy, grzebały w zrytym śniegu. Gdy glider się przybliżył, od razu przysiadły na łapach, odchylając szyje i otwierając czarne dzioby. Z dziobów zwisały jakieś szmaty.

- Co za ohydne stworzenia! - otrząsnął się Saul. Przechylił się przez siedzenie i zerknął do tyłu. - Co one tam wykopują?

Wadim nagle zrozumiał, co to takiego, ale to było niemal zbyt straszne do uwierzenia.- Szkoda, że pan nie widział tachorgów, Saul powiedział z wymuszoną wesołością. - W porównaniu z tachorgami to po prostu kurczaki. Trzeba by ustrzelić jednego, co, Anton?

- Można - zgodził się Anton.

Saul wyprostował się.

- Nie podoba mi się to, co one wykopują.

Nikt nie odpowiedział. W milczeniu lecieli jeszcze dziesięć minut. W osiedlu śnieg miał dziwny brązowy kolor. Widać było na nim odciski gąsienic i kół, a z lewej i prawej strony po śnieżnym ugorze ciągnęły się łańcuszki śladów ludzkich stóp. Okrągłe wzgórza po bokach były puste. Gdzieniedzie z zasp sterczały uschnięte gałęzie i czarne krzywe korzenie, przypominające wykręcone ręce.

- Jeszcze jeden - odezwał się Saul.

Na szczycie wzgórza stał ptak. Zauważył glider i szybko runął w dół, żeby przeciąć mu drogę. Mknął, zadzierając wysoko nogi; rozcapierzał małe skrzydła i wyciągał żylastą szyję, tak że niemal sunął dziobem po śniegu. Małe płonące oko było wycelowane prosto w glider.

- Nie zdąży - powiedział z żalem Wadim.

Ale ku radości lingwisty ptak zdążył. Glider aż drgnął. W powietrzu mignęła szponiasta łapa. Anton i Saul natychmiast się odwrócili.

- Jeszcze się turla! - oznajmił Saul. - Wyjątkowo obrzydliwe stworzenie... a niech mnie! - wykrzyknął zdumiony.

Wadim natychmiast włączył ekran wsteczny. Nastroszony ptak stał już na nogach i lekko tylko kulejąc, pędził za gliderem. Wyglądał na wściekłego. Wkrótce został z tyłu i znikł za zakrętem.

- Jeśli spotkamy jakichś ludzi - powiedział Wadim - zaproponuję, że wybijemy to ohydztwo na całej równinie. Skoro im nie starcza sił... Jak sądzisz, Toszka?

- Zobaczymy - odparł Anton.

Rozdział 4

Pagórki stały się niższe i nagle przed nimi pojawił się wysoki śnieżny wał. Anton od razu zauważył maleńkie czarne figurki, rojące się na jego grzbiecie. Oho, zaczyna się, pomyślał, a głośno powiedział:

- Zatrzymaj.

- Po co? - sprzeciwił się Wadim.

- Nie widzisz, że tam są ludzie?

- Zatrzymaj, mówię!

- Ładne rzeczy - powiedział z niezadowoleniem Wadim, ale zatrzymał.

Zaraz się odwróci i popatrzy na mnie z niechęcią, pomyślał Anton. Trudna sprawa...

Było mu ciężko. Szansa zetknięcia się z obcą cywilizacją była znikoma, ale realna, i każdy astronauta znał instrukcję Komisji do Spraw Kontaktów, zabraniającej samodzielnych kontaktów z nieznanymi cywilizacjami. Ale teraz głupio byłoby się wycofać. Trzeba było opuścić Saulę od razu, gdy zobaczyliśmy trupy, pomyślał. No, właśnie.

Tylko że nikt by tego nie zrobił. A przecież instrukcja uwzględnia właśnie taką okoliczność - gdy w twojej załodze jeden płonie żądzą działania, drugi w ogóle nie wiadomo, czego chce, a ty jesteś rozdzierany sprzecznościami. Przecież niemal na pewno gdzieś są tysiące ofiar katastrofy. Ot, choćby te ludziki, bezmyślnie chodzące po wzgórzu... Dimka patrzy na mnie z niezadowoleniem, a Saul z dziwną ciekawością. Historyk ze skorcererem. Właśnie, żeby tylko nie zapomnieć o skorcererze.

A instrukcja naprawdę jest rozsądna i prosta: „Żadnych własnych kontaktów z tubylcami”... Wyszedłeś, rozejrzałeś się, zauważyłeś ślady cywilizacji i musisz „bezwzględnie natychmiast opuścić planetę, starannie likwidując wszelkie ślady swojego pobytu”. A tam wielka jama po gliderze i obok pięć trupów...

- No, co jest? - zapytał Wadim. - Przyptyw melancholii?

Jasne, strukturalni lingwiści i historycy nie mają pojęcia o instrukcji. A kiedy zacznę im wyjaśniać, odbiorą to jako osobistą obrazę: „Nie jesteśmy dziećmi, dobrze wiemy, co jest dobre, a co złe!” Anton zobaczył, że glider powoli pełźnie w kierunku wału i zdecydował się.

- Podleć na grzbiet - powiedział - i wyląduj jak najdalej od ludzi. Tylko, bardzo was proszę o jedno: nie urządźcie pokazowego bratania się cywilizacji.

- Nie jesteśmy dziećmi - oznajmił z godnością Wadim, zmniejszając prędkość.

Glider wzleciał nad grzbiet wału. Wadim odchylił pokrywę, wysunął się i gwizdnął ze zdumienia. Za wałem widać było ogromny wykop, wypełniony ludźmi i maszynami. Ale Anton nie patrzył w dół.

Z przerażeniem obserwował zgarbionego, sinego z zimna człowieka w porwanym jutowym worku, który powoli, z trudem przestawiając nogi, szedł prosto na glider. Jego twarz była upstrzona wrzodami, gołe ręce i nogi miał spierzchnięte, a pozlepiane, brudne włosy sterczały na wszystkie

strony. Człowiek przesunął po gliderze obojętnym wzrokiem, ominął go i poszedł dalej grzbietem. Stąpając, żałośnie jęczał. To przecież nie człowiek, pomyślał Anton, to tylko przypomina człowieka...

- Boże drogi! - wykrzyknął ochryple Saul. - Co oni tam robią!

Wtedy dopiero Anton popatrzył w dół. Na dnie wykopu, na brudnym zdeptanym śniegu, wśród dziesiątków różnorodnych maszyn, krzżeli się, siedzieli, a nawet leżeli ludzie. Bosi ludzie w długich szarych koszulach. Wokół wykopu, na granicy nietkniętego śniegu, stali inni w nierównych szeregach. Było ich bardzo wielu - setki, może tysiące. Stali, patrząc pod nogi. Gdzieniedzie w szeregach widać było leżących, ale nikt nie zwracał na nich uwagi.

Maszyn w wykopie było kilkadziesiąt, niektóre z nich zaryte w ziemię, inne ukryte pod śniegiem, ale Anton od razu zauważył, że to takie same urządzenia jak te, które poruszały się po szosie. Kilka maszyn dygotało gorączkowo, rozrzucając błoto i śnieg bez żadnego celu i sensu.

Anton pomyślał nagle, że w pełnym ludzi wykopie jest niewiarygodnie cicho. Słychać było tylko głucho warczenie mechanizmów i z rzadka przenikliwe żalosne okrzyki.

I kaszel. Od czasu do czasu ktoś gdzieś zaczynał ochryple kasłać, zachłystując się i sapiąc, tak że od samego słuchania zaczynało drapać w gardle. Ten kaszel natychmiast podchwytywali pozostali i po kilku sekundach wykop wypełniał się suchym dźwiękiem. Na chwilę ruch ludzi ustawał, słychać było żalosne krzyki, potem coś jakby wystrzały i kaszel się urywał...

Anton miał dwadzieścia sześć lat, od dawna pracował jako astronauta i zdążył zobaczyć niemało. Widział, jak ludzie stają się kalekami, jak tracą przyjaciół albo wiarę w siebie, jak umierają; on sam też tracił przyjaciół i umierał sam na sam z obojętną ciszą; ale to tutaj to coś zupełnie innego. Sama esencja nieszczęścia, smutku, bezradności; obojętna rozpacz, gdy nikt nie ma już na nic nadziei, gdy upadający wie, że go nie podniosą, gdy przed sobą nie ma absolutnie niczego, prócz śmierci wśród obojętnego tłumu. To niemożliwe, pomyślał. To po prostu jak klęska żywiołowa. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Nigdy nie zdołamy im pomóc - wymamrotał Wadim. - Tysiące ludzi, pozbawionych wszystkiego...

Anton doszedł do siebie. Dwadzieścia transportowców, pomyślał. Ubrania, jakieś pięć tysięcy. Jedzenie, dziesięć polowych syntezatorów. Szpital, sześćdziesiąt sal. A może to za mało? Może to nie wszyscy? Może sanie tylko tutaj?

Ładnie bym wyglądał, gdybym z szosy kazał zawrócić na statek, pomyślał z zadowoleniem.

Stali w milczeniu, nie wychodząc z glidera. Nie wiadomo było, co robią ci ludzie na dnie wykopu. Chyba coś z maszynami. Może te maszyny były ich nadzieją. Może chcieli je naprawić albo wykorzystać, żeby wydostać się ze śnieżnej pustyni.

Wadim włączył silnik.

- Zaraz, zaraz - powiedział Anton. - Dokąd to?

- Na Ziemię - odparł Wadim. - Nie poradzimy sobie.

- Wyłącz silnik. To nerwy.

- Co tu mają do rzeczy nerwy? Siedmioma chlebami ich nie nakarmisz.

Anton w milczeniu podniósł worek z lekarstwami i przerzucił przez burtę. Potem wziął worek z jedzeniem.

- Wadim, przygotuj swój translator - zarządził. - Będziesz tłumaczył.

- Po co to wszystko? - zapytał Wadim. - Tylko tracimy czas.

A tutaj pewnie ludzie umierają w każdej minucie.

Anton przerzucił przez burtę worek prowiantu.

- Dowiemy się, ilu ich jest. Dowiemy się, czego potrzebują.

Dowiemy się wszystkiego. Z czym masz zamiar wracać na Ziemię?

Wadim, nie mówiąc ani słowa, zeskoczył na śnieg i wziął na ramię worek lekarstw. Anton popatrzył wyczekująco na Saula. Historyk wyjął z ust fajkę.

- Wszystko dobrze - powiedział - ale nie bierzcie jedzenia.

- Dlaczego? Najśłabszych nakarmimy od razu.

- Nie róbcie głupstw. Kiedy tamci zobaczą jedzenie i ubrania, zdeptają was razem w waszymi workami.

- I tak nie starczy dla wszystkich - wyjaśnił Anton. - Wy tłumaczmy, że to dla najśłabszych.

Przez kilka sekund Saul patrzył na niego z wyrazem współczucia. Wreszcie zapytał:

- Czy pan wie, co znaczy tłum?

- Proszę wziąć jedzenie - uciął Anton. - A co to znaczy tłum, opowie mi pan potem.

Saul z westchnieniem przerzucił worek przez ramię i sięgnął po leżący na siedzeniu skorczer.

- Niech pan to zostawi - nakazał Anton.

- Nie, to akurat wezmę - sprzeciwił się Saul i sapiąc, wsunął głowę w pas skorczera.

- Bardzo pana proszę, Saul. Pan się boi i może pan wystrzelić ze strachu.

- Oczywiście, że się boję. Boję się o pana.

- Rozumiem, że nie o siebie - powiedział Anton cierpliwie.

Saul wyszczerzył się w uśmiechu i przeszedł przez burtę.

- Saulu Repnin - powiedział stalowym głosem Anton. - Proszę oddać mi broń!

Saul usiadł na burcie.

- Przecież nie umie pan strzelać - zauważył.

- Umie - spojrzał Anionowi prosto w oczy.

Za każdym razem to samo, pomyślał. Zawsze w najważniejszym momencie pojawia się jakiś historyk. I zamiast wziąć się do roboty, trzeba go uspokajać.

Saul oddał wreszcie skorczer. Anton wsunął broń za pazuchę i zeskoczył na śnieg obok Wadima, który z workiem na ramieniu i przechyloną głową z zainteresowaniem obserwował poczynania kapitana.

- Wezmę trzeci worek - zaproponował Saul jakby nigdy nic.

- Proszę bardzo - powiedział Anton uprzejmie.

Zaczęli schodzić do wykopu.

- W razie czego - odezwał się Saul - niech pan strzela w powietrze. Od razu się rozbiegną.

Anton nie odpowiedział. Zastanawiał się, co robić dalej.

- Wadim - zawołał w końcu. - Zdołasz się z nimi jakoś dogadać?

- Jakoś tak. Najważniejszy jesteś ty. Gdybyś był prawdziwym lekarzem, w ogóle bym się nie martwił.

Tak, pomyślał Anton, gdybym był prawdziwym lekarzem... oczywiście, to humanoidy, ich anatomia niezbyt różni się od naszej. Ale fizjologia... przypomniał sobie jak straszne konsekwencje spowodowało zastosowanie u humanoidów na Tagorze zwykłej jodyny.

- Dobrze by było zorientować się, co jest z tymi maszynami ciągnął zatroskany Wadim. - Wywieźlibyśmy ich stąd. Może nic więcej im nie potrzeba. A w ogóle dlaczego nikt im nie pomaga? Co za idiotyczna planeta! Nie zdziwiłbym się, gdyby jednocześnie wybuchły im wszystkie miasta...

Przeszli już połowę zbocza, gdy Saul poprosił:

- Poczekajcie chwileczkę.

Wszyscy stanęli.

- Co się stało? - zapytał Anton. - Zmęczył się pan?

- Nie - odparł Saul - ja się nigdy nie męczę. - Popatrzył uważnie na coś w dole. - Widzicie tę okropną maszynę na brzegu? O tam, tę najbliższą. Na skrzydle siedzi człowiek w szarym...

- Widzę - powiedział niepewnie Anton.

- No, dalej, ma pan młodsze oczy...

Anton wysilił wzrok.

- Siedzi człowiek... - powtórzył i urwał. - Dziwne - mruknął.

- Tam siedzi człowiek w futrze - oznajmił Wadim. - Dobrze widzę. Zakutany w futro aż po oczy.

- Nic nie rozumiem - zdziwił się Anton. - Może to chory?

- Może - powiedział Saul. - Wobec tego tam jest jeszcze dwóch chorych. Od dawna ich obserwuję. Tylko to bardzo daleko...

Po przeciwnej stronie na tle bladego nieba widać było wyraźnie dwie kudłate postacie. Stały kompletnie nieruchomo na szeroko rozstawionych nogach; w rękach trzymały długie, cienkie pręty.

- Co oni tam mają? - zapytał Anton. - Anteny?

- Anteny? - powtórzył Saul, przyglądając się. - Chyba już wiem, co to za anteny...

Ostry, żaloszny krzyk wypełnił wykop. Anton drgnął. Jakiś silnik ryknął ogłuszająco, rozległo się wielogłose żaloszne wycie; wtedy zobaczyli, jak ogromna, przypominająca amfibię albo czołg maszyna ze zgrzytem zakręciła w miejscu i zaczęła pełznąć, zwiększając prędkość i przewracając inne mechanizmy, prosto na szeregi ludzi.

Z jej wnętrza wypadały, zsuwały się i koziółkowały na wydeptany śnieg ludzkie postacie. Szereg nawet nie drgnął. Anton zamknął rękami usta, żeby nie krzyczeć. Przez huk i ryk przebił się żaloszny wysoki głos; szereg nagle zamknął się w szczelny tłum i ruszył na spotkanie maszyny.

Anton nie wytrzymał i zamknął oczy. Wydawało mu się, że przez ryk silnika słyszy ohydny, mokry chrzęst...

- Boże mój - mamrotał mu nad uchem Saul. - O mój Boże...

Anton zmusił się do otworzenia oczu. Na miejscu amfibii była ogromna ruchoma sterta, sunąca powoli, coraz bardziej przechylona na bok. Za nią na śniegu rozplątywał się szeroki jaskrawoczerwony pas. Wokół tej sterty ciał była pustka, tylko czterech ludzi w futrach niespiesznie szło, nie zostając w tyle ani na krok, za oblepionym ciałami czołgiem.

Anton odruchowo popatrzył na ludzi z prętami. Stali w tym samym miejscu, w tej samej pozie, całkowicie nieruchomi, tylko jeden z nich powolnym ruchem przełożył pręt do drugiej ręki i zastygł.

Chyba nawet nie patrzyli w dół.

Ryk silnika umilkł. Czołg był przechylony na bok, a ludzie powoli spełzali z niego, odchodząc w bok. Wadim bez słowa rzucił swój worek na dół i wielkimi susami pomknął za nim. Anton też pobiegł w dół. Przez szum w uszach słyszał, jak depczący im po piętach Saul wykrzykuje, tracąc oddech: „Łajdaki! Dranie!” Gdy Anton dobiegł do czołgu, ludzie w workach już ustawiali się w szeregu, a ci w futrach chodzili pomiędzy nimi i krzyczeli jęklivymi głosami. Wadim, wlokąc za sobą worek umazany krwią i błotem, chodził na czworakach pomiędzy porozrzucanymi pod czołgiem ciałami. Podniósł bladą zrozpaczoną twarz i powiedział do Antona:

- Tu są tylko martwi... wszyscy już nie żyją.

Anton rozejrzał się. Ledwie dyszący, mokrzy od potu i topniejącego śniegu ludzie, okryci porwanymi workami, patrzyli na niego mętnymi nieruchomymi oczami. Ludzie w futrach, którzy zbili się nieopodal w małą grupkę, też wbijali w niego wzrok. Przez sekundę zdawało mu się, że ma przed sobą dziwnie naturalistyczne panneau; nieruchomy tłum, spoglądający setkami par nieruchomych oczu.

Wziął się w garść.

Ci, których szukał Wadim, stali w szeregu wysoki kościsty staruszek ze skórą zdartą z twarzy, młodzieniec przyciskający do piersi nienaturalnie wykręconą rękę, zupełnie nagi mężczyzna o szarej twarzy, wczepiony we własny brzuch rozcapierzonymi palcami o złotych paznokciach, człowiek z zamkniętymi oczami, podkulający jedną nogę, z której buchała krew... wszyscy żywi stali w szeregach.

- Spokojnie - powiedział Anton głośno. Otworzył worek z lekarstwami i wyjął opakowanie koloidu. Odkręcając w biegu słoik, podszedł do człowieka ze zmiażdżoną nogą. Wadim z naręczem tampoplastra szedł za nim.

- Brzydka rana... - mruczał. - Rozerwane mięśnie, krew już prawie nie płynie. Dlaczego on nie usiadzie?... Dlaczego nikt go nie podtrzyma? Koloid... a teraz plaster... kładź równiej, Wadim, nie wyciskaj koloidu... Dlaczego tu jest tak cicho? A tu jeszcze gorzej... rozdarty brzuch. Właściwie on już jest martwy. Jakim cudem jeszcze stoi? Wykręcona ręka to głupstwo... mocniej trzymaj, Wadim, mocniej! Dlaczego on nie krzyczy? Dlaczego nikt nie krzyczy?

A tam ktoś upadł... no dalej, podnieście go, wy, zdrowi!...

Ktoś dotknął jego ramienia i Anton gwałtownie się odwrócił.

Przed nim stał człowiek w futrze. Miał brudną rumianą twarz i zezujące oczy, na końcu krótkiego nosa wisiała mętna kropla. Dłonie w futrzanych rękawicach złożył na piersi.

- Witajcie, witajcie - powiedział Anton. - Potem... Wadim, pogadaj z nim.

Człowiek w futrze pokręcił głową i zaczął coś szybko mówić; zaraz odpowiedział mu Wadim z bardzo podobną intonacją. Człowiek w futrze zamilkł; wstrząśnięty popatrzył na Wadima, potem znowu na Antona i cofnął się. Anton z irytacją poprawił za pazuchą ciężki skorczer i odwrócił się do rannego, który zasłaniał twarz rękami. Zresztą wszyscy ludzie, po prawej i lewej stronie Antona, zasłaniali twarze.

Prócz tego martwego, który nadal trzymał się za brzuch.

- To nic, nic - mówił Anton łagodnie. - Opuśćcie ręce, nie bójcie się. Wszystko będzie dobrze...

Ale w tym samym momencie ktoś krzyknął wysokim żalnym głosem i wszyscy ludzie w workach jednocześnie odwrócili się w prawo. Ci inni, w futrach, zaczęli biec truchtem wzdłuż szeregu.

Znowu odezwał się żalny głos i kolumna ruszyła.

- Stójcie! - zawołał Anton. - Co jest, czy tu wszyscy powariowali?

Nikt się nawet nie odwrócił. Kolumna sunęła bez przerwy, a ci, którzy przechodzili obok Antona, zasłaniali twarze rękami. Tylko człowiek z rozprutym brzuchem nadal stał, a gdy ktoś go lekko pchnął, miękko upadł w śnieg. Kolumna odeszła.

Anton stropiony przesunął mokrą dłoń po oczach i obejrzał się. Zobaczył ogromny przewrócony czołg, wysokiego czarnego Saula obok, Wadima, który dzikim wzrokiem odprowadzał odchodzącą kolumnę, i kilkadziesiąt ciał na zdeptanym śniegu. Zrobiło się zupełnie cicho, słychać było tylko rzadkie żalne okrzyki w oddali.

- Co to było? - zapytał Wadim. - Czego się przestraszyli?

- Przestraszyli się nas - wyjaśnił Anton. - A raczej naszej medycyny.

- Dogonię ich i spróbuję wyjaśnić...

- W żadnym wypadku. Tu trzeba działać bardzo delikatnie. Jakie jest pańskie zdanie, Saul?

Saul, odwrócony plecami do wiatru, rozpałał fajkę.

- Moje zdanie... - powtórzył. - Cóż, bardzo mi się tu nie podoba...

- Tak - podchwycił Wadim. - Same okropne nieszczęścia...

- Dlaczego akurat nieszczęścia? - zapytał Saul. - A co pan powie o tych draniach w futrach?

- Skąd pan wie, że to dranie?

- A kim oni są, pańskim zdaniem?

Wadim zamilkł.

- Potężni, wypasieni mężczyźni w futrach - powiedział Saul z dziwnym wyrazem twarzy - rozkazują ludziom rzucić się pod czołg.

Nie pracują, tylko patrzą, jak się męczą inni. Sterczą na wale z pikami w pogotowiu. Kim więc oni są, pańskim zdaniem?

Wadim milczał dalej.

- Niech się pan zastanowi - dodał Saul. - A jest się nad czym zastanawiać...

Anton powiedział, patrząc w niebo:

- Zmierzcha się. Powinniśmy obejrzeć maszyny, skoro już tu jesteśmy, i tak będziemy się tym musieli zająć wcześniej czy później...

- Chodźmy - zgodził się Saul.

Anton starannie zamknął worek z lekarstwami i poszli do czołgu. Wadim ani drgnął; posępnie patrzył na zbocze, po którym powoli sunęły czarne kropki - ogon odchodzącej kolumny.

Owalny wąż czołgu był otwarty. Korpus maszyny rozdzielała błoniasta ścianka. Anton włączył latarkę i zobaczyli karbowane ścianki kabiny, matowe elementy silnika, jakieś krzywe lustra na żerdziach, przypominających bambus i kielichowate dno, pokryte mnóstwem małych otworków, co przypominało gigantyczną łyżkę cedzakową.

- Taak - powiedział przeciągle Saul. - Interesująca maszyna.

Jak się ją prowadzi?

- Może to cyber - powiedział z roztargnieniem Anton. - Chociaż nie, raczej nie... zbyt dużo wolnego miejsca...

Zbliżył się do silnika. Był to prymitywny mechanizm z zasilaniem o dużej częstotliwości.

- Potężna maszyna - powiedział z szacunkiem Saul.

Wrócili do kabiny.

- Co to za dziurki...? - mamrotał Saul. - A gdzie kierownica?

Anton próbował wsunąć w jeden z otworów palec wskazujący, ale się nie mieścił, więc włożył mały palec. Poczuł krótkie bolesne ukłucie, a w silniku coś się z hałasem przesunęło.

- Wszystko jasne - mruknął, oglądając palec.

- Co jest jasne?

- Nie zdołamy kierować tą maszyną... oni też nie potrafią.

- A kto może?

- Nie chciałbym nic twierdzić na pewno, ale to jest najwyraźniej własność Wędrowców. Widzi pan?... To nie jest maszyna dla humanoidów.

- Coś podobnego - zdumiał się Saul.

Przez jakiś czas w milczeniu stali przed kabiną, próbując wyobrazić sobie istotę, która w tym cedzaku czułaby się równie wygodnie jak oni w fotelach pilotów, przed pulpitemi i ekranami.

- Też mi się tak wydawało - przyznał się Saul. - Zbyt paradoksalne połączenie: worki jutowe i zerowy transport.

- Wadim! - zawołał Anton.

- Czego? - dobiegło posępnie z góry.

Wadim stał na czołgu.

- Słyszałeś?

- Słyszałem. Tym gorzej dla nich. - Wadim zeskoczył ciężko na śnieg. - Pora wracać - powiedział - ściemnia się...

Zarzucili worki na ramiona i zaczęli wspinać się na wał.

Ale historia, pomyślał Anton. Maszyny pozostawione przez niehumanoidów. Humanoidy, które utraciły godność, rozpaczliwie próbujące zrozumieć te maszyny. Pewnie to dla nich jedyny ratunek.

Oczywiście nic im z tego nie wychodzi. I do tego jacyś dziwni ludzie w futrach...

- Saul - zawołał - co to jest pika?

- Kopia - odpowiedział Saul.

- Kopia?

- Długa drewniana żerdź - wyjaśnił z rozdrażnieniem Saul. Na czubku ostre żelazne zakończenie, często wyszczerbione. Wykorzystywane do przebijania na wylot bliźniego swego. - Zamilkł, ciężko dysząc. - Może wam przy okazji wyjaśnić, co to takiego miecz?

- Wiemy, co to jest miecz - odparł Wadim, nie odwracając się.

Szedł pierwszy.

- No to wam powiem, że każdy z tych bandytów w futrach miał za plecami miecz - powiedział Saul. - Może byśmy tak odpoczęli chwilę, młodzi ludzie?

Usiedli na workach.

- Dużo pan pali - zauważył Anton. - To bardzo szkodliwe.

- Palenie szkodzi zdrowiu - wygłosił Saul.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Wykop na dole wypełniał się cieniami. Niebo pojaśniało, bo pojawiły się gwiazdy. Z lewej strony nikło zielone lśnienie zachodu. Antonowi zmarzły uszy; zdrzął na myśl o tych nieszczęśnikach, którzy wlekli się po skrzypiącym śniegu. Dokąd oni idą? Może gdzieś w pobliżu jest inne osiedle... A przecież jeszcze wczoraj siedzieliśmy z Dimką na werandzie, pomyślał; było ciepło, sad pachniał oszałamiąjąco, cykały cykady, a wujek Sasza wołał ze swojego domku, żebyśmy spróbowali jego nalewki domowej roboty... Dlaczego Saul ma coś przeciwko ludziom w futrach?

Saul wstał z westchnieniem.

- Chodźmy - powiedział.

Wpakowali się do glidera, zsunęli właz i Wadim od razu włączył ogrzewanie na pełną moc. Anton rozpiął kurtkę, wyciągnął ogrzany ciałem skorczer i rzucił na siedzenie obok Saula. Historyk dyszał gniewnie i chuchał w garście. Na jego puszystych brwiach topniał szron.

- A więc, Wadim - zagadnął - co pan wymyślił?

Wadim usiadł w fotelu kierowcy.

- Myśleć będziemy później - oznajmił. - Teraz trzeba działać.

Ludzie potrzebują pomocy i...

- Dlaczego właściwie pan uznał, że ci ludzie potrzebują pomocy?

- Mam nadzieję, że pan żartuje - oburzył się Wadim.

- Nie jest mi do śmiechu - zapewnił Saul. - Dziwię się, że z takim uporem nie chcecie spróbować zrozumieć, co się tu dzieje. Dlaczego przez cały czas powtarzacie, że tamci potrzebują pomocy?

- Pańskim zdaniem nie potrzebują?

Saul zerwał się, stuknął głową o pokrywę i znowu usiadł. Przez kilka sekund milczał.

- Muszę wam zwrócić uwagę - powiedział w końcu - na pewien niezwykle ważny aspekt: w wykopie bynajmniej nie wszyscy ludzie potrzebują ubrań i jedzenia. Widzieliśmy tam ludzi zdrowych, sytych i uzbrojonych. I tym ludziom sytuacja wcale nie wydaje się taka beznadziejna jak wam. Chcecie pomóc cierpiącym? To wspaniale. Kochaj bliźniego swego. Ale czy nie wydaje się wam, że tym samym wejdziecie w konflikt z istniejącym tu porządkiem? - zamilkł i popatrzył badawczo na Antona.

- Wcale nam się nie wydaje - odparł Wadim. - Nie chcę myśleć o tych ludziach gorzej niż o samym sobie. Nie mam żadnych podstaw, by uważać się za lepszego od innych. Tam w wykopie istnieje rażąca nierówność. I ci ludzie w futrach... Ale jestem absolutnie przekonany, że to wszystko ma jakieś logiczne wyjaśnienie.

A pomoc Ziemiaków nigdy nikomu nie zaszkodziła - zaznaczył. A jeśli chodzi o piki i miecze, to przecież ktoś musi ochraniać tych, którzy przeżyli katastrofę. Mam nadzieję, że nie zapomniał pan o tych miłych ptaszkach na równinie.

Anton pokiwał w zadumie głową. Jak to było na „Kwiatku”? pomyślał. Przez dwa tygodnie siedzieliśmy na zmniejszonych o połowę racjach tlenu. Nie jedliśmy i nie piliśmy. Inżynierowie naprawiali syntezatory, a my musieliśmy im oddać wszystko, co mieliśmy.

Pod koniec drugiego tygodnia pewnie wyglądaliśmy nie lepiej od tych ludzi...

Saul pochylił głowę i ze znużeniem złożył dłonie.

- Wymiar - mruknął. - Wszystko w jednym wymiarze. Jak zawsze. Jak tysiące lat temu.

Wadim i Anton czekali w milczeniu.

- Jesteście wspaniałymi ludźmi - ciągnął cicho Saul. - Ale patrząc na was nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. Nie zauważacie tego, co jest dla mnie absolutnie oczywiste. Nie mogę was za to winić, ale... Coś wam opowiem. W pradawnych czasach jacyś przybysze, możliwe, że wasi Wędrowcy, zostawili na Ziemi pewien przyrząd. Składał się z dwóch części: z robota-automatu i aparatu, który sterował robotem na odległość. Sterować robotem można było również za pomocą myśli. Oba przedmioty przeleżały w Azji kilka tysięcy lat. A potem aparat sterujący znalazł pewien arabski chłopczyk, zwany Aladynem. Historię Aladyna pewnie znacie? Chłopiec uznał aparat za lampę. Kiedy ją potarł, zjawił się nie wiadomo skąd czarny, dyszący ogniem robot. Wychwytywał nieskomplikowane myśli, w których były nieskomplikowane życzenia Aladyna, burzył miasta i wznosił pałace. Wyobraźcie sobie biednego, brudnego arabskiego chłopca, wierzącego w magię i czarnoksiężników. Nic dziwnego, że wziął robota za dzina, niewolnika aparatu przypominającego mu lampę.

Gdyby ktoś spróbował mu wyjaśnić, że to dzieło ludzkich rąk, chłopiec walczyłby do ostatniego tchu o swoją wizję świata, chcąc pozostać w wymiarze swoich wyobrażeń. Robicie to samo. Bronicie waszego sztywnego światopoglądu. Chcecie stać na straży godności rozumu. Nie możecie zrozumieć, że nie mamy tu do czynienia z katastrofą, z ofiarami klęski żywiołowej czy technicznej, lecz z określonym porządkiem rzeczy. Z systemem, młodzi ludzie. A przecież to naturalne. Jeszcze dwa i pół stulecia temu połowa ludzkości była przekonana, że człowiek jest zwierzęciem i że nim pozostanie.

Mieli zresztą dość przesłanek, by tak sądzić - zgrzytnął zębami Saul.

- Nie chcę, żebyście się do tego mieszała. Oni was zabiją. Musicie wrócić na Ziemię i zapomnieć o wszystkim. - Popatrzył na Antona.

- A ja zostanę tutaj.

- Po co? - zapytał Anton.

- Muszę - powiedział powoli Saul. - Zrobiłem jedno głupstwo. A za głupotę się płaci.

Anton zastanawiał się gorączkowo, co powiedzieć temu dziwnemu człowiekowi.

- Oczywiście, może pan zostać - powiedział w końcu. - Ale teraz już nie chodzi o pana. Nie tylko o pana. My też zostaniemy.

Trzymajmy się razem.

- Zabijają was - powiedział bezradnie Saul. - Przecież nie umiecie strzelać do ludzi.

Wadim klepnął się po kolanach i powiedział ciepło:

- My pana rozumiemy, Saul. Ale jako historyk i pan też nie może wyjść z kręgu swoich wyobrażeń. Nikt nas nie zabije. Po co wszystko komplikować? Jesteśmy ludźmi, więc postępujemy jak ludzie.

- Dobrze - odparł zmęczonym głosem Saul. - Lepiej coś zjedzmy. Nie wiadomo, co będzie dalej.

Antenowi nie chciało się jeść, ale jeszcze bardziej nie chciało mu się kłócić. Saul pewnie miał rację, Wadim też miał rację, a już na pewno miała rację Komisja do Spraw Kontaktów. Teraz najbardziej ze wszystkiego potrzebowali informacji.

Wadim niechętnie grzebał łyżką w puszcze konserw. Saul jadł z apetytem i bełkotliwie namawiał:

- Jedzcie, jedzcie. Podstawą każdego przedsięwzięcia jest pełny żołądek.

Anton zastanawiał się nad planem działania. Nieważne, społeczna czy żywiołowa - klęska pozostaje. Bez interwencji się nie obejdzie. Ale nie mogą wracać pędem na Ziemię i wołać: pomóżcie!

Albo pchać się w sam środek wydarzeń, wymachując jedynym workiem jedzenia... Szkoda Saula, ale trzeba go będzie odsunąć. Przede wszystkim muszą zdobyć informacje...

- Teraz polecimy po śladach kolumny. Myślę, że w pobliżu jest osada - zdecydował Anton.

Saul ochoczo pokiwał głową.

- Znajdziemy kogoś rozgarniętego - ciągnął Anton - a ty, Dimka, wszystkiego się od niego dowiesz. A potem zobaczymy.

- Weźmiemy języka - oznajmił Saul, oblizując łyżkę.

- Słusznie.

Przez chwilę Anton próbował zrozumieć, co tu ma do rzeczy język. Wreszcie przypomniał sobie przeczytane w jakiejś książce zdanie: „Idźcie, poruczniku, i bez języka nie wracajcie”. Pokręcił głową.

- Niech pan nie gada głupstw, Saul. Wszystko musi się odbyć cicho i spokojnie. Na wszelki wypadek niech się pan trzyma z tyłu.

Najlepiej, gdyby pan został w gliderze. Nigdy nie był pan w niebezpiecznej sytuacji i boję się, że straci pan zimną krew.

Saul przyjrzał mu się zapadniętymi oczami.

- Tak, oczywiście. Mól, że tak powiem, książkowy.

Była już noc, gdy glider wystartował, przeskoczył przez wykop i pomknął wzdłuż udeptanej drogi, prowadzącej na wschód. Nad równiną wznosił się mały jasny księżyc, a na zachodzie, nad górskim grzbietem, wisiał purpurowy wąski sierp. Droga skręciła, omijając wysokie wzgórze; zobaczyli kilka rzędów przysypanych śniegiem chat.

- Tutaj - powiedział Anton. - Zejdź niżej, Wadim.

Rozdział 5

Wadim wylądował gliderem na pierwszej napotkanej ulicy. Odchylił włącznik i do kabiny wdarł się nieprzyjemny zapach - smród zamrożonych fekalii, woń nieszczęścia. Po obu stronach ulicy stały krzywe chaty bez okien; w świetle księżyca srebrzyły się czapy czystego śniegu na płaskich dachach i ohydnie czerniały brudne zasy przy drzwiach. Ulica była pusta; można byłoby pomyśleć, że to opuszczona osada, gdyby nie to, że ciszę wypełniało chrapanie, westchnienia i stłumione dźwięki suchego kaszlu.

Wadim prowadził glider powoli. Śmierzący mróz parzył twarz.

Ani na ulicy, ani w ciemnych bocznych przejściach nie było widać żywej duszy.

- Są wykończeni - powiedział Wadim. - Śpią. Będziemy musieli ich obudzić. - Zatrzymał glider. - Poczekajcie, pójdę się rozejrzeć.

- Pójdziemy razem - powiedział Anton.

- Nie ma sensu iść we dwóch - sprzeciwił się Wadim, wyskakując na drogę. - Tylko popatrzę i zaraz wracam. Jeśli się nic nie stanie, pojedziemy dalej.

- Saul, proszę tu zostać - polecił Anton. - Zaraz będziemy z powrotem.

- Nie róbcie hałasu - uprzedził Saul.

Wadim niezdecydowanie zatrzymał się przed wąską zapaskudzoną ścieżką prowadzącą do drzwi najbliższej chaty. Poczul strach i obrzydzenie. Obejrzał się. Anton stał tuż za nim.

- No, co jest? - zapytał.

- Naprzód.

Wadim wszedł na ścieżkę, pośliznął się i omal nie upadł. Zrobiło mu się niedobrze, zaczął iść szybciej, zadzierając wysoko głowę, żeby nie patrzeć pod nogi. Drzwi z cienkim skrzypnięciem otworzyły się jakby na spotkanie, i z domu wypadł zupełnie nagi, długi i chudy człowiek. Upadł na oblodzoną zaspę i głucho stuknął o ścianę chaty. Wadim pochylił się nad nim. To był trup, od dawna sztywny. Ilu ich już dzisiaj widziałem, pomyślał. W chacie rozległ się kaszel i nagle wysoki ochrypy głos zaintonował pieśń, a raczej coś w rodzaju wycia bez słów. A może to był po prostu płacz?

Wadim znowu się obejrzał. Na drodze czerniała okrągła bryła glidera, z włącznika sterczała czarna sylwetka Saula. Pod jasnym księżycem połyskiwał śnieg na pustej ulicy. Wysoki głos za drzwiami skarżył się przeciągle. Anton lekko szturchnął Wadima w bok.

- Boisz się? - zapytał półgłosem. Twarz miał białą, jakby zamrożoną.

Wadim nie odpowiedział. Otworzył drzwi i włączył latarkę. Cuchnące powietrze uderzyło go w nozdrza, aż się zakrztusił. Krąg światła padł na ubitą ziemię podłogi, pokrytą bladą wydeptaną trawą.

Wadim zobaczył dziesiątki skulonych, przytulonych do siebie ciał, chude, gołe nogi o ogromnych stopach, wyschnięte twarze, zniekształcone przez ostre cienie, otwarte czarne usta; ludzie spali bezpośrednio na gołej ziemi i na sobie - wydawało się, że leżą w kilku warstwach.

Dygotali we śnie. Przeciągłe wycie trwało nadal; śpiewający nie przerywał nawet po to, żeby złapać oddech. Wadim nie od razu zauważył śpiewaka, dopiero po chwili złapał go w krąg światła. Człowiek siedział na plecach śpiących, obejmując spiczaste kolana. Patrzył na światło latarki szklanymi oczami i zawodził, wysuwając do przodu popękane wargi.

- Hej, ty - westchnął Wadim - posłuchaj mnie. Przestań na chwilę śpiewać. Powiedz coś.

Człowiek nie poruszył się. Wydawało się, że nie widzi światła i nie słyszy głosu.

- Proszę cię - powtórzył Wadim. - Posłuchaj.

Śpiewak nagle zakończył pieśń ochryplym okrzykiem, przewrócił się do tyłu i zamarł. Od razu wmieszał się w śpiących i Wadim nie mógł go już odnaleźć. Przełknął ślinę, zrobił krok do przodu i poklepał czyjąś nogę. Noga była lodowata, wyraźnie martwa. Dotknął drugiej nogi, również zimnej. Odwrócił się, zachwiał i wpadł na kogoś dużego i ciepłego.

- Cicho - powiedział ten ktoś głosem Antona.

Wadim potrząsnął głową, przytomniejąc. Zupełnie zapomniał o Antonie.

- Nie mogę - wymamrotał. - To beznadziejne.

Anton wziął go za łokieć i poprowadził do wyjścia. Mroźne powietrze wydało się Wadimowi czyste i słodkie.

- Nie mogę - powtórzył. - Tu nie sposób znaleźć żywych ludzi. Wszyscy są sztywni. Martwi. - Odsunął się od Antona i ostrożnie poszedł ścieżką w stronę drogi. Saul nadal nieruchomo sterczał z włazu glidera. Wadim zauważył, że latarka nadal się pali, wyłączył ją, wsunął do kieszeni i podszedł do pojazdu. Saul patrzył na niego w milczeniu. Przyszedł Anton, oparł się łokciami o burtę i wbił wzrok w Wadima, który położył głowę na kierownicy i mruknął przez zęby:

- To nie są ludzie. Ludzie by tak nie mogli. - Poderwał nagle głowę. - Ludźmi są tylko ci w futrach. A ta reszta to cybery, tyle że obrzydliwie podobni do ludzi!

Saul westchnął głęboko.

- Wątpię, Wadimie. To ludzie, obrzydliwie podobni do cyberów.

Anton przeszedł przez burtę i usiadł na swoim miejscu.

- Weźmy się w garść - rzekł - i nie marnujmy czasu. Potrzebny nam język. - Poklepał Wadima po ramieniu. - Działajcie poruczniku, i bez jeńca nie wracajcie.

Saul wydał z siebie coś pomiędzy szlochem i śmiechem.

- Jak chcecie, to wejdę do chaty i wezmę pierwszego z brzegu - zaproponował. - Ale moim zdaniem potrzebujemy czegoś innego.

- To by znaczyło, że oni w dzień pracują, a na noc umierają ciągnął uparcie Wadim. - Co za koszmarny pomysł!

- Zgadzam się - powiedział Saul. - Pomysł jest koszmarny, więc trzeba wziąć jednego z pomysłodawców. W futrze.

Wadim popatrzył na ulicę.

- Optymizm - powiedział - to radosne, pozytywne odbieranie rzeczywistości, przy którym człowiek...

W świetle księżyca zobaczył nagle, że w oddali przecięło ulicę kilka szarych cieni w koszulach.

- Spójrzcie tam - powiedział.

Ludzie - było ich ze dwudziestu - wlekli się ulicą, a za nimi szło dwóch w futrach i z długimi żerdziami.

- Na zwierzyne łowca bieży - oznajmił złowieszco Saul. Dogonić, złapać i po krzyku...

- Myśli pan, że któregoś z tych? - zapytał niepewnie Anton.- A pan ma zamiar przeszukiwać chatę po chacie? Pomysłodawcy nie mieszkają w chatach, zapewniam. Jedźmy, bo ich zgubimy...

Wadim westchnął i ruszył. Powoli sunął wzdłuż ulicy. Próbował wyobrazić sobie, jak chwytają przerażonego, nic nie rozumiejącego człowieka pod ręce, ciągną do glidera, a on krzyczy i broni się. Spróbowałiby mnie tak wziąć, już ja bym tu wszystko rozwalil, pomyślał Wadim i wsłuchał się w słowa Saula:

- Nie martwcie się. Wiem, jak to się robi. Nie będzie się wrywał.

- Źle mnie pan zrozumiał - wyjaśnił cierpliwie Anton. - O żadnej przemocy nie może być mowy...

- Błagam, zostawcie to mnie. Wy tylko wszystko zepsujecie.

Przebiją was kopią i zaczną się krwawa jatka...

Proszę, proszę, to jest ten gabinetowy uczone! - pomyślał ze zdumieniem Wadim.

- Nie podobają mi się pańskie pomysły, Saul. Nie podoba mi się pan. Niech pan siedzi w maszynie i nic nie robi - polecił Anton.

- O Boże - westchnął Saul i zamilkł.

Wadim wyjechał na poprzeczną ulicę i zobaczyli w głębi porządny jednopiętrowy domek. Przed domkiem kłębił się tłumek, oświetlony czerwonym ogniem pochodni. Ludzie w workach stali zbici w małą grupkę, a wokół nich snuli się ludzie w futrach. Wadim jechał teraz bardzo powoli, trzymając glider po nieoświetlonej stronie ulicy. Nie miał pojęcia, od czego należy zacząć i co robić. Anton chyba też nie wiedział. W każdym razie milczał.

- Tutaj właśnie żyją pomysłodawcy - oznajmił Saul. - Widzicie, jaki przytulny, ciepły domek? Gdzieś w pobliżu nawet jest toaleta. Fajnie będzie zdobyć języka obok toalety. Właśnie, zauważyliście, że tu nie ma ani jednej kobiety?

Drzwi domku otworzyły się, wyszli z nich dwaj w futrach i stanęli na ganku. Rozległ się przeciągły, żaloszny krzyk. Grupka ludzi w workach ustawiła się w szeregi i ruszyła prosto w stronę glidera.

Przed gankiem krzyknęło kilka głosów. Wadim pospiesznie wyhamował i wylądowali.

Gapił się wytrzeszczonymi oczami i nic nie rozumiał. Nad jego uchem ciężko dyszał Anton. Ludzie w workach zbliżyli się i szybkim krokiem ominęli glider. Teraz dwudziestu bosych ludzi zaprzęgnięto do ciężkich sań, w których rozsiadł się, do pasa przykryty skórą, człowiek w futrze i futrzanej czapce. W rękach trzymał długą kopię z przerażająco ostrym końcem. Twarze ludzi w

zaprzęgu wyrażały radość; głośno i wesoło pokrzykiwali. Wadim zauważył, że Saul odprowadza wzrokiem dziwny zaprzęg, a usta ma szeroko otwarte.

- Wystarczy tych zagadek - odezwał się nagle Anton. - Jedź prosto do domku.

Wadim szarpnął kierownicą i domek szybko zaczął się przybliżać.

Ludzie w futrach, stojący przed gankiem, przez kilka sekund patrzyli bez ruchu na zbliżającą się maszynę, a następnie ze zdumiewającą szybkością ustawili się w półkole i wystawili przed siebie kopie. Na werandzie podskakiwał, wykrzykując coś, gruby, kosmaty olbrzym, wymachując nad głową szeroką błyszczącą klingą. Wadim wylądował przed kopiami i wysiadł z kabiny. Ludzie w futrach cofali się w zwartym szyku. Ostrza kopii były wymierzone prosto w pierś Wadima.

- Pokój! - powiedział Wadim i podniósł ręce.

Ludzie w futrach cofnęli się jeszcze trochę. Bił od nich zapach futra. Pod kapturami błyszczały oczy i wyszczerzone zęby. Gruby człowiek na werandzie wygłosił długą przemowę. Był ogromny i niewiarygodnie spasiony. Jego wielka twarz lśniła od potu. Człowiek przykucał i prostował się, chwilami stawał na palcach, stukając mieczem w podłogę przed sobą albo wskazywał nim niebo i pisał coś nienaturalnie wysokim, kobiecym głosem. Wadim słuchał, przechylając głowę. Mnemokryształy na jego skroniach rejestrowały obce słowa i intonacje, analizowały je i przekazywały pierwsze, jeszcze niekonkretne warianty tłumaczenia. Mowa była o jakiejś groźbie, o czymś potężnym i wielkim, o okrutnych karach... Grubas nagle zamilkł, wytarł spoconą twarz rękawem i zapiszczał krótko.

W jego głosie brzmiało cierpienie. Ludzie z kopiami pochylili się i bardzo powoli ruszyli na Wadima.

- No, wszystko jasne? - zapytał Saul. - Zaczynamy.

Położył lufę skorczera na burcie.

- Niech pan przestanie, Saul - powiedział Anton. - Wadim, do kabiny!

- Nad czym wy się zastanawiacie? - zawołał ze złością Saul. To przecież bydlaki, esesmani!

Ludzie w futrach nadal podchodzili małymi kroczkami. Gdy szerokie błyszczące ostrza oparły się o pierś Wadima, lingwista cofnął się, odwrócił plecami i wsiadł do glidera.

- Dość typowy język - oznajmił, wsiadając. - Bardzo ograniczone słownictwo, jak mi się zdaje. Nie chcą pokoju, to jasne.

- No to chociaż napędźmy im strachu - poprosił Saul. - Strzelmy raz w powietrze, żeby pogubili spodnie!

Anton zamknął właz. Ludzie w futrach cofnęli się do ganku i podnieśli kopie. Wszyscy patrzyli na glider. Na szerokiej gębie grubasa widać było pogardliwy uśmiezek.

- To jak będzie? - zawołał Saul. - Potrzebujecie języka czy nie? Weźmy tego grubego! To przecież wypisz wymaluj raportfuhrer!

- Niechże pan zrozumie, że oni nie chcą z nami rozmawiać powiedział z rozpaczą Anton. - To ich prawo! Co możemy zrobić?

- Potrzebujecie języka czy nie? - powtórzył Saul. - Przewagę zaskoczenia już straciliśmy. Teraz bez walki się nie obejdzie. Ale jest jeszcze tamten gad w saniach.

Ale ma słownictwo! - pomyślał z szacunkiem Wadim. Prawdziwy dwudziesty wiek. Słowo dają, wspaniały specjalista. Popatrzył na Antona, najwyraźniej zakłopotanego. Jeszcze nigdy Wadim nie widział go w takim stanie.

- Jedno z dwojga - kontynuował Saul. - Albo chcemy się dowiedzieć, co się tu dzieje, albo wracamy na Ziemię i niech przyślą tu ludzi bardziej zdecydowanych. Musimy się szybko decydować, póki przeciwko nam są tylko kopie...

Tracimy czas, pomyślał Wadim. Ciągłe tracimy czas. A w chatach umierają ludzie.

- Chodź, Toszka - powiedział. - Dogonimy zaprzęg. Tam jest tylko jeden z kopią, będzie łatwiej. Zabierzemy mu kopię i zaprosimy na statek.

- Uśmiechają się, dranie - warknął Saul, patrząc przez spektrolit.

Znacząco pomachał pięścią grubasowi na ganku. Grubas równie znacząco potrząsnął mieczem.

- Widzieliście? - powiedział Saul z wesołym błyskiem w oku.

- Dobrze się rozumiemy?

- Spróbuję jeszcze raz - powiedział Anton i otworzył właz. Grubas krzyknął żałośnie. Jeden z kopijników zamachnął się mocno, aż podciągnął mu się rękaw futra, i z wysiłkiem cisnął ciężką kopią.

Żelazna końcówka z wizgiem przejechała po spektrolicie. Saul aż przysiadł.

- No, siedem, osiem... - powiedział bez sensu, ale energicznie.

Anton zdążył złapać go za rękę. Oczy miał jak czarne szparki.

- Jasne - powiedział złowieszczo. - Wadim, zawracaj!

Wadim zawrócił glider.

- Jedź za zaprzęgiem! - rozkazał Anton i odchylił się na oparcie fotela. - Tutaj niczego się nie dowiemy - warknął. - Jakaś niewiarygodna tępota.

- Strzelić raz w powietrze - mruknął pogardliwie Saul - można by ich brać gołymi rękami.

Anton milczał. Glider przejechał nad pustą ulicą i po kilku minutach wyleciał w pole.

- Powiem wam tylko jedno - odezwał się nagle Anton. - Wszystkim nam będzie potem bardzo wstyd.

- A co innego możemy zrobić? - zapytał Wadim. - Przecież tu ludzie umierają!

- Gdybym to ja wiedział, co robić - westchnął Anton. - Komisji nawet nie śniło się o czymś takim.

Jakiej komisji? - już miał zapytać Wadim, kiedy odezwał się Saul:

- Przestańcie się wreszcie krygować. Skoro chcecie czynić dobro, musicie działać energicznie. Dobro powinno być bardziej aktywne niż zło, w przeciwnym razie wszystko się zatrzyma.

- Dobro, dobro - mruknął Anton. - A więc mam być pomocnym głupcem?

- Dokładnie - powiedział Saul. - Za to będzie pan miał spokojne sumienie.

Dogonili zaprzęg pięć kilometrów od osady. Ludzie biegli po ugorze, potykając się i zapadając w śniegu, a człowiek w futrze, który siedział nastroszony w saniach, od czasu do czasu leniwie szturchał kopią maruderów. - Schodzę niżej - uprzedził Wadim.

- Łąduj przed zaprzęgiem - polecił Anton. - I porozmawiaj z nim. Saul, proszę dać mi skorczer. I niech pan siedzi w maszynie.

To nie gad, tylko człowiek.

- W porządku - zgodził się Saul. - Niech pan weźmie skorczer.

A jeśli rzuci w Wadima kopią zamiast porozmawiać?...

- Kopię mu od razu zabiorę - oznajmił Wadim. - Trzeba będzie poprzecinać postronki, a jedzenie i ubranie oddać tym biedakom.

- Słusznie - zgodził się Anton.

Glider usiadł na śniegu tuż przed zaprzęgiem, a ludzie-konie zatrzymali się jak wryci. Wadim wyskoczył na zewnątrz; ludzie w workach zasłaniali twarze rękami, ciężko, spazmatycznie oddychając. Przebiegając obok nich, Wadim krzyknął wesoło:

- Koniec, przyjaciele! Zaraz pójdziecie do domu!

Skierował się do sań, zastanawiając się w biegu, jak najlepiej odebrać kopię. Człowiek w futrze klęczał, ze zdumieniem i strachem patrząc na Wadima. Kopię trzymał skierowaną do przodu.

- Chodźmy - zaproponował Wadim i chwycił za drzewce.

Człowiek w futrze natychmiast puścił kopię, poderwał się na nogi i wyjął miecz.

- No, no, nie trzeba - powiedział pojednawczo Wadim, odrzucając kopię.

Tamten wrzasnął przeciągle i żałośnie. Wadim wziął go za rękę z mieczem i pociągnął do siebie. Czuł się niezręcznie. Człowiek w futrze szarpnął się, więc Wadim chwycił go mocniej.

- No, no, naprawdę, wszystko będzie dobrze. Wszystko w porządku - mówił przekonująco, rozwierając spoconą dłoń. Miecz upadł na śnieg. Wadim objął człowieka w futrze za ramiona i poprowadził do glidera. Przez cały czas mamrotał łagodne słowa, próbując nadać głosowi miejscowy akcent. Nagle rozległ się ostrzegawczy krzyk Saula i Wadim poczuł, że się przewraca. Czyjeś dłonie chwyciły go za głowę, ktoś zawisł mu na szyi, jakieś ręce wczepiły się w nogi słabe, drżące ręce.

- Zwariowaliście? - wrzasnął oburzony Saul. - Anton, trzymaj ich!

Człowiek w futrze znowu spróbował się wyrwać. Wadimowi narzucili na głowę szmatę i przestał widzieć cokolwiek. Ledwie utrzymywał równowagę w kłębowisku ciał, ze wszystkich sił przyciskając do siebie człowieka w futrze. Wreszcie poczuł uderzenie w bok i ostry ból. Wypuścił jeńca, otrząsnął się z obcych rąk i zerwał z głowy śmierdzący worek. Zobaczył wygrzebujących się ze śniegu ludzi i Antona, który przedzierał się do niego poprzez leżące ciała. Odwrócił się. Przed nim, po kolana w śniegu, stał nagi człowiek z mieczem.

- Za co? - powiedział Wadim.

Człowiek ciął na odlew, ale miecz mu się przekręcił i uderzył płazem. Wadim pchnął w pierś napastnika, który upadł w śnieg i zmarł. Wadim podniósł miecz i odrzucił daleko w bok. Czuł, jak po biodrze spływa mu coś ciepłego i mokrego. Obejrzał się.

Ludzie w śniegu leżeli nieruchomo, jak martwi. Człowieka w futrze wśród nich nie było.

- Żyjesz? - krzyknął nerwowo Anton.

- Całkowicie - odparł Wadim. - A gdzie język?

Zobaczył Saula, który kroczył w ich stronę, ciągnąc za kołnierz człowieka w futrze.

- Zachciało mu się ucieczki - wyjaśnił. - Słowo daję, co za ludzie!

- Chodźmy stąd - powiedział Anton.

Skierowali się do glidera, ostrożnie wymijając nieruchome ciała. Saul szarpnięciem postawił człowieka w futrze na nogi i poprowadził, popychając w plecy.

- Idź, łajdaku! - dogadywał. - Idź, tłusta mordko! Śmierdzi strasznie - oznajmił. - Pewnie z rok się nie mył.

Gdy podeszli do glidera, Anton ujął jeńca za futrzane ramię i wskazałabinę. Ten z determinacją pokręcił głową, aż spadła mu czapka i usiadł na śniegu.

- Nie zamierzamy się z tobą cackać! - wrzasnął Saul.

Podniósł mężczyznę za futro i przerzucił przez burtę. Jeniec z łomotem upadł na dno kabiny.

- Faj - otrząsnął się Anton. - Co za robota!

Wziął dwa worki stojące obok glidera i powlókł w stronę zaprzęgu. Rozpakował oba, wyjął ubrania i rozłożył na śniegu. To samo zrobił zjedzeniem. Ludzie wydawali się martwi, ale podkurczali lekko nogi, gdy Anton przechodził obok.

Wadim stał oparty o ciepły bok maszyny. Patrzył na zryty śnieg, na przewrócone sanie, na ciała skulone w świetle księżyca. Słyszał, jak Anton smutno jęknął:

- Komisjo do Spraw Kontaktów, gdzie jesteś?

Wadim dotknął boku; krew nadal płynęła. Czuł się słabo i miał mdłości. Wszedł do kabiny. Wszystko było nie tak, wszystko szło niedobrze. Jeniec leżał na wznak, zasłaniając głowę rękami. Sądząc po jego zachowaniu, spodziewał się śmierci, a może i tortur. Nad nim, nie odrywając wzroku, siedział wściekły Saul. Anton też wsiadł do kabiny.

- Co z tobą? - zapytał.

Wadim odparł z trudem:

- Wiesz, Toszka, ranili mnie. Teraz jestem do niczego.

Anton przez sekundę patrzył na niego.

- Dobra, rozbieraj się - zażądał.

- Mamy kłopoty - mruknął zirytowany Saul.

Kiedy Wadim ściągał kurtkę, zrobiło mu się ciemno przed oczami. Zobaczył skupioną minę Antona i twarz Saula, wykrzywioną współczuciem. Potem poczuł na swoim boku chłodne palce.

- To rana od noża - powiedział Saul. Jego głos dobiegał jakby zza ściany. - Co z wami, chłopcy? Ja bym go wziął jedną ręką.

- To nie on - wymamrotał Wadim. - To mieczem... jeden taki goły...

- Goły? - zapytał Saul. - No, moi drodzy, tego to nawet ja nie rozumiem.

Anton coś odpowiedział, ale Wadimowi przed oczami popłynęły koła i gwiazdki. Stracił przytomność.

Rozdział 6

Anton, proszę zobaczyć - odezwał się Saul. - On jest nieprzytomny, widzi pan?

- Śpi - orzekł Anton, uważnie oglądając ranę. Była cięta i dość głęboka. Ostrze weszło pod żebro i rozcięło mięśnie. Anton odetchnął z ulgą. Saul zaglądał mu przez ramię i sapał, zaniepokojony.

- Żle z nim? - spytał szeptem.

- Nie, to głupstwo - odparł Anton. - Za godzinę wszystko będzie w porządku. - Odsunął Saula.
- Niech pan usiądzie.

Historyk zajął miejsce w fotelu i ze złością patrzył na nieruchomego jeńca. Anton niespiesznie rozwiązał worek, wyjął słoik z koloidem i zalał ranę Wadima. Pomarańczowy żel od razu stał się różowy, upstrzony czerwonymi żyłkami. Jak pianka na mleku. To krew, pomyślał Anton. Krzepki z ciebie chłopak, Dimka! Popatrzył na przyjaciela, którego twarz była nieco bledsza niż zazwyczaj, ale spokojna i życzliwa jak wtedy, gdy spał. I oddychał jak zawsze, przez nos głęboko i bezgłośnie. Anton położył dłonie po obu stronach rany i zamknął oczy.

Najprostsze chwytaki psychochirurgii wchodziły w zakres przygotowania astronauty. Praktycznie każdy pilot umiał otworzyć i zamknąć żywą tkankę, wykorzystując rezonans psychodynamiczny. To wymagało dużego napięcia i skupienia. W warunkach stacjonarnych wykorzystywano neurogeneratory, a w terenie trzeba to było robić osobiście, niczym znachor. Za każdym razem Anton współczuł znachorom.

Jakby przez sen słyszał, jak z tyłu Saul wierci się i wzdycha, a jeniec mamrocze i pochlipuje. Od człowieka w futrze bił nieprzyjemny kwaśny odór.

Anton otworzył oczy. Rana ściągnęła się, wydalaając koloid. Teraz była to po prostu różowa blizna. Chyba wystarczy, pomyślał, bo jeszcze trochę, a nie zdołam prowadzić glidera. Był cały mokry.

- I po wszystkim - powiedział, biorąc głęboki oddech.

Saul popatrzył na ranę.

- Niech to diabli - mruknął. - Jak pan to robi?

Anton obejrzał się i drgnął. Na zewnątrz do luku przykleiły się straszne wychudzone twarze, z zapadniętymi policzkami i wyszczerzonymi zębami. Poczuł się jak w odwiecznym koszmarze, kiedy zmarli zaglądają przez okno domu. Poczuł dreszcz. Saul ściągnął kosmate brwi i pogroził im palcem. Po spektrolocie załomotały kościste pięści.

- Idźcie do domu. Do domu! - powiedział głośno Saul.

Anton zaczął ubierać Wadima.

- Zaraz polecimy - zapowiedział.

- Pozabija ich pan.

Anton pokręcił głową i przesiadł się na fotel kierowcy. Glider drgnął i zaczął się powoli podnosić. Twarze za pokrywą znikły. Długa koścista ręka z połamanymi paznokciami ześliznęła się po spektrolocie i też znikła.

Kierując glider na namiary „Statku”, Anton dał pełny gaz. Spieszył się, bo było już po północy.

- Co oni w nim widzieli? - mruknął Saul. - Przecież to podłe zwierzę, sam widziałem, jak ich poganiał pikami.

Anton nic nie powiedział.

- Boże - przeraził się Saul - ile na nim różnego robactwa!

O, łążą wszędzie!

- Co łązi?

- Coś w rodzaju wszy. Trzeba go najpierw umyć i wszystko zdezynfekować...

Jeszcze jedna robota, pomyślał Anton ze znużeniem. Saul, jakby odgadując jego myśli, dodał:

- To nic, sam się tym zajmę. Żeby tylko nie zdechł z szoku, bo nieprzyzwyczajony.

Anton prowadził glider z maksymalną szybkością, trzymając się sto metrów nad ziemią. Mały jasny księżyc był niemal w zenicie, czerwony sierp dawno zaszedł, a zza białego horyzontu wschodził trzeci księżyc, różowy i spłaszczony. Wadim poruszył się, ziewnął głośno, wymamrotał: „Wyleczyłeś mnie?” - i zasnął.

- Co on robi? - zapytał Anton. Był tak zmęczony, że nie chciał mu się odwracać.

- Kto?

- Jeniec.

- Leży. Śmierdzi. Dawno nie wachałem takiego smrodu...

Dawno? - pomyślał Anton. A ja w ogóle nigdy. I nie chciałbym jeszcze raz. Saul ma rację. Niepotrzebnie wplątaliśmy się w tę historię. Saul jest mądry, to rzeczywiście system. Kultura niewolnictwa.

Niewolnicy i panowie. Co prawda, myślałem, że wierni niewolnicy występują tylko w kiepskich książkach. Wierny niewolnik... - przecież to obrzydliwe. Ale trudno, już się wtrąciliśmy i teraz za późno na odwrót. Przynajmniej wszystkiego się dowiemy. Zresztą, nie o to chodzi. Nawet gdybym od razu zrozumiał, co się tu dzieje, i tak nie mógłbym odwrócić się do tego plecami... do wykopu, w którym maszyny miażdżą ludzi... do osiedla... ciekawe, czy Rada Świata będzie tolerować istnienie planety z ustrojem niewolniczym? Nagle przygniół go ciężar problemu. Nigdy jeszcze nie było takiej alternatywy: ingerować czy nie ingerować w życie obcej planety? Mieszkańcy Leonidy i Tagory są zbyt niepodobni do ludzi. Psychika mieszkańców Leonidy do tej pory jest zagadką, nikt nie jest w stanie stwierdzić, jaki oni mają u siebie ustrój. A humanoidy z Tagory są tak mało wymagające, że w ogóle nie wiadomo, jak udało im się stworzyć własną technikę...

Ale tutaj, na Sauli, to zupełnie inna sprawa. Nigdzie indziej stosunki społeczne nie przybrały tak potwornej, a jednocześnie tak jednoznacznej formy. Rodzony brat człowieka - bardzo niedojrzały i bardzo okrutny... I jeszcze te idiotyczne maszyny.

Daleko przed nimi na błękitnej równinie pojawił się malutki czarny punkt. „Statek”, pomyślał Anton. A obok, pod śniegiem, zwłoki.

Dziwne, minął zaledwie jeden dzień, a ja już się przyzwyczailem.

Jakbym przez całe życie chodził po śniegu pośród nagich trupów.

Człowiek się łatwo dostosowuje. Psychiczna akomodacja. A może chodzi o to, że oni są mimo wszystko obcy? Może na Ziemi zwariowałbym od tego wszystkiego? Chyba po prostu otępiełem...

Hamując, zatoczył koło. „Statek” wyglądał krzepiąco - znajomy czarny korpus nad błękitnymi wzgórzami. Rzucił dwa cienie: krótki czarny i długi różowy. Glider wylądował przed wejściem. Śnieg zamarzył wokół „Statku”, tworząc pole lodowe. Anton poklepał Wadima po kolanie.

- Co jest? - zapytał sennie Wadim.

- Wstawaj.

- Idź do diabła...

- Wstań, Dimka. Przechodzimy na statek.

- Zaraz - poprosił Wadim. - Jeszcze minutkę...

- Połaskotać go? - zaproponował rzeczowo Saul.

Wadim od razu otworzył oczy i wstał.

- A „Statek”... rozumiem.

Wyszli na twarde śliski śnieg. Mroźne powietrze zapierało dech.

Wadim głośno szczekał zębami. Saul przytrzymał jeńca za kołnierz. Co teraz myśli ten biedak? - zastanowił się Anton.

- Wchodźcie - powiedział Saul. - A tego tutaj... od razu pod prysznic.

Weszli i zamknęli luk. Anton, popychając przed sobą Wadima, który drzemał idąc, skierował się do mesy. Na dole strasznie wrzasnął jeńiec. Wadim wzdrygnął się.

- Co oni tam robią? - zapytał niespokojnie.

- Zaprowadził go do kąpieli - wyjaśnił Anton. - Jest cały w pasożytach.

Usłyszeli głos Saula:

- Właż po dobroci, może nie zdechniesz...

Trzasnęły drzwi od łazienki. Weszli do mesy i od razu zwalili się na fotele.

- Kochany, dobry „Statek” - rozrzewnił się Wadim. - Jak tu ładnie, jak czysto...

Anton leżał z zamkniętymi oczami.

- Boli? - zapytał.

- Swędzi.

- Znaczy, wszystko w porządku. Słuchaj, czego potrzebujesz do pracy?

- Muszę mieć komputer - powiedział Wadim. - Połowę pamięci. Oba analizatory. Dużo kawy i coś dobrego do jedzenia dla jeńca.

Za dwie godziny rozsiadł się przy stole i porozmawia z tobą o sensie życia.

Z dołu dobiegło wycie, odgłosy szarpaniny i klapanie bosych nóg.

- Gdzie?! - ryczał Saul. - Na miejsce... tutaj!

- Porządnie go myje - powiedział Wadim z szacunkiem. - Pewnie mydło mu do oczu wpadło...
Ale Saul ma niewłaściwą intonację.

Jego ryk biedaczyna odbiera jako błaganie. Rozkaz powinien brzmieć tak... - Wadim wyciągnął szyję i żałośnie zapisał. - Jakby ktoś kotu wlaź na ogon - skomentował Anton.

- Otóż to!

- Zajmij mostek... zaraz wszystko przyniosę.

Wadim popatrzył na niego uważnie.

- Przecież ty jesteś kompletnie wykończony - zauważył.

- Może trochę... twoja rana nie była poważna, ale zmęczyłem się. Wiesz, jak to wykańcza?

- Kładź się spać, dam sobie radę. Saul mi wszystko przyniesie.

- Dobrze, dobrze - powiedział Anton. - To mój problem. Machnął ręką. - Idź, przygotuj się.

Wadim wstał.

- Mimo wszystko radzę ci się przespać. - Poszedł w stronę mostka i nagle się zatrzymał. - Czy oni wzięli ubrania?

Anton najpierw nie zrozumiał, a wreszcie powiedział:

- Szczerze mówiąc, nie wiem... nie pamiętam. Ale byli bardzo niezadowoleni.

- Co za numer! - westchnął Wadim. - Nic nie rozumiem. Za co on mnie pchnął mieczem?

Pokręcił głową i poszedł na mostek. Anton od razu zasnął. Przyśniło mu się, że poszedł do kuchni, zrobił bardzo dużo kawy i zaniósł ją razem z konserwami na mostek. Wadim był zajęty i powiedział, żeby nie przeszkadzać, więc Anton poszedł do swojej kajuty i siadł przy stole, żeby napisać program powrotnego przelotu, ale bardzo chciało mu się spać i ciągle wpadały mu w ręce stare programy jego poprzednich rejsów. Wreszcie obudził go Saul.

- Oto i on - zaprezentował.

Przed Antonem stał zgrabny chłopiec o jasnej twarzy i czarnych oczach, w krótkich gatkach i kurtce, bardzo przerażony.

- Ładny? - zapytał kpiąco Saul.

- Niebrzydka rasa - powiedział Anton ze śmiechem. - Witaj, młodszy bracie.

Młodszy brat patrzył na niego okrągłymi ze strachu oczami. Słowo daję, sympatyczny chłopak, pomyślał Anton.

- A to miał pod futrem. - Saul położył na stole twardy pakunek.

Jeniec zrobił ruch w stronę pakunku.

- No, no! - zareagował od razu Saul. - Znowu?

Jeniec skulił się, widocznie nieźle już poznał intonację Saula. Anton sięgnął po paczkę, obejrzał ją i otworzył. W pokrowcu z doskonale wyprawionej skóry tkwiła złożona w wyszukany sposób kartka papieru, jakiś szkic i kilka kawałków zakrwawionego termoplastra.

- Rozumie pan? - powiedział Saul. - Zdarli z rannych.

Anton przypomniał sobie okaleczonych ludzi w szeregu i zacisnął zęby.

- A ta kartka to pewnie raport - powiedział po chwili milczenia. - O naszym pojawieniu się. Wadim! - zawołał.

Jeniec nagle przemówił. Gadał coś szybko, wałąc się rękami w pierś, a na jego twarzy malowało się przerażenie i rozpacz, co dziwnie nie pasowało do ostrego, nawet jakby szyderczego brzmienia jego głosu. Do sali wszedł Wadim i zatrzymał się z tyłu. Jeniec zamilkł i zasłonił twarz rękami.

- Popatrz tylko - Anton podał przyjacielowi kartkę.

- Oo! - zawołał Wadim. - Pismo! To cudownie! Dwa razy mniej pracy!

Wziął jeńca za rękę i zaprowadził na mostek, po drodze wpatrując się w kartkę. Jeniec pokornie włókł się za nim. Saul studiował wykresy.

- Nie jestem specjalistą - powiedział - ale moim zdaniem to dokładny obraz wnętrza tamtego czołgu. Pamięta pan, tam w wykopie?

Podsunał szkice Antonowi. Rysunek zrobiono niebieską farbą, bardzo starannie, ale na papierze było mnóstwo śladów brudnych palców. Wyglądało to na plan kabiny-cedzaka - najwidoczniej bardzo dokładny. Niektóre otwory zaznaczono grubo nasmarowanymi krzyżykami, niektóre po prostu zakreślono. Anton ziewnęła i potarł oczy. No proszę, pomyślał. Doskonale szkice robią ci właściciele niewolników.

- Kapitanie - powiedział Saul - niech się pan prześpi. Przecież póki nasz lingwista nie skończy, nie jest pan nikomu potrzebny.

- Myśli pan?

- Jestem pewien.

Głos Wadima z mostku zażądał:

- Kawę i słoik konfitur!

- Już! - odrzyknął Saul. - Niech pan idzie spać, Anton - powtórzył.

- Nigdzie nie pójde - powiedział Anton. - Tu jest moje miejsce.

Zamknął oczy i przestał się bronić. Spał niespokojnie, często się budził i otwierał oczy. Widział, jak Saul przechodzi na palcach z pustym słoikiem w jednym ręku i dzbankiem do kawy w drugiej.

Następnym razem Saul wędrował na mostek z zastawioną tacą, a w mesie zapachniało sokiem pomidorowym. Potem zobaczył Saula za stołem, jak w zadumie ssie fajkę i uważnie przygląda się Antonowi. Z góry, z mostku dobiegały monotonne dźwięki. „Suu muu buu” - mówił Wadim, a mechaniczny głos powtarzał: Suu muu buu - pracować; karosuu - pracownik; karobu - zostać pracownikiem; karomu...” Sen przyplątywał i odplątywał. Głos Wadima niewyraźnie wygłaszał: „Lśniący... wielka i potężna skała... idaj hikari... tika udo..”, na co piskliwy głos jeńca poprawiał: Tikoudo... Wadim zawołał: „Saul! Kawy!” „Trzeci dzbanek” - mrucał niezadowolony Saul.

Wreszcie za którymś przebudzeniem poczuł, że już nie jest śpiący. Saula w mesie nie było. Zachrypnięty głos Wadima starannie artykułował na górze: „Sorinaka-bu, tora uka-bu, sanopuri-bu...” Jeniec mamrotał coś w odpowiedzi. Anton zerknął na zegarek. Była trzecia godzina czasu

miejscowego. No, no, ten strukturalny... - pomyślał Anton z szacunkiem. Nagle poczuł zniecierpliwienie. Pora kończyć.

- Dimka! - krzyknął. - Jak tam?

- Obudziłeś się? - wychrypiał Wadim. - Czekamy na ciebie.

Zaraz zejdziemy.

Z kajuty wysunęła się głowa Saula.

- Już? - zapytał. Przez uchylone drzwi walił dym.

- Niech pan wejdzie, Saul - powiedział Anton. - Zaraz zaczynamy.

Saul usiadł w fotelu i rzucił na stół szkice. Z mostka zszedł jeniec. Policzki miał wysmarowane konfiturami. Nie zwracając na nikogo uwagi, stanął i popatrzył w górę z wyrazem psiego oddania w oczach. Z góry schodził Wadim, trzymając w objęciach wielką błyszczącą skrzynkę - analizator. Postawił go na stole i padł na fotel. Minę miał triumfującą.

- Jestem geniuszem! - oznajmił ochryple. - Jestem bardzo mądry! Wielka i potężna skała! Hikari-tiko-udo!

Przy tych słowach jeniec przestał oblizywać palce i z szacunkiem złożył ręce na piersi.

- No? - zawołał Wadim, wyciągając w jego stronę ręce, a potem wyrecytował:

Jest na wszelki wypadek

Na tym statku specjalista,

Ten ogromny i potężny

Strukturalny wasz lingwista!

- Anton patrzył na niego z zadowoleniem. Na skroniach Wadima sterczały żółte trójkąty mnemokryształów. Takie same zdobiły głowę jeńca. Wyglądali jak dobroduszne młode diablątka. Zresztą jeniec przypominał raczej cielaka. Saul też się uśmiechał, ssąc fajkę.

- Uprzedzam - oznajmił Wadim - nie zadawajcie pytań abstrakcyjnych. Wyjątkowo tępy osobnik. Wykształcenie dwie klasy. Wstał i wręczył Anionowi i Saulowi po dwa mnemokryształy. Rozumuje wyłącznie konkretami. - Odwrócił się do jeńca. - Ringa hosi mu?

„Chcesz konfitur?” - zrozumiał Anton.

Chłopiec uśmiechnął się nieśmiało i znowu złożył ręce na piersiach.

- Widzicie? - powiedział Wadim. - Znowu chce konfitur. Ale musi poczekać. Zaczynamy.

Anton zawahał się. Nagle zrozumiał, że nie ma najmniejszego pojęcia, co robić. Wadim i Saul patrzyli na niego wyczekująco. Jeniec smętnie przestępował z nogi na nogę.

- Jak się nazywasz? - zapytał wreszcie Anton bardzo łagodnie.

Nie podobało mu się, że jeniec czuje się niepewnie i najwyraźniej odczuwa strach.

Jeniec popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Hajra - powiedział i przestał się kołysać.

„Z rodu wzgórz” - zrozumiał Anton.

- Bardzo mi miło - powiedział. - Ja nazywam się Anton.

Niezrozumienie na twarzy Hajry wzrosło.

- Powiedz, Hajra, gdzie pracujesz? Co robisz?

- Ja nie pracuję. Jestem wojownikiem.

- Widzisz - kontynuował Anton - pewnie jesteś urażony, że porwaliśmy cię przemocą. Ale nie powinieneś się obrażać. Nie mieliśmy innego wyjścia.

Jeniec oparł rękę na biodrze, wysunął dolną wargę i zaczął patrzeć w powietrze obok Antona. Saul zakaszlał i zabębnił palcami o stół.

- Nie musisz się bać - mówił dalej Anton. - Nie zrobimy ci nic złego.

Na twarzy jeńca pojawił się wyniosły wyraz. Rozejrzał się, zrobił dwa kroki i usiadł na podłodze obok Antona, krzyżując nogi.

Oswaja się, pomyślał Anton. To dobrze. Wadim, rozwalony w fotelu, patrzył na to wszystko z satysfakcją. Saul przestał bębnić palcami i zaczął stukać o stół fajką.

- Chcemy ci tylko zadać kilka pytań - ciągnął Anton. - Musimy koniecznie dowiedzieć się, co się tu dzieje.

- Konfitury - powiedział nieprzyjemnym głosem Hajra. - Szybko.

Wadim zachichotał z zadowolenia.

- Such a line pig!³ Anton poczerwieniał i obejrzał się na Saula. Historyk zaczął powoli wstawać. Twarz miał nieruchomą i znudzoną.

- Dlaczego jeszcze nie przynieśli konfitur? - zapytał Hajra w przestrzeń. - Niech wszyscy milczą, kiedy ja mówię. Niech przyniosą konfitury i kołdry, bo twardo się siedzi.

Zapanowała cisza. Wadim przestał się uśmiechać i z powątpiewaniem popatrzył na analizator.

- Do you think - zapytał stropiony Anton - we should better bring him some jam?⁴ Saul, nie odpowiadając, powoli zbliżał się do jeńca, siedzącego z kamienną twarzą. Odwrócił się do Antona.

- You have a wrong way, boys - powiedział. - It wont 't pay whith SS-men. - Opuścił rękę na szyję Hajry. Na twarzy jeńca mignęło zaniepokojenie. - Hę is a pitekantropos, thafs what hę is powiedział czule Saul. - He mistakes your soft handllingfor a kind ofweakness⁵.

- Saul, co pan - powiedział zaniepokojony Anton.

- Speak but English⁶ - uprzedził szybko Saul.

- Gdzie są konfitury? - zapytał niepewnie jeniec.

³ Ale proszę!

⁴ Myślicie, że powinniśmy przynieść mu konfitury?

⁵ Wybraliście złą metodę, chłopcy. Z esesmanami to nie zadziała. To przecież pitekantrop. Łagodne traktowanie uzna za słabość.

⁶ Niech pan mówi wyłącznie po angielsku.

Saul mocnym szarpnięciem podniósł go na nogi. Na kamiennej twarzy Hajry pojawiło się zdumienie. Historyk powoli obszedł go dokoła, oglądając od stóp do głowy. Ale widok, pomyślał Anton z mimowolnym strachem i wstrętem. Saul wyglądał bardzo niesympatycznie. Za to Hajra znowu złożył ręce na piersi i uśmiechnął się lekko. Saul niespiesznie wrócił na swój fotel i usiadł. Hajra patrzył teraz tylko na niego. W mieszkaniu panowała martwa cisza.

Saul nabijał fajkę, od czasu do czasu popatrując na Hajrę spode łba.

Now I interrogate - powiedział and you don't interfere. If you choose to talk to me, speak English⁷.

- Agreed⁸ - powiedział Wadim i coś przełączył w analizatorze.

Anton skinął głową.

- What did you do to that box?⁹ - zapytał podejrzliwie Saul.

- Took measures - odparł Wadim. - We don't need him to learn English as well, do we?¹⁰

- Okay - powiedział Saul. Rozpalił wreszcie fajkę, a Hajra patrzył na niego z przerażeniem, uchylając się od kłębow dymu.

- Imię? - zapytał ponuro Saul.

Jeniec drgnął i zgiął się wpół.

- Hajra.

- Stanowisko?

- Noszący kopię. Strażnik.

- Kto jest dowódcą?

- Kadajra („Z rodu wichrów” - zrozumiał Anton.) - Stanowisko dowódcy?

- Noszący wspinały miecz. Dowódca ochrony.

- Ilu jest strażników w obozie?

- Dwie dziesiątki.

- Ilu jest ludzi w chatach?

- W chatach nie ma ludzi.

Anton i Wadim popatrzyli na siebie. Saul spokojnie kontynuował:

- Kto żyje w chatach?

- Przestępcy.

- Przestępcy to nie ludzie?

⁷ Teraz ja będę prowadził przesłuchanie. Wy się nie wtrącajcie. Jeśli chcecie mi coś powiedzieć, mówcie po angielsku.

⁸ Zgoda

⁹ Co pan robi z tym pudełkiem?

¹⁰ Podejmuję pewne kroki. Chyba nie chcemy, żeby on przy okazji nauczył się angielskiego?

Na twarzy Hajry pojawiło się szczere zdumienie. Zamiast odpowiedzi uśmiechnął się niepewnie.

- Dobrze. Ilu jest przestępców w obozie?

- Bardzo wielu. Nikt nie policzy.

- Kto przysłał tu przestępców?

Jeniec mówił długo i w natchnieniu, ale Anton zrozumiał tylko:

- Przysłała ich wielka i potężna skała, błyszcząca, wielka, z nogą na niebie, żyjąca, dopóki nie zginą maszyny.

- Oho - powiedział Saul - znają słowo maszyna...

- Nie - włączył się Wadim - to ja znam słowo maszyna. Ma na myśli maszyny w wykopie i na szosie. A ta wielka i tak dalej to prawdopodobnie miejscowy król.

Jeniec słuchał tego dialogu z wyrazem tępej rozpacz.

- Dobrze - powiedział Saul. - Kontynuujmy. Na czym polega wina przestępców?

Jeniec ożywił się i znowu zaczął mówić długo i dużo, ale Anton nie wszystko rozumiał:

- Są przestępcy, którzy chcą zmienić skałę, są przestępcy, którzy biorą cudze rzeczy... są przestępcy, którzy zabijają ludzi... są przestępcy, którzy chcą dziwnych rzeczy...

- Jasne. Kto przysłał strażników?

- Wielka i potężna skała z nogą na niebie.

- Po co?

Jeniec milczał.

- Pytam, co tu robi straż?

Jeniec milczał dalej. Nawet zamknął oczy. Saul sapnął wściekle.

- Co robią przestępcy? - warknął.

Jeniec, nie otwierając oczu, pokręcił głową.

- Mów! - ryknął Saul, aż Anton drgnął. Komisjo do Spraw Kontaktów, pomyślał z goryczą, gdzie jesteś?

Jeniec zajęczał żałośnie.

- Zabiją mnie, jeśli opowiem.

- Zabiją cię, jeśli nie opowiesz - obiecał Saul. Wyjął z kieszeni scyzoryk i otworzył go. Jeniec zadrżał.

- Saul! - zdenerwował się Anton. - Stop it¹¹.

Saul zaczął czyścić nożem fajkę.

- Stop what?¹² - zapytał.

¹¹ Niech pan przestanie.

¹² Co mam przestać?

- Przestępcy zmuszają maszyny, żeby się ruszały - powiedział ledwie słyszalnie Hajra. - Strażnicy patrzą.

- Na co patrzą?

- Jak maszyny się ruszają.

Saul wziął szkic i podsunął jeńcowi pod nos.

Hajra opowiadał długo i urywanie, Saul poganiał go i poprawiał. Wszystko najwyraźniej sprowadzało się do tego, że miejscowe władze próbowały poznać sposób kierowania maszynami, stosując przy tym absolutnie barbarzyńskie metody. Przestępców zmuszano do wtykania palców w otwory, naciskania guzików i klawiszy, wkładania rąk do silnika. Strażnicy uważali, co się wtedy dzieje. Najczęściej nie działało się nic. Często maszyny wybuchały. Rzadziej ruszały naprzód, zgniatając i okaleczając wszystkich po drodze. A już bardzo rzadko udawało się zmusić maszynę, żeby poruszały się w jakimś porządku. W trakcie tego procesu strażnicy siadali jak najdalej od badanej maszyny, a przestępcy biegali od nich do maszyny i z powrotem, meldując, w jaką dziurę będą wsuwać palec czy jaki guzik naciskać. Wszystko to starannie nanoszono na szkice.

- Kto robi szkice?

- Nie wiem.

- Wierzę. Kto przywozi szkice?

- Wielcy dowódcy na ptakach.

- Mowa o naszych znajomych ptaszkach - wyjaśnił Wadim. Zapewne je oswajają.

- Komu potrzebne są maszyny?

- Wielkiej i potężnej skale z nogą na niebie, żyjącej, dopóki nie zginą maszyny.

- Co on robi maszynami?

- Kto?

- Skała!

Na twarzy jeńca pojawiło się zdumienie.

- To przecież niezrozumiałe, Saul - wyjaśnił Wadim. - Niech pan mówi pełnym zwrotem.

- Dobrze. Co robi z maszynami wielka i potężna skała z nogą na niebie... czy na ziemi? Tfu, do diabła, nie pamiętam... żyjący dopóki... no...

- Nie zginą maszyny - odpowiedział Wadim.

- Jakiś bełkot - powiedział gniewnie Saul. - Co mają do rzeczy maszyny?

- To tytuł - wyjaśnił Wadim. - Symbol wieczności.

- Wadim, niech go pan teraz zapyta, co on robi z maszynami.

- Kto?

- Ta cholerna skała!

- Niech pan mówi normalnie - powiedział Wadim. - Wielka i potężna skała.

Saul wziął głęboki oddech i położył fajkę na stole.

- A więc co robi z maszynami wielka i potężna skała?

- Nikt nie wie, co robi wielka i potężna skała - odparł z godnością jeńiec.

Anton nie wytrzymał i roześmiał się. Wadim chichotał, ściskając poręcz fotela. Jeniec patrzył na nich ze strachem.

- Skąd przywożą szkice?

- Zza gór.

- Co jest za górami?

- Świat.

- Ilu jest na świecie ludzi?

- Bardzo dużo. Nie można policzyć.

- Kto przywozi maszyny?

- Przestępcy.

- Skąd?

- Z twardej drogi. Tam jest bardzo dużo maszyn. - Po chwili namysłu dodał: - Nie można policzyć.

- Kto robi maszyny?

Hajra uśmiechnął się zdziwiony.

- Maszyn nikt nie robi. Maszyny są.

- Skąd one się wzięły?

Hajra wygłosił długą przemowę. Pocierał twarz, klepał się po bokach i popatrywał na sufit. Przewracał oczami, a od czasu do czasu zaczynał nawet śpiewać. A oto co z tego zrozumieli.

Dawno, dawno temu, gdy jeszcze nikt się nie urodził, z czerwonego księżycy spadły wielkie skrzynie. W skrzyniach była woda. Tłusta i lepka jak konfitury. I ciemnoczerwona jak konfitury. Najpierw z wody powstało miasto. Potem woda zrobiła dwie dziury w ziemi i napelniła te dziury dymem śmierci. Od tej pory jeden dym rodzi maszyny, a drugi je połyka, i tak będzie zawsze.

- No, tyle to wiemy sami - powiedział Saul. - A jeśli przestępcy nie chcą poruszać maszyn?

- Zabijają ich.

- Kto ich zabija?

- Strażnicy.

- Ty też zabijałeś?

- Ja zabiłem trzech - odparł z dumą Hajra.

Anton zamknął oczy. Chłopiec, pomyślał. Taki sympatyczny chłopczyk. I mówi o tym z dumą...

- Jak ich zabijałeś? - Zapytał Saul.

Próba ucieczki - Jednego zabiłem mieczem. Chciałem udowodnić dowódcy, że mogę przeciąć ciało jednym ciosem. Teraz on już wie, że mogę.

Drugiego zabiłem pięścią. A trzeciego rozkazałem zrzucić na moją kopię.

- Komu rozkazałeś?

- Innym przestępcom.

Przez jakiś czas Saul milczał.

- Tam jest nudno - powiedział Jeniec. - Służba godna, ale nudna. Nie ma kobiet. Nie ma mądrych rozmów. Nudno - powtórzył i westchnął.

- Dlaczego przestępcy nie uciekają?

- Mogą sobie uciekać. Na równinie śnieg i ptaki. W górach straż.

Mądrzy nie uciekają. Wszyscy chcą żyć.

- Dlaczego niektórzy mają złote paznokcie?

Jeniec zniżył głos do szeptu.

- To byli ludzie wielkiego bogactwa. Ale chcieli dziwnych rzeczy, a niektórzy nawet próbowali zmienić skałę. Są ohydni jak padlina - powiedział głośno. - Wielka i potężna skała, błyszcząca walka przysłała ich tutaj ze wszystkimi krewnymi. Prócz kobiet - dodał z żalem.

- Wiecie co? Mam nieprzpartą ochotę powiesić najpierw jego, a potem wszystkich, co noszą miecze i kopie, tu na tej równinie doszedł do wniosku Saul. - Ale to, niestety, jest nierealne. - Znowu nabił fajkę. - Nie mam więcej pytań. Pytajcie wy, jeśli chcecie.

- Nie można nas wieszać - powiedział szybko poblady Hajra.

- Wielka i potężna skała z nogą na niebie surowo was ukaże.

- W nosie mam twoją wielką i potężną - powiedział Saul, rozpalając fajkę. Palce mu drżały. - Będziecie go pytać czy nie?

Anton pokręcił głową. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł takiego wstrętu. Wadim podszedł do Hajry i zerwał z jego głowy mnemokryształ.

- Co robimy? - zapytał.

- Taki właśnie jest człowiek - powiedział z zadumą Saul. - Po drodze do normalności musi przejść przez to wszystko i wiele innych rzeczy. Pozostaje zwierzęciem jeszcze na długo po tym, jak już wstanie na ty Inę łapy i weźmie do ręki narzędzie pracy. Tym jeszcze można wybaczyć, oni nie mają pojęcia o wolności, równości i braterstwie. Zresztą wszystko przed nimi. Jeszcze będą ratować ludzkość komorami gazowymi. Jeszcze rozwiną przemysł i postawią swój świat na krawędzi zagłady. A jednak jestem zadowolony. Na tej planecie panuje średniowiecze, to oczywiste. Całe to tytułowanie, złocone paznokcie, ciemnota... ale już teraz zdarzają się ludzie, którzy pragną dziwnych rzeczy. Jakie to piękne - człowiek, który chce dziwnych rzeczy! Takiego człowieka oczywiście się boją. Takiego człowieka też czeka długa droga. Będą go palić na stosach, wsadzać za kraty, potem za drut kolczasty... Zamilkł na chwilę. - Ale swoją drogą to niezwykle! - wykrzyknął. - Zawładnąć maszynami, nie mając najmniejszego pojęcia o maszynach! Wyobrażacie sobie? Co to za niezwykle umysł! Teraz oczywiście wsadziliby go do obozu. To już przeszło w rutynę; w rodzaju rytuału na cześć potężnych przodków... teraz zapewne nikt nie wie i nie chce wiedzieć, po co to wszystko potrzebne. Najwyżej jako powód do stworzenia obozu śmierci.

A kiedyś to była idea...

Zamilkł i zaczął z wysiłkiem ciągnąć fajkę.

- Ale skąd ten pesymizm, Saul? - zdziwił się Anton. - Przecież oni wcale nie muszą przechodzić przez komory gazowe i to wszystko. W końcu my już tu jesteśmy.

- My! - Saul uśmiechnął się gorzko. - Co my możemy zrobić? Jest nas tu trzech i wszyscy chcemy czynić dobro. A co możemy zdziałać? Jasne, możemy pójść do wielkiej skały jako parlamentariusze i poprosić, żeby zrezygnował z niewolnictwa i dał ludziom wolność. Wezmą nas za fraki i wrzucą do wykopu. Możemy teraz włożyć białe chlamidy i pójść między ludzi. Pan, Antonie, będzie Chrystusem, Wadim apostołem Pawłem, a ja oczywiście Piotrem.

Zacniemy głosić socjalizm, może nawet zrobimy kilka cudów, w rodzaju zerowego transportu. Miejscowi fanatycy nabiją nas na pal, a ludzie, których chcieliśmy ratować będą pokrzykiwać i obrzucać nas gnojem... - Wstał i przeszedł się wokół stołu. - To prawda, mamy skorczer. Możemy na przykład wybić straż, ustawić gołych w kolumnę i przedrzeć się przez góry, spalić suwerenów i wasalów razem z ich zamkami i wspaniałymi tytułami. Wtedy miasta fanatyków przemienia się w płonące stosy, a nas rozniosą na kopianach albo zarzną za rogiem, a w kraju zapanuje chaos, z którego wynurzą się jakieś saduukei. Oto, co możemy.

Siadł. Anton i Wadim uśmiechnęli się.

- Myśli pan, że jest nas trzech... - powiedział Anton. - Nas, drogi Saul, jest dwadzieścia miliardów. Pewnie ze dwadzieścia razy więcej niż mieszkańców tej planety.

- I co z tego? - zapytał Saul. - Czy wy rozumiecie, co chcecie zrobić? Zakłócić prawa rozwoju społecznego. Zmienić naturalny bieg historii. A wiecie, czym jest historia? To ludzkość! Nie można przetrącić grzbietu historii nie łamiąc go ludziom.

- Nie mamy zamiaru przetrącać nikomu grzbietów - sprzeciwił się Wadim. - Były czasy, gdy całe plemiona i państwa przeskakiwały z feudalizmu w socjalizm. I żadne grzbiety się nie łamały. Boi się pan wojny? Wojny nie będzie. Dwa miliony ochotników, piękne, dobrze urządzone miasta, otwarte na oścież bramy - serdecznie zapraszamy! Oto lekarze, nauczyciele, inżynierzy, uczeni, artyści... chcecie, żeby tutaj było tak jak u nas? My też tego chcemy! Garstka wrednych feudałów przeciwko komunistycznej kolonii i... Oczywiście, to nie zdarzy się od razu. Zajmie jakieś pięć lat...

- Pięć! - wykrzyknął Saul, wznosząc ręce do sufitu. - A dlaczego nie pięćset pięćdziesiąt pięć? Znaleźli się reformatorzy! To planeta, rozumiecie? Nie plemię, nie naród, nie kraj, a planeta! Cała planeta ciemnoty, jedno bagno! Artyści! Uczeni! A co zrobicie, gdy trzeba będzie strzelać? A będzie pan musiał strzelać, Wadim, gdy pańską przyjaciółkę nauczycielkę ukrzyżują brudni mnisi... i pan też będzie musiał strzelać, Anton, gdy waszego przyjaciela lekarza zatłuką na śmierć pałkami bojówkarze w zardzewiałych hełmach! Wpadniecie w szal i z kolonistów przemienicie się w kolonizatorów...

- Pesymizm - powiedział Wadim - to postawa wyrażająca się w skłonności do dostrzegania jedynie ujemnych stron życia, widzenia wszystkiego w czarnych barwach.

Saul zmierzył go dzikim wzrokiem.

- Niech pan sobie nie żartuje - powiedział w końcu. - To nie dowcip. Komunizm to przede wszystkim idea! I to nie prosta idea.

Zdobywana we krwi! Nie da się jej nauczyć przez pięć lat w szkole.

Dacie wszystko niewolnikowi od pokoleń myślącemu tylko o sobie, i wiecie, co wam z tego wyjdzie? Albo wasza kolonia będzie musiała niańczyć tłustych obiboków, nie mających najmniejszego bodźca do działania, albo znajdzie się jakiś energiczny łajdak, który przy użyciu waszych gliderów, skorczerów i innych urządzeń wykopie was z tej planety, a całą obfitość zagarnie pod siebie i historia mimo wszystko podąży swoją naturalną drogą.

Saul szarpnięciem otworzył klapę zsypu i zaczął zaciekle wytrząsać popiół z fajki.

- Nie, kochani. Za komunizm trzeba cierpieć. O komunizm trzeba walczyć z takim jak on - wskazał fajką Hajrę. - Zwykłym chłopkiem roztropkiem. Walczyć, kiedy taki typ ma kopię, walczyć, kiedy ma muszkiet, walczyć, gdy ma schmeissera i hełm z rogami. To jeszcze nie wszystko. Kiedy on rzuci schmeisser, padnie w błoto i zacznie się przed wami czołgać - wtedy właśnie zacznie się najprawdziwsza walka. Nie o kawałek chleba, lecz o komunizm! A wy go z tego błota podniesiecie i obmyjecie.

Saul zamilkł i padł na fotel.

Wadim w zadumie drapał się po karku.

- Pan jako historyk widzi to lepiej, Saul - odezwał się Anton. Oczywiście, wszystko będzie bardzo trudne. Wadim mówił głupstwa, jak zwykle. Ani ja z Wadimem, ani my we trójkę nigdy nie rozwiążemy tego zadania nawet teoretycznie. Ale wiemy jedno: nie zdarzyło się jeszcze, żeby ludzkość postawiła przed sobą jakiś problem i nie zdołała go rozwiązać.

Saul mruknął coś niezrozumiale.

- Jak to będzie wyglądało w praktyce... - Anton wzruszył ramionami. - Cóż, jeśli trzeba będzie strzelić, przypomnimy sobie, jak się to robiło, i będziemy strzelać. Ale moim zdaniem obejdzie się bez strzelania. Zaprosimy na przykład wszystkich pragnących czegoś nowego na Ziemię. Zaczniemy od nich. Na pewno zechcą stąd wyjechać...

Saul szybko podniósł oczy i znowu je opuścił.

- Nie - powiedział. - Tylko nie tak. Prawdziwy człowiek nie zechce stąd odjechać. A nieprawdziwy... znów podniósł oczy i popatrzył Antenowi prosto w twarz. - A nieprawdziwy nie ma na Ziemi nic do roboty. Komu tam potrzebny jest taki dezterter?

Wszyscy zamilkli. Anton poczuł ogromne współczucie dla Saula i zaczął się o niego bać. Saul z pewnością przeżył jakiś dramat.

I to bardzo skomplikowany dramat, pewnie tak samo niezwykły, jak on sam, jak jego słowa i czyny.

Wadim z udawanym ożywieniem zakrzyknął:

- A właśnie... zapomniałem! Dlaczego ci uciemienieni dźgnęli mnie mieczem? Trzeba się dowiedzieć!

Podbiegł do Hajry, któremu nogi ugiwały się ze zmęczenia i złych przeczuć, i znowu przymocował mu do skroni rogi mnemokryształów.

- Słuchaj, pitekantropusie - powiedział - dlaczego przestępcy, którzy cię wieźli napadli na nas? Tak bardzo cię kochają?

Hajra odpowiedział:

- Na rozkaz wielkiej i potężnej skały, lśniącej walki, z nogą na niebie, żyjącego dopóki nie zginą maszyny, przestępcy są więzieni dopóty, dopóki nie zginą maszyny.

- To znaczy na zawsze - wyjaśnił Wadim.

- Ale jeśli przestępca zrobi tak, żeby maszyna działała, zasługuje na łaskę i wraca za góry. Ci, którzy mnie wieźli, szli do domu.

Byli już prawie ludźmi. W strażnicy powinienem był zwolnić ich i przesiąść się na ptaki. Ale nie zdołali mnie ochronić, chociaż próbowali, bo chcieli żyć. A teraz ich zakłują. - Ziewnął nerwowo i dodał: - Jeśli słońce już wzeszło, to tamci nie żyją.

Anton zerwał się, przewracając fotel.

- O Boże! - krzyknął Saul i upuścił fajkę.

Rozdział 7

Noszącego kopię z rodu wzgórz posadzono pomiędzy Saulem a Antonem. Znowu był zakutany w swoje futro, pachnące teraz dezynsektalem, i siedział pokornie, niespokojnie poruszając krótkim nosem, jakby węszył. Wąchał. Była piąta rano, rozpałała się blada lodowa zorza. Zrobiło się bardzo zimno.

Wadim w milczeniu prowadził glider z maksymalną szybkością i myślał tylko o jednym - zdążymy czy nie? Żeby chociaż ci biedacy nie wracali od razu do osiedla. Ale wiedział, że nie mają się gdzie podziac.

To była ich jedyna szansa ratunku - spróbować zmiękczyć dowódcę straży opowieścią o tym, jak bohaterko bronili wysłannika. To bydlę zabije ich od razu, pomyślał z goryczą Wadim, jeśli nie zdążymy. Wyobraził sobie, jak postawi Hajrę przed grubasem noszącym wspaniały miecz i powie: „Kajreme sorinata-mukarosika! - oto wasz człowiek!” A potem piskliwie zawyje: „Tatimta me konsul - Nie śmieście zabijać tych wolnych!” Przez cały czas powtarzał w myślach te dwa zdania, i w końcu straciły one dla niego jakikolwiek sens. To nie takie proste.

Może trzeba będzie przeprowadzić długą rozmowę, a noszący miecz raczej nie zgodzi się na dobrowolne przymocowanie do swojej nigdy niemytej głowy mnemokryształów. Wadim zerknął na błyszczącą skrzynkę analizatora. Trzeba go będzie związać, pomyślał. Przecież nie na darmo dźwigałem te dwadzieścia cztery kilogramy od mesy do glidera.

- Co było w liście? - zapytał Anton.

Wadim wyjął z kieszeni pomietą kartkę i nie odwracając się, podał mu przez ramię.- Trochę podredagowałem - powiedział. - Tłumaczenie masz napisane ołówkiem między linijkami.

Anton wziął kartkę i zaczął czytać półgłosem:

- Do błyszczącego koła w złotych futrach, noszącego groźną strzałę, sługi pod samym tronem wielkiej i potężnej skały, lśniącej walki, z nogą na niebie, żyjącego dopóki nie zginą maszyny, posyła doniesienie nikczemny strażnik z rodu wichrów, noszący wspaniały miecz. Donoszę pierwsze: wielka maszyna „wojownik-kopuła” ruszyła od palca w otworze piątym i od palca w otworze czterdziestym siódmym. Ruch był nieprzerwany, szybki i prosty. Donoszę drugie: na niezwyklej maszynie zjawilo się trzech nie znających mowy, nie noszących broni, nie rozumiejących porządku i pragnących dziwnych rzeczy. Nie znając ich istoty przybywam w oczekiwaniu na wysokie rozkazy. Donoszę trzecie: węgiel się kończy, a palić trupami, tak jak łaskawie polecacie przez ciemnotę i niezrozumienie swoje nie potrafimy. Dołączam: po pierwsze, szkic maszyny „wojownik-kopuła”, po drugie, wzorce materiałów przyklejonych przez niewiadomych ludzi do ran przestępców. Zgadza się - powiedział Anton.

- Feudalizm w najczystszej postaci - stwierdził Saul. - Nie cackajcie się z nimi za bardzo, bo was nabiją na kopie.

Wcale nie mam ochoty się z nimi cackać, pomyślał Wadim. Choć oczywiście nie z powodu kopii. Jeniec nagle odwrócił się i grubym basem nieśmiało poprosił:

- Ringa...

- Sentu! - krzyknął piskliwie Wadim.

Jeniec zamarł.

- Znowu prosi o konfitury - wyjaśnił Wadim.

- Wytrzyma - stwierdził Saul. - Żreć i pić, w mordę bić...

- To nic - powiedział Wadim. - Jeszcze może zapragnąć dziwnych rzeczy.

- Daj mi parę kryształów, Wadim - poprosił Anton. - Chcę z nim porozmawiać.

- Są w kieszeni po prawej - powiedział Wadim, nie odwracając się.

- Posłuchaj mnie, Hajra - zaczął Anton. - Czy twój dowódca wypuści uwolnionych, którzy cię bronili, jeśli odeślemy cię do osady?

- Tak - powiedział szybko Hajra. - A odeślecie?

- Oczywiście, że tak. Przecież cię nie zabijemy.

Wadim zerknął przez ramię, Hajra nabrał pewności siebie. - Dowódca jest surowy powiedział. - Dowódca może ich nie wypuści, tylko wyśle z powrotem do wykopu. Ale możecie liczyć na łaskę. Możliwe, że nawet was wypuści, jeśli dacie mu cenne podarunki. Macie cenne podarunki?

- Mamy - powiedział w roztagnieniu Anton. - Mamy wszystko.

- Co on gada? - Warknął Saul. - Wadim, gdzie moje kryształy? O, są...

- Może rzeczywiście trzeba będzie ich wykupić - powiedział w zadumie Anton. - Przecież nie zamierzamy urządzić bijatyki... bardzo bym tego nie chciał.

Hajra odezwał się znowu twardym i piskliwym głosem:

- A mnie dacie tę kurtkę - pokazał palcem kurtkę Saula. -I tę skrzynkę - pokazał analizator - i całe konfitury. I tak wam to wszystko zabiorą zanim odeślą was do chat. Słusznie zdecydowaliście, żeby nie wszczynać walki. Nasze kopie są ostre i ząbkowane, więc przy wyciąganiu wywlekają z wroga wnętrza. I jeszcze wezmę te buty.

I te też. Albowiem wszystko pomiędzy ziemią a niebem należy do wielkiej i potężnej... i to też wezmę.

Hajra wreszcie zamilkł zakłopotany. Wadim, którego cała ta przemowa szczerze bawiła, obejrzał się. Anton w skupieniu patrzył w okno - najwidoczniej nie słuchał. Hajra siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i oglądał jego buty. Saul patrzył na Hajrę, trzymając przy skroni jeden z kryształów. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Pochwycił spojrzenie Wadima i uśmiechnął się niemiło. Hajra powiedział pouczająco:

- Kiedy was będą rozbierać, nie zapomnijcie powiedzieć, że to - pokazał palcem - to i to jest moje. Ja jestem pierwszy.

- Milczeć - powiedział cicho Saul.

- Sam milcz - odparł z godnością Hajra. - Albo zatłuczemy cię na śmierć pałkami.

- Saul - włączył się Anton - niech pan przestanie. Kłóci się pan zupełnie jak dziecko...

- Tak, on nie jest mądry - powiedział Hajra. - Ale jego kurtka jest dobra.

On rzeczywiście jest przekonany, że ma nas w swojej władzy, pomyślał Wadim. Już widzi, jak nas rozbierają! spychają do wykopu, jak śpimy na klepisku pokrytym nieczystościami, a on goni nas bosych po śniegu, kłuje kopiań, bije w twarz, żebyśmy nie zostawiali w tyle. A my milczymy. A wokół są ludzie, którzy myślą tylko o sobie, którzy marzą tylko o tym, żeby trafić palcem właśnie w tę dziurkę, która wprawi maszynę w ruch. Wtedy ich, radosnych i szczęśliwych, zaprzęgą do sań i pogonią przez śnieg ku wolności, bosych przez zaśnieżone wzgórza, przed tron wielkiej i potężnej... Wadim tak mocno przygryzł wargę, że z bólu zobaczył wirujące przed oczami kręgi. Już ja bym im urządził święto, pomyślał z nienawiścią. To było dziwne uczucie, nienawiść. Od niej robiło mu się zimno w piersi i napinały się wszystkie mięśnie. Jeszcze nigdy nie czuł nienawiści do ludzi. Usłyszał, jak Saul sapie za jego plecami. Hajra mruczał jakąś melodię.

Na dole zobaczyli brudny wykop. Na jego dnie w jedną stertę zsunięto maszyny - koszarne narzędzia poniżenia i śmierci. Ech, wy, tubylcy, pomyślał Wadim. Zresztą, czego można od was wymagać! Nawet nie jesteście humanoidami. Woda z nieba... konfitury.

Zszedł niżej, zwolnił i pojechał ulicą prostu do domu ochrony.

Hajra, poznając ojczyście miejsca, wydawał radosne okrzyki, których nie mógł zrozumieć nawet potężny analizator.

Przed domkiem było pełno ludzi. W zielonkawym świetle zorzy migotał śnieg. Na śniegu, zbici w kupkę, żałośni i nadzy, stali ze spuszczoneymi głowami ci, którzy niedawno byli wolni. Wokół nich, wsparci na kopiach, z rozstawionymi nogami, ustawili się strażnicy w futrach. Na ganku stał noszący wspaniały miecz. Wspaniały miecz trzymał przed sobą i wodził po ostrzu wielkim palcem. Kiedy zauważył lądujący glider, zamarł, otwierając czarną paszczę.

Wadim wylądował przed gankiem, otworzył wąż i krzyknął:

- Kajra me sorinata mu! Tatimata ne kori-su!

Wydostał się z za kierownicy, wziął noszącego kopiań z rodu wzgórz pod pachę i postawił na stopniach werandy. Dowódca opuścił miecz i ze słyszalnym stuknięciem zatrzasnął usta. Hajra schylił się i podbiegł do niego drobnymi kroczkami.

- Dlaczego jeszcze cię nie zabili? - zapytał ze zdumieniem dowódca.

Hajra, składając ręce na piersi, zaczął mówić basem:

- Stało się to, co musiało się stać! Opowiedziałem im o wielkości i potędze wielkiej i potężnej skały, lśniącej walki, z jedną nogą na niebie, żyjącego dopóki nie zginą maszyny, i oni w strachu puścili wodę. Nakarmili mnie dobrym jedzeniem i rozmawiali jak pokorni. I przybyli tutaj, żeby pokłonić się tobie.

Kopijnicy z szacunkiem skupili się przed gankiem. Dwudziestu nagich więźniów stało w tym samym miejscu, z pokorą czekając na swój los. Dowódca powoli wsunął miecz do pochwy. Już nie patrzył na glider. Zaczął obojętnie i niespiesznie wypytywać Hajrę.- Gdzie oni mieszkają?

- Mają duży dom na równinie. Bardzo ciepły.

- Skąd wzięli tę maszynę?

- Nie wiem. Na pewno z drogi.

- Powinieneś być im powiedzieć, że całe niebo i cała ziemia należy do wielkiej i potężnej skały.

- Powiedziałem im. Ale ich buty i jedna kurtka, i ta lśniąca skrzynka należą do mnie. Nie zapomnij o tym później, jasny i silny.

- Jesteś głupcem - powiedział dowódca z pogardą. - Wszystko należy do wielkiej i potężnej skały. A ty dostaniesz to, co dostaniesz. Gdzie list?

- Odebrali mi - odparł rozczarowany Hajra.

- Jesteś głupcem jeszcze raz. To będzie cię kosztowało skórę.

Hajra oklapł. Dowódca popatrzył gdzieś w przestrzeń pomiędzy Wadimem a Antonem i powiedział:

- Niech pokażą swoje buty.

Saul ryknął i rzucił się do wyjścia.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział Anton.

Dowódca melancholijnie wysmarkał się na ganek.

- Jakie jedzenie jadłeś?

- Konfitury. To nie były całkiem konfitury, ale słodkie i cieszyły język.

Dowódca lekko się ożywił.

- Dużo mają tych konfitur?

- Bardzo dużo - powiedział entuzjastycznie Hajra. - Ale nie każ mnie bić.

- Postanowiłem - powiedział dowódca. - Niech ruszają do domu i przyniosą do moich stóp całe konfitury. I inne jedzenie. Nie mają węgla?

Hajra popatrzył na Antona pytająco. Anton powiedział ostro:

- Zażądaj, żeby uwolnił tych przestępców!

- Co on mówi? - zapytał dowódca.

- Prosi, żebyś nie zabijał tych przestępców.

- A jak ty rozumiesz jego mowę?

Hajra dwoma rękami wskazał różki mnemokryształów na swoich skroniach.

- Jeśli przystawisz to do głowy, słyszysz obcą mowę, a rozumiesz jak swoją.

- Daj mi to - zażądał dowódca. - To też należy do wielkiej i potężnej skały.

Zabrał Hajrze mnemokryształy i po kilku nieudanych próbach przymocował je sobie na czole.

Anton odezwał się:

- Natychmiast wypuść tych ludzi, którzy zasłużyli na wolność.

Dowódca popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Nie możesz tak mówić - powiedział. - Ale wybaczam ci, bo jesteś niski i nie znasz słów. Odejdź. I przynieś list. I szkic. - Odwrócił się do kopijników, którzy słuchali go z szacunkiem, i wrzasnął: - Czego tu sterczycie, trupożercy? Nie macie po co wachać ich spodni! Spodnie wszystkich ludzi, którzy ze mną rozmawiają, śmierdzą jednakowo! Do pracy! Pogonić tę padlinę do wykopu. No, już!

Kopijnicy truchtem pobiegli ulicą, goniąc przed sobą byłych uwolnionych. Dowódca serdecznie palnął Hajrę mocno w ucho i kazał mu się wynosić. Hajra zachwiał się od uderzenia i skoczył do drzwi. Dowódca popatrzył na niebo, potem na chaty, przeciągle ziewnął, zerknął na glider, leniwie splunął na bok i powiedział znudzonym głosem:

- Róbcie, jak kazałem. Wracajcie do swojego domu, przynieście tu konfitury i inne jedzenie i wchodźcie do wykopu, jeśli chcecie żyć.

Wadim patrzył na tego brudnego wielkoluda i czuł, jak robi mu się słabo. Miał takie wrażenie, jakby we śnie próbował wspiąć się na śliską pionową ścianę. Anton wymamrotał:

- Patrz, Dimka, i uważaj. To nie mały Hajra.

- Nie wytrzymam - powiedział bezbarwnym głosem Saul. Zaraz go uduszę.

- Mowy nie ma - odparł Anton.

Dowódca szczechnął w otwarte drzwi:

- Upiecz mięso, Hajra, trupożerco! I zagrzej mi łożę. Mam dziś dobry humor. - Stał bokiem do glidera, i patrząc na góry, przemówił, unosząc brudny palec wskazujący: - Teraz jeszcze jesteście nierozumni i zeszywniali ze strachu. Ale musicie wiedzieć, że w przyszłości, rozmawiając ze mną, macie zgiąć się w pół i przycisnąć dłonie do piersi. I nie wolno wam patrzeć na mnie, bo jesteście niscy i spojrzenie wasze jest nieczyste. Dzisiaj wam wybaczam, ale jutro rozkażę za to zbić drzewcami kopii. Musicie pamiętać, że najwyższa cnota polega na posłuszeństwie i milczeniu. - Wsunął palec wskazujący do paszczy i zaczął dłużyć w zębach, przez co jeszcze trudniej go było zrozumieć. - Gdy wrócicie tu z konfiturami, listem i szkicem, rozbierzecie się i zostawicie wszystko na ganku. Nie wyjdę do was. Potem pójdziecie do chat i zdejmiecie koszule z trupów. Nie wolno wkładać dwóch koszul - zarechotał - bo się spociecie przy pracy. Możecie wziąć koszule żywym, ale tylko tym, którzy mają złote paznokcie.

Przez uchylone drzwi wysunął się Hajra.

- Wszystko gotowe, o jasny i silny - powiedział.

- Wasz los będzie lekki - ciągnął dowódca. - Wielka i potężna skała potrzebuje ludzi, którzy umieją poruszać maszynami. Bowiem nastanie wreszcie wojna o ziemię, które do niego należą, a wtedy wielka i potężna skała - znowu podniósł palec wskazujący - lśniącą walką z nogą na niebie, żyjący dopóki nie zginą maszyny...

- Drań! - wrzasnął ogłuszająco Saul nad uchem Wadima. Błysnęła lufa skorczera.

- Nie wolno! - krzyknął Anton.

Saul odepchnął Wadima i chwycił za kierownicę.

- Nie wolno? - syknął. - A co wolno? Cierpieć i czekać, aż zginą maszyny? Proszę bardzo!

Straszne szarpnięcie zważyło Wadima pomiędzy siedzenia. Nie zamykając wjazdu, Saul podrzucił glider w powietrze. Rozległ się trzask, nad kabiną przeleciało rozszczerzone drzewo. Lodowaty wiatr zawył w uszach, glider przechylił się i Wadim zdążył zobaczyć, że dowódca stoi na czworakach na ganku, z podniesionym w górę olbrzymim tyłkiem, a dach domu, wirując i

rozlatując się na kawałki, spada na środek ulicy. Wadim spróbował zamknąć właz, ale kłapa stawiała opór.

- Saul! - krzyknął Wadim. - Niech pan zwolni!

Historyk nie odpowiedział. Pędził nad ulicą, po której już zdążyły do wykopu strumienie więźniów. Skulił się, chowając twarz za małym daszkiem. Skorczera leżał na jego kolanach. Glider szedł nierównymi zrywami, szarpany przez wiatr.

Wadim nadal próbował jedną ręką zamknąć kłapę; drugą przytrzymywał skrzynkę analizatora, która upadła mu na kolana.

- Łajdaki. Bydlęta, dręczyciele... chcecie maszyn? - warczał Saul przez zęby. - Dostaniecie maszyny! Chcecie walczyć o ziemię? Dostaniecie ziemię!

Wadimowi w końcu udało się wdrapać na fotel i rozejrzeć. Glider mknął prosto na wykop. Anton trzymał się mocno poręczy i mrużąc oczy od wiatru, w milczeniu patrzył na plecy Saula.

- Konfitur wam się zachciało? - ryczał Saul. - Ja wam pokażę konfitury!... Słodkie jedzenie... trupożerzy...

Glider wzleciał nad wykop. Saul zamilkł i przechylony przez burtę, wystrzelił ze skorczera, celując w dół. Wadim odchylił się.

Oślepiający niebieski płomień wyskoczył z wykopu, huk rozdarł uszy i wszystko zostało z tyłu.

Wadim natężył się tak, że aż mu w środku coś zachręściło, i zatrzasnął wreszcie kłapę. Zrobiło się cicho.

- Już ja im wpoję inne pojęcie wieczności - powiedział Saul i zamilkł.

- A może nie trzeba? - podsunął nieśmiało Wadim. Jeszcze nie wiedział, co chce zrobić Saul. Czego można wymagać od tamtych, pomyślał; tępi, ciemni ludzie, czy można się na nich obrażać?

Glider z rykiem leciał nad szczytami wzgórz, rozrzucając tumany śnieżnego pyłu. Saul był kiepskim kierowcą, dawał silnikowi za dużo energii, co powodowało pracę na półjałowym biegu. Za to za gliderem ciągnęła się szczelna ściana śniegu. Kilka ptaków skoczyło w ich stronę i znikło w śnieżnym wirze. A z tyłu, nad skrzącą się mgłą, podnosił się w niebo słup dymu.

- Żałuję tylko jednego - znowu odezwał się Saul. - Szkoda, że nie można za jednym zamachem zniszczyć całej tępoty, całego okrucieństwa, nie zabijając przy tym człowieka... Zniszczyć głupotę w tym niezmiernie głupim kraju!

- Leci pan do szosy? - zapytał spokojnie Anton.

- Tak. I nie próbujcie mnie powstrzymać.

- Nie przyszło mi to nawet do głowy - zapewnił Anton. - Tylko niech pan będzie ostrożny.

Teraz Wadim zrozumiał i utkwiał wzrok w skorczera. Chyba zaczyna się coś, czego nigdy w życiu nie zdołam opisać... ani zrozumieć.

Szosa wyglądała tak jak wczoraj i jak sto lat temu: bezgłośnymi równymi rzędami szły maszyny. Wychodziły z dymu, odchodziły w dym. Mogło tak być wiecznie. Ale Saul wylądował dwadzieścia metrów od szosy, odsunął kłapę włazu i położył lufę skorczera na burcie.

- Nie znoszę rzeczy wiecznych - powiedział zupełnie spokojnie i wystrzelił.

Pierwszy ładunek trafił w ogromną maszynę przypominającą żółwia. Pancierz zapłonął i rozleciał się jak skorupka jajka, a platforma na jednej gąsienicy zawisła w miejscu, przewracając idące za nią małe zielone atomocary.

- Nie można zmienić praw historii... - powiedział Saul.

Z hukiem zapaliła się ogromna czarna wieża na kołach, a druga, identyczna, przewróciła się i zagroziła części szosy.- ...ale można naprawić niektóre historyczne błędy... - ciągnął, celując.

Błękitna błyskawica o ładunku miliona wolt wybuchła pod spodem pomarańczowej maszyny, przypominającej syntezator polowy; wysoko w powietrze wyleciały części.

- ...nawet trzeba je naprawić - cały czas mruczał Saul, strzelając bez chwili przerwy. - Feudalizm i bez tego jest wystarczająco brudny.

Wreszcie zamilkł. Z prawej strony rosła sterta rozpalonego do czerwoności żelastwa, a z lewej szosa opustoszała - pewnie po raz pierwszy od tysięcy lat. Przejeżdżały jedynie pojedyncze maszyny, które cudem przedarły się przez ognistą zasłonę. Potem płonąca góra rozpadła się z sykiem i traskiem, podniósł się wysoki słup iskier i popiołu, i przez obłoki dymu na szosę wpłynęły nowe rzędy maszyn.

Saul ryknął i przypadł do skorczera. Znowu zagrzmiały wystrzały, zapłonęły wybuchając maszyny, zaczęła rosnąć sterta rozgrzanych części. Czarne, ciężkie kłęby dymu, poprzecinane fontannami iskier, zawisły na niebie. Z góry spadały kosmate płyty popiołu, śnieg wokół poczerniał i zadymiał. Przy szosie odsłoniła się ziemia.

Wadim opierał się nogami o skrzynkę analizatora; wzdrygał się i mrużył oczy przy każdym wybuchu. Potem jakoś się przyzwyczaił.

Znowu rosła na szosie płonąca góra, rozpadała się, rozrzucając płonące kawałki, emitowała fale nieznośnego żaru, a maszyny szły nieprzerwanym strumieniem, niepokonane, obojętne na to całe zniszczenie. Nie było końca temu pochodowi.

- Chyba już wystarczy, Saul - zdecydował Anton.

To beznadziejne, pomyślał Wadim. Saul przestał strzelać, bo skończyły się ładunki, i opuścił głowę na ręce. Rozgrzana lufa skorczera celowała w niebo. Wadim popatrzył na umorusanego sadzą Saula i poczuł ogromne zmęczenie. Nic z tego nie rozumiem, pomyślał. Wszystko na próżno. Biedny Saul. Biedny Saul.

- To właśnie historia - wychrypiał Saul, nie podnosząc głowy.

- Nie można jej zatrzymać.

Wyprostował się i popatrzył na swoich towarzyszy.

- Nie wytrzymałem - powiedział. - Wybaczcie mi, ale nie wytrzymałem. Po prostu dłużej nie mogłem. Musiałem coś zrobić.

Siedzieli jeszcze długo, patrząc na szosę. Maszyny rząd za rządem jechały swoją trasą, spychając popiół i szczątki na pobocze, i wkrótce wszystko było tak jak przedtem, tylko na całej szerokości szosy powoli stygła purpurowa plama, czerniał brudny śnieg wokół wisiała zasłona dymu, przez którą majaczyła czerwona tarcza żółty karzeł EN 7031.

Saul zamknął oczy.

- To tak jak piece... - wymamrotał. - Jeśli zniszczysz tylko piece, zbudują nowe.

Gdzieś niedaleko rozległy się znajome do obrzydzenia, żałosne okrzyki. Wadim niechętnie odwrócił głowę. Na skraju szosy stała grupa wycieńczonych ludzi w workach, a strażnicy w futrach z kopiami kręcili się dookoła. Czego oni tu chcą? - pomyślał obojętnie Wadim. Strażnicy drzewcami pik wygonili z tłumu jakiegoś nieszczęśnika, który drząc i oglądając się za siebie, przeszedł po czarnym śniegu i wyszedł na szosę. Ogromna błyszcząca wieża sunęła prosto na niego. Nieszczęśnik z rozpaczą popatrzył na strażników; tamci coś do niego ryknęli. Przestępca zamknął oczy i rozłożył ręce. Maszyna przewróciła go i pojechała dalej. Saul wstał. Skorczony upadł na podłogę kabiny z głuchym stukiem.

- Muszę im obić mordę - powiedział Saul, zginając i prostując palce.

Anton chwycił go kurtkę.

- Daj spokój, Saul - powiedział. - To też nie ma sensu.

- Wiem. - Saul usiadł niechętnie. - Myślicie, że nie wiem? Dlaczego nie mogę nic zrobić? Dlaczego ani tam, ani tu nic nie mogę zrobić?

Strażnicy wypchnęli na drogę następnego więźnia. Pierwszy leżał na szosie, płaski jak pusty worek. Drugi rozłożył ręce i stanął na drodze czerwonej platformy z sześcienną skrzynią. Platforma zwolniła i zatrzymała się dwa kroki od niego. Strażnicy zaczęli krzyczeć. Więzień podniósł ręce i tyłem zaczął schodzić z szosy. Czerwona maszyna pełzła za nim jak przywiązana. Zjechała na pobocze, ciężko kołysząc się na wybojach. Więzień przez cały czas szedł tyłem, odciągając ją od szosy w stronę wykopu. A po szosie nadal szły maszyny.

- Głupio się zachowałem - powiedział ze smutkiem Saul. Możecie mnie skłąć. Ale tutaj trzeba zacząć od czegoś takiego. Wiem, że tu wróćcie, więc pamiętajcie: zawsze trzeba zaczynać od tego, co budzi wątpliwości. Dlaczego na mnie nie krzyczycie?

Wadim tylko westchnął, a Anton powiedział łagodnie:

- Dlaczego mielibyśmy krzyczeć, Saul? Nie zrobił pan nic złego. Najwyżej zachował się pan dziwnie.

Rozdział 8

- Dimka, zobacz co z Saulem - poprosił Anton.

Wadim wstał i poszedł do mesy, gdzie zastał Saula. Uderzył go zapach starego dymu. Saul leżał na kanapie w tej samej pozycji, w jakiej położyli go po przyjściu: wyciągnięte nogi o ogromnych stopach, odchyłona do tyłu głowa, wystająca porośnięta szczeciną grdyka... Wadim przysiadł obok i dotknął czoła historyka. Było rozpalone. Saul mamrotał bez sensu:

- Suchary... suchary są potrzebne... czego tu chcecie z nożycami? W krawieckiej są nożyce... jasne, że nie do manikiuru... pytam was o suchary, a wy mi nożyce... - Nagle silnie drgnął i wychrypiał:

- Zum befehl, panie blokowy... w żadnym razie, tłuczemy wszy.

Wadim pogładził go po bezwładnej ręce. Trudno było na to patrzeć. Zawsze ciężko jest widzieć silnego, pewnego siebie człowieka w takim stanie. Saul powoli otworzył oczy.

- A... - powiedział. - Wadim... Dimeczka... nie myśl sobie, że... zawsze nieprzyjemnie jest patrzeć na przesłuchanie. Nie myśl o mnie źle... ja wrócę. To była tylko słabość... ale już odpocząłem i wrócę.

Przewrócił oczami. Wadim patrzył na niego z litością.

- Znowu się palimy... - wymamrotał Saul. - Płoniemy jak drwa.

Stiepanow się pali! No, dalej do zagajnika!

Wadim westchnął i wstał. Rozejrzał się po kajucie; panował tu straszny bałagan. Na podłodze leżała wybebeszona tamta, dziwna teczka. Zawartość jej walała się po podłodze: szare grube koperty, wypchane papierami, ozdobione stylizowanym rysunkiem jakiegoś ptaka z rozrzuconymi skrzydłami. Jedna koperta otworzyła się i papiery rozsypały się po całym pokoju. Na stoliku też leżały papiery.

Wadim już chciał zacząć sprzątać, ale zauważył, że Saul zasnął.

Wyszedł na palcach i zamknął za sobą drzwi.

Anton siedział przed pulpitem z palcami na przyciskach i w zadumie patrzył na ekran. Przez ekran powoli płynęły wierzchołki sosen, odległe lśniące domy, czerwone światła odbiorników energii.

- Źle z nim - powiedział Wadim. - Bredzi. Teraz zasnął.

Przysiadł na poręczu fotela i wpatrzył się w ścianę pokrytą rysunkami ludzkich postaci i przedmiotów.

- Niepotrzebnie brudziłem ścianę - powiedział. - Trzeba było poprosić Saula o papier. Okazało się, że on ma całą teczkę papieru. A Hajra przeraził się tak, aż dostał czkawki, gdy zacząłem rysować.

- Wiesz co, Dimka - powiedział Anton w zadumie - Saul to oczywiście dziwny facet... Ale żeby dorosły mężczyzna nie miał bioblokady? - Pokręcił głową.

- Orientujesz się chociaż, co mu jest?

- Już ci mówiłem, że nie. Zaraził się czymś od Hajry...

Wadim spróbował sobie wyobrazić, czym można zarazić się od Hajry, skrzywił się i usiadł na fotelu.

- Mnie się Saul podoba. To cudak, ale ma swoje poglądy, i jest rozkosznie zagadkowy. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem takiego tajemniczego bredzenia.

- A ile razy w życiu w ogóle słyszałeś bredzenie?

- To nieistotne. Czytałem o tym. Poza tym Saul powiedział, że jego ucieczka z Ziemi była zwykłą słabością. Teraz, mówi, trochę odpocząłem i wrócę. Cieszę się, Tosza.

- Powiedział to wtedy, kiedy bredził?

- Nie. Na chwilę oprzytomniał. - Wadim popatrzył na ekran.

„Statek” płynął nad Chibinami. - Jak sądzisz, ile lat minęło?

- Tysiąc - powiedział Anton.

Wadim uśmiechnął się.

- Wyjątkowo solidny urlop. Nieźle tam narozrabialiśmy, co? Uśmiechnął się na wspomnienie bohaterskich epizodów. Zaczął układać w myślach jutrzejsze wystąpienie przed Neli i Samsonem.

Niepotrzebne czaszki, Samson padnie, jak mu pokażę szramę, pomyślał.

- Szkoda - powiedział głośno.

- Czego?- Szkoda że dostałem w bok. Wolałbym w twarz. Wyobrażasz sobie? Szrama od lewej skroni, przez oko aż do podbródka!

Anton popatrzył na niego.

- Wiesz co, Dimka - powiedział - ja już chyba nigdy się do ciebie nie przyzwyczaję.

- Nie przejmuj się, Anton, ty też byłeś w porządku. Wprawdzie się guzdrałeś, ale opowiem Gali, jak wspaniale dowodzisz.

Anton skrzywił się.

- Już lepiej niczego nie opowiadaj. - Zamilkł. - Naprawdę się guzdrałem? - dodał po chwili.

- Moim zdaniem, tak.

- Widzisz, nie mogłem dać sobie rady ze sobą. Nigdy jeszcze nie było mi tak ciężko. Różne rzeczy się zdarzały, ale taka sytuacja, gdy trzeba coś zrobić, a nic nie można... gdy musisz coś poprawić i wiesz, że możesz tylko pogorszyć sprawę... Guzdrałem się, oczywiście.

Wadim przyglądał się Chibinom.

- Ale dowódcą byłeś dobrym. Ciekawie było patrzeć na ciebie w tej roli... Wiesz Hajra pewnie leży teraz na swoich śmierdzących skórach i myśli: co to były za buty, nikt takich nie ma! Anton, przyjacielu, nie możesz szybciej?

- Nie mogę. Tu nie wolno za szybko.

- Dużo rzeczy nie wolno. Daj, ja poprowadzę.

- Lepiej nie - powiedział Anton. - I tak cała ta eskapada będzie mnie kosztować uprawnień pilota.

- A co takiego zrobiłeś?

- Boja wiem... zapewniam cię w każdym razie, że na Saulę nie polecę już jako astronauta, tylko jako kiepski lekarz-entuzjasta.

Wadim zdziwił się. Niby o co tu chodzi? Zrobiliśmy, co mogliśmy i powinniśmy byli zrobić. Czy dałoby się postąpić inaczej? Byliśmy tylko we trzech. Gdyby nas było dwudziestu, zwyczajnie rozbroilibyśmy ochronę i po krzyku. W każdym razie nie powinni nam mieć tego za złe. Co prawda, niedobrze wyszło z tymi ludźmi, którzy wieźli Hajrę. Ale skąd mogliśmy wiedzieć? Co tu dużo gadać, zwiad nam się udał. Teraz trzeba zakasać rękawy i zebrać drużynę.

Najpierw założyć komitet. Ja, Anton, to nie ulega wątpliwości. Saula przekonam. Bez niego nie da rady, tu potrzebny jest sceptyk. Zresztą to facet odważny i zdecydowany, typowy dwudziesty wiek. No i Samson. Doskonały inżynier, przy całej jego złośliwości. Neh to artystka, niech ich oczaruje. Grisza Barabanów koniecznie... po pierwsze jest nauczycielem, po drugie zna mnóstwo innych nauczycieli, zdaje się porządnymi ludźmi. Lekarz, lekarz jest potrzebny... niemożliwe, żeby w tym tłumie nauczycieli nie znalazł się ani jeden lekarz!

Potrzebni też będą ochotnicy. Na wstępie trzeba będzie wybić ptaszki dziobaki. Wadim zachichotał. A potem cały komitet rzuci wyzwanie Ziemi...

Wadimowi zrobiło się słodko na duszy, gdy wyobraził sobie cały rozmach tego nowego olśniewającego przedsięwzięcia. Eskadry rejsowych d-gwiazdolotów, wypełnionych dzielnymi ochotnikami, syntezatorami, lekarstwami... całe tony embriomechanicznych jaj, z których w ciągu pół godziny wyrosną domy, glidery, stacje synoptyczne... i dwadzieścia tysięcy, trzydzieści tysięcy, sto tysięcy nowych znajomości!

- Cała flota kosmiczna jest teraz zajęta - odezwał się Anton.

- Co?

- Mówię, że cała flota kosmiczna jest zajęta. Próbowałem obliczyć: na początek potrzeba co najmniej dziesięć rejsowych „Widm”, a jest ich tylko pięćdziesiąt cztery, w dodatku wszystkie tkwią przy EN 117, gotowe do skoku na Ślepą Plamę.

- Zbudujemy nowe - zdecydował Wadim.

Anton zerknął na niego.

- Jak zwykle kielbie we łbie... Dimka, musisz się z tym liczyć, że na Saulę cię najprawdopodobniej nie puszcza.

- Jak to nie puszcza?

- Bardzo prosto. Nie potrzeba tam dwudziestoletnich zawadiaków, tylko prawdziwych fachowców. Ja na przykład nie mogę sobie wyobrazić, żeby tylu profesjonalistów można było stąd zabrać. Ale to jeszcze pół biedy.

- No, no? - zachęcił go Wadim. - A druga połowa?

- A druga połowa, mój drogi... - Anton westchnął. - Od dwóch wieków istnieje taka dość tajna organizacja - Komisja do Spraw Kontaktów. Musisz wiedzieć, że po pierwsze, bez jej pozwolenia żaden astronauta nie usiądzie w fotelu pilota; po drugie, w jej składzie nie ma ani jednego zawadiaki, za to wszyscy jak jeden mąż są poważni, mądrzy i dalekowzroczni.

Anton mówił serio, ale Wadim na wszelki wypadek zapytał:

- Ty tak poważnie?

- Absolutnie poważnie. - Anton przebiegł palcami po przyciskach i dodał: - Mógłbym ci dać wylądować na pocieszenie... ale nie dam. Wystarczy już trupów.

Statek miękko i bezgłośnie opuścił się na polanę, niemal w tym samym miejscu, z którego startował trzydzieści dziewięć godzin temu. Anton wyłączył silnik i chwilę siedział bez ruchu, czule gładząc pulpity.

- A więc tak - powiedział. - Najpierw Saul.

Wadim nadęty patrzył przed siebie. Anton włączył pokładowy radiofon i nastroił go na falę pogotowia ratunkowego.

- Punkt jedenaście-jedenaście - powiedział spokojny kobiecy głos.

- Potrzebny lekarz epidemiolog - odezwał się Anton. - Zachorował człowiek, który wrócił z nowej planety ziemskiego typu.

Przez jakiś czas panowało milczenie. W końcu głos ze zdumieniem zapytał:

- Przepraszam, co pan powiedział?

- Widzi pani - wyjaśnił Anton - nie miał wszczepionej bioblokady.

- Dziwne. Dobrze... pańskie dane?

- Proszę bardzo. - Anton podyktował.

- Dziękuję, przyjęłam. Spodziewajcie się lekarza za dziesięć minut.

Anton popatrzył na Wadima.

- Nie nadymaj się tak, strukturalny, jakoś to będzie. Chodźmy do Saula.

Wadim powoli wygrzebał się z fotela. Zeszli na dół i od razu zobaczyli, że drzwi do pokoju Saula są otwarte. Saula w kajucie nie było. Nie było też jego teczki ani papierów, a na stoliku leżał skorczer.

- Gdzie on się podział? - zapytał Anton.

Wadim skoczył do wyjścia. Luk był otwarty, na zewnątrz pachniała ciepła gwiazdzista noc. Głośno grały cykady.

- Saul! -zawołał Wadim.

Nikt nie odpowiedział. Wadim stropiony zrobił kilka kroków po miękkiej trawie. Gdzie on poszedł, w dodatku chory? - pomyślał i znowu krzyknął:

- Saul!

Dalej była cisza. Nadleciał ciepły wietrzyk i czule pogładził Wadima po twarzy.

- Dimka - zawołał półgłosem Anton. - Chodź tutaj.

Wadim wrócił do oświetlonego luku. Anton podał mu niedużą kartkę.

- Saul zostawił list - powiedział. - Położył pod skorczerem.

To był kawałek szarego grubego papieru, wysmarowany brudnymi palcami.

Drodzy chłopcy! Wybaczcie mi oszustwo. Nie jestem historykiem, jestem zwykłym dezertorem. Uciekłem do was, bo chciałem się uratować. Nie rozumiecie tego. Został mi już tylko jeden magazynek; poczułem smutek i znużenie. A teraz zrobiło mi się wstyd i postanowiłem wrócić. Jedźcie na Saulę i róbcie co trzeba, a ja zrobię swoje. Mam jeszcze cały magazynek. Idę. Żegnajcie. Wasz S. Repnin.

- Słuchaj, przecież on jest bardzo chory - powiedział zakłopotany Wadim. - Biegnijmy go szukać!

- Popatrz, co jest na odwrocie.

Wadim odwrócił kartkę. Z tyłu wielkimi krzywymi literami napisano:

„PANU RAPORTFUHREROWI OBERSHARFUHREROWI SS WIRTOWI, OD BLOCKFURHERA SZÓSTEGO BLOKU WIĘZNIĄ NR 658617 Doniesienie Niniejszym donoszę, że według zebranych przeze mnie obserwacji więzień nr 819360 nie jest przestępcą o przydomku Saul, lecz byłym dowódcą wojsk pancernych Armii Czerwonej, Sawałem Piotrowiczem Repninem, wziętym do niewoli niemieckiej pod Rzewem, w stanie nieprzytomnym. Wskazany nr 819360 jest utajonym komunistą i człowiekiem niebezpiecznym. Przyłapałem go na przygotowywaniu ucieczki i uczestniczeniu w tej grupie, o której donosiłem Panu w liście z lipca 1943 roku. Donoszę także, że grupa „szykuje się...”

Na tym tekst się urywał. Wadim spojrzał na Antona.

- Nie rozumiem - powiedział.

- Ja też nie - odparł cicho Anton.

Jasne światło padło na polanę. Nad „Statkiem” powoli zniżał się sanitarny „Ogoniok”.

- Wyjaśnij lekarzowi - powiedział Anton z nieokreślonym uśmiechem - a ja pójde połączyć się z Radą.

- I co ja mu wyjaśnię? - wymamrotał Wadim, patrząc na kawałek papieru.

Więzień nr 819360 leżał na brzuchu, z twarzą w lepkim błocie, na poboczu szosy. Jego prawa ręka nadal trzymała rękojeść schmeissera.

- Chyba nie żyje - powiedział z żalem Ernst Brandt. Nadal był blady. - Mój Boże, szkło prysnęło mi w twarz...

- Ten łajdak tu na nas czekał - powiedział obersturmfuhrfer Deibel.

Obejrzeni się za siebie. W poprzek szosy stał pomalowany maskującymi kolorami łązik. Przednia szyba była wybita, z przedniego siedzenia, zahaczony o coś płaszczem, zwisał zabity kierowca. Dwóch żołnierzy wlekło pod pachy rannego, który głośno krzyczał.

- To na pewno jeden z tych, którzy zabili Rudolfa - powiedział Ernst. Podważył butem trupa i odwrócił go na plecy.

- Kreitzhageldonnervetternocheinmal - powiedział. - To przecież teczka Rudolfa!

Deibel wykrzywił tłąstą twarz i nachylił się, wystawiając ogromny tyłek. Obwisłe policzki zatrzęsły się.

- Tak, to jego teczka - wymamrotał. - Biedny Rudolf! Wyrwać się spod Moskwy i zginąć od kuli wszawego więźnia...

Wyprostował się i popatrzył na Ernsta Brandta, na jego rumianą głupią twarz i błyszczące czarne oczy. Deibel odwrócił się.

- Weź teczkę - burknął i z goryczą popatrzył w dal, gdzie nad lasem sterczały grube kominy obozowych krematoriów, z których walił tłąsty czarny dym.

Więzień nr 819360 szeroko otwartymi martwymi oczami patrzył na niskie szare niebo.